

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/149

1960



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**O POLSKI "MODEL" GOSPODARCZY
ANKIETA "KULTURY"**

Cz. MIŁOSZ :

DIARIUSZ PARYSKI

J. ROJEWSKI :

ZAGINIONY BEZ WIEŚCI

B. OSADCZUK :

ANTYSEMITYZM W KRAJU BEZ ŻYDÓW

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Diariusz paryski</i>	3
	a) <i>Pożegnanie</i>	3
	b) <i>Matuga z kacetów</i>	12
	c) <i>Poor Yorick</i>	20
	d) <i>Z zapadłych okolic</i>	22
	e) <i>Same pochwały</i>	24
Witold Gombrowicz:	<i>Fragmenty z dziennika</i>	28
Jan Rojewski:	<i>Zaginiony bez wieści</i>	39

KRAJ

Ankieta „Kultury”:	<i>O polski „model” gospodarczy</i> ..	89
--------------------	--	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Kłeska urodzaju</i>	93
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	101

SĄSIEDZI

Wiktor Weintraub:	<i>Michał Karpowicz</i>	107
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Z kroniki odwilży</i>	112
Bohdan Osadczyk:	<i>Antysemityzm w kraju bez Żydów</i>	119
Borys Lewickij:	<i>Jeszcze o Oberlaenderze</i>	132
BEO:	<i>Oberlaender z perspektywy Berlina</i>	135

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Adam Telmany:	<i>Dodatek do adiutanta</i>	140
---------------	-----------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Maria Danilewiczowa:	<i>Dalszy ciąg rozmowy z J. Czapskim</i>	148
—	<i>Antologia poezji polskiej po szwedzku</i>	156



M.K. Dziewanowski, St. Mackiewicz, L. Szymański, L. Furatyk, P. Wandycz:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec – Mars

1960

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Jan ROJEWSKI, ur. w r. 1915 w Miechowie. Studia na Wydz. Architektury Politechniki Warszawskiej. Zbliżony w tym okresie do „Organizacji Młodzieży Socjalistycznej Życie”. W grudniu 1939 przedostał się z okupacji niemieckiej do Białegostoku, gdzie pracował jako architekt w „Bielgospojekcie”. W czerwcu 1940 aresztowany przez NKWD za odmowę przyjęcia paszportu sowieckiego. Wywieziony do Wołogdzkiej obłasti. Po amnestii zwolniony zbyt późno, by dołączyć do armii gen. Andersa pracował w budownictwie w Dagestanie i Uzbekistanie. Po zerwaniu stosunków polsko-sowieckich ponownie aresztowany. Następnie umożliwiono mu zaciągnięcie się do Ludowego Wojska Polskiego.

Po wojnie napisał powieść pt. „Arka Noego” opartą o przeżycia w Rosji. Powieść miała ukazać się nakładem wydawnictwa „Książka”, ale została skonfiskowana. Wydał natomiast książki dla młodzieży „Załoga” i „Człowiek i ludzie”. Współpracował w „Szpilkach”, „Kuźnicy” i „Odrodzeniu”.

Od r. 1947 był członkiem Polskiej Partii Komunistycznej. W r. 1957 oddał legitymację.

DALSZE WPLATY NA DOM „KULTURY”

Don Kanel, Chandigarh (Indie)	18,00 NF
Franciszek Socha, Milwaukee, Wis. (USA) ponownie	10,00 „
Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA) po raz trzeci	10,00 „
Antoni Siemak, Perth Amboy, N.Y. (USA)	20,00 „
Beziemiennie Berks' (Anglia)	28,00 „
Janina Miedzińska, Londyn	28,00 „
Dr Karol Boniarczyk, New York	20,00 „
S. Ziemia, Toronto, Ont. (Kanada)	9,00 „
Jan Piórkowski, Passaic, N.Y. (USA) po raz szósty	20,00 „
Jan F. Morelewski, Evergreen Park, Ill., (USA)	20,00 „
J.J. Piórkowski, Bronx, N.Y. (USA)	10,00 „
W.M.K. (Australia) po raz czwarty	26,00 „
Wanda Sten, Chicago, Ill. (USA)	5,00 „
Józef Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada) po raz czwarty	10,00 „
Beziemiennie (Francja)	5,00 „
Beziemiennie (U.S.A.)	25,00 „
Zofia Starczyńska, Bern (Szwajcaria) po raz czwarty	5,00 „

DZIEKUJEMY

NA SECRED POLICE FOUND

Gen. Kazimierz Sosnkowski (Kanada) 30,00 „

DZIEKUJEMY

Imprimé en France.

Diariusz paryski

POŻEGNANIE

Kim był Albert Camus? Już teraz, nazajutrz po nagłej śmierci najmłodszego z laureatów Nobla, zmienia się ton artykułów o nim, wrogowie, a miał ich wielu, nie bardzo mogą sobie przypomnieć o co im chodziło. Jeżeli ktoś chce, może pomyśleć, że gdyby nie nagroda Nobla żyłby dotychczas. Bo wtedy nie kupiłby domu na południu Francji, w departamencie Vaucluse, nie spędzałby tam ferii Bożego Narodzenia z żoną i z dziećmi, a co za tym idzie, nie znalazłby się w samochodzie wydawcy Michała Gallimarda, który zjechał po niego wracając do Paryża z Côte d'Azur. Taki łańcuch przypuszczeń da się ciągnąć w nieskończoność i nie rozjaśni się przez to ani trochę sekret absurdu, czyli ten splot przypadku i fatum, który Albert Camus całe życie próbował przeniknąć. Gdyby szosa nie była mokra, gdyby kierowca nie jechał z szybkością ponad 130 kilometrów na godzinę (podobno 145), gdyby ręka kierowcy nie zadrażała... Nieskończona ilość przyczyn zbiegła się w tej sekundzie kiedy samochód dosłownie rozprysnął się, uderzywszy o drzewo. Śmierć Camusa była natychmiastowa. Wydobywanie połamanego ciała ze szczątków skręconego metalu zajęło dwie godziny.

W ciągu czterdziestu sześciu lat życia syn rodziny robotników rolnych i rzemieślników z Algieru czyli tak zwanych „ubogich Europejczyków”, zdobył międzynarodową sławę i pieniądze, ale zdobył nie zabiegając, nie kłaniając się nikomu, zbyt dumny żeby cenić zewnętrzny sukces. Jeżeli wywierał tak duży wpływ na młodzież, to być może dlatego, że w jego słowach przeblyskiwało coś co ta młodzież odnajdowała w uśmiechu swego filmowego bohatera, Jamesa Deana: najwyższe oderwanie, poczucie wyższości nad tymi, co troszczą się

o rzeczy nięgodne żeby się o nie troszczyć. Taki sam uśmiech miał zresztą Camus: melancholijno-bolesny. Był człowiekiem zropaczonym i zakochanym w pięknie świata. A nade wszystko był moralistą rozpacz, szukał jaki z rozpacz powinno się zrobić użytek.

Camus nie wierzył w niebo ani w piekło, w nagrodę za dobre czyny ani w karę za złe. Jego dzieło powstało z wyczułenia na ogrom Zła wypełniającego wszechświat. Nie darmo tak bliski był mu Dostojewski, ze swoją odwagą stawiania pytań zasadniczych. Dostojewski jednak był chrześcijaninem albo niemal chrześcijaninem. Camus, obierając za punkt wyjścia swojej etyki ślepe, absurdalne zło wszechświata, nie był nawet, jak to się mówi niekiedy, stoikiem. Stoicy mogli się pocieszać, że istnieje prawo Natury, któremu powinien poddać się człowiek. Camus chciał, żeby nic go nie pocieszało, chciał etyki bez pociechy i nagrody. Absurdalnemu złu i Natury i Historii przeciwstawiał człowieka i żądał żeby człowiek buntował się, poświęcając siebie. W imię czego? Tylko w imię tego, że jest człowiekiem, to znaczy istotą samotną, której głosu nic nie potwierdza, jedyną istotą posiadającą świadomość. Nic wspólnego pomiędzy Camusem i tymi współczesnymi nihilistami, którzy, twierdząc, że wszystko jest absurdem, chronią się w bierność i w życie jak najbardziej ułatwione. Camus głosił braterstwo ludzkie i heroiczną prawość, zupełną, właśnie dlatego, że na niczym nie wspartą.

Zadatki tej filozofii są już w pierwszej jego powieści „Cudzoziemiec” i w jego publicystyce z okresu działalności w Ruchu Oporu. W pełni jego filozofia została wyłożona w powieści „Dżuma”, alegorycznym obrazie totalitarnej zarazy i w szkicu „Mit Syzyfa”. Syzys był wyrokiem bogów skazany na zaczynanie ciągle od nowa prac nie dających wyniku i nie miał chwili wytchnienia. On to dla Camusa wyobraża dół człowieka i jego powołanie.

Niewątpliwie taki pisarz jak Albert Camus, ateista, jest do pomyślenia tylko w kraju nasyconym tradycją judeo-chrześcijańską, bo jego twórczość jest jakby nowoczesnym komentarzem do „Księgi Hioba”. Był to temperament jansenistyczny to znaczy skłonny do rozpamiętywań nad potęgą zła, od którego ratuje nas tylko tak czy inaczej pojęta Łaska, w przeciwieństwie do temperamentów o upodobaniach pelagiańskich czyli traktujących bardziej optymistycznie ludzką wolną wolę. Ponieważ Camusa cechowała wielka wstydlivość, nie docenia się długu jaki zaciągnął u pisarzy religijnych. Kiedy raz w rozmowie z nim wyraziłem taką opinię, powiedział: „Ba! Pierwszą moją pracą literacką, na uniwersytecie w Algierze, była rozprawa o świętym Augustynie”. A święty Augustyn to jak wiadomo zacięty przeciwnik tych wszystkich, którzy sądzą, że wolna wola człowieka wystarcza do zbawienia. Krótką powieść

Camusa „Upadek” można interpretować jako pastwienie się nad sobą a więc jako operację zmierzającą do usunięcia ostatniego kamienia na którym mogłaby oprzeć się stopa: zniszczenia wiary, że człowiek nie ludzi siebie swoją rzekomą prawością. Kluczem do „Upadku” zdaje się być obraz nieba nad Amsterdamem. Obłoki na tym niebie są porównane do gołębic krążących bez ustanku nad głowami ludzi. Nie znajdują jednak żadnej głowy godnej żeby na nią zstąpić. Czyli: człowiek nie zdoła być prawym bez Łaski ale Łaska go nie nawiedza.

Wbrew temu, co ktoś mógłby wywnioskować, ten surowy moralista garnął się do ludzi i znajdował szczęście tylko w zespole. We wczesnej młodości gracz futbolowej ekipy, aktor i reżyser studenckiego teatru, zamierzał obrać zawód nauczyciela, w rezultacie jednak zanurzył się w inną pracę zespołową, dziennikarstwo. To zamiłowanie do zespołu przyczyniło mu wielu cierpień, bo kolejno musiał zrywać z zespołami w jakich się znalazł, żeby dochować wierności swojej bezkompromisowej etyce. Urodzony w 1913 roku, Camus w chwili zakończenia wojny miał 32 lata i stał na czele dziennika o dużym nakładzie, „Combat”. Z tego stanowiska, zapewniającego ogromne wpływy, zrezygnował z powodów zasadniczych i wycofał się z dziennikarstwa całkowicie. W kilka lat później wybuchł konflikt, który pozbawił go prawie wszystkich jego dotychczasowych przyjaciół. Paryskie środowisko literackie, mimo odmiennych pozorów, jest nietolerancyjne i tępi ludzi wyłamujących się spod powszechnie przyjętych reguł. Camus w 1951 roku wydał książkę „Człowiek zbuntowany” wymierzoną przeciwko morderstwu politycznemu w ogóle, a zwłaszcza przeciwko rosyjskim obozom koncentracyjnym. Za jedynie dopuszczane uważał morderstwa polityczne popełniane przez nihilistów rosyjskich, kiedy sprawa, odbierając życie, płacił swoim. Kierownikiem obławy na Camusa za szkodliwe poglądy stał się jego przyjaciel Jean Paul Sartre, który uzasadniał konieczność milczenia o rosyjskich obozach koncentracyjnych przy pomocy szczególnej teologii, podstawiającej Historię na miejsce Boga. Kampania przeciwko Camusowi trwała długo i nie przebiegała w środkach. Tymczasem Camus usunął się od współpracy z UNESCO, protestując przeciwko przyjęciu do UNESCO frankistowskiej Hiszpanii. Bez ustanku więc odcinał sobie drogę. Jakkolwiek niedługo trzeba było czekać, żeby ukazała się śmieszność rozumowań Sartre’a, środowisko paryskie posłużyło się w swoich porachunkach z Camusem nowym argumentem, tym razem wyjątkowo dla niego bolesnym. Oto odmawiał on podpisywania odezów w sprawie Algieru. Należy sobie uświadomić, że Camus znalazł się w sytuacji wyjątkowo trudnej, podobnej do tej, w jakiej był Polak ze Lwowa, przyjaźnie usposobiony do Ukraińców i zropaczony nasileniem polsko-ukraińskiej nienawiści. Camus potępiał okrucieństwa popełniane zarówno przez Francuzów jak Arabów ale uważał, że bezwzględ-

ne opowiedzenie się po jednej stronie rozgrzesza sprawców, a tym samym zachęca do dalszych okrucieństw. Wojna algierska dotyczyła go bezpośrednio. W robotniczej dzielnicy miasta Algieru mieszkała jego stara matka, tam spędził dzieciństwo, miał też wielu przyjaciół wśród arabskich pisarzy. Był też przekonany, że dwie wspólnoty narodowe w Algierze muszą znaleźć sposób współżycia. Opierał się naciskom lewicowych kół paryskich, bo gardził nimi za ich jałową wielomówność. Wymagało to odwagi cywilnej, ale właśnie dlatego te koła oskarżały go o tchórzostwo. Dopiero teraz, po jego śmierci, wyszło na jaw, że wielokrotnie interweniował na rzecz skazanych Mahometan, zastrzegając żeby jego nazwisko nigdy nie zostało wymienione i że nieraz udało mu się zapobiec wykonaniu wyroku.

Jak bardzo raniło go coraz bardziej pogłębiające się osamotnienie, starał się nie okazywać. Nagroda Nobla w 1957 roku, o której powiedział, że należałaby się komuś innemu, doprowadziła do szczytu podstępnej kampanii przeciwko niemu w prasie paryskiej. Nigdy nie odpowiadał. Swoją potrzebę pracy zespołowej zaspakajał w teatrze. Autor czterech sztuk: „Nieporozumienie”, „Kalięla”, „Stan oblężenia” i „Sprawiedliwi”, a także adaptacji, z Dostojewskiego, Faulknera, z dramaturgów hiszpańskich (był częściowo hiszpańskiego pochodzenia, po matce), coraz bardziej przechodził do reżyserii. W ostatnich latach zajmował się prawie wyłącznie teatrem.

Poza tym uciekał od ludzi, unikał wywiadów prasowych. Wrogowie potępiali go za pychę i wyniosłość. On jednak był zbyt bezbronny żeby się odstawiać i jak bohaterowie jego ulubionych dramatów hiszpańskich usiłował być „lekarzem swego honoru”. Na rozważania o jego stylu literackim nie jest tu miejsce ani czas. Nigdy zresztą nie umiałem rozpatrywać go jako pisarza, człowiek mi go przesłaniał. Dobry, uczynny, należał do tych rzadkich w Paryżu literatów, na których można zawsze liczyć w prawdziwych kłopotach. Wyrażam mu tutaj moją wdzięczność za jego uwagę, za serdeczność w trudnych dla mnie momentach, za dar przyjaźni.

Całe jego życie było dążeniem do absolutu a ten absolut nazywał się Sprawiedliwość. Należy tutaj przypomnieć słowa Simone Weil, której liczne pisma ukazały się w znacznej mierze dzięki poparciu Camusa, w kolekcji przez niego redagowanej. Pomiędzy tymi pisarzami zachodzi większe pokrewieństwo niż mogłaby wykazać powierzchowna analiza. Słowa Simone Weil które zastosowałbym do Camusa brzmią jak następuje:

„Siła społeczna nie obywatela się bez kłamstwa. Dlatego wszystko co jest najwyższe w życiu ludzkim, wszelki wysiłek myśli, wszelki wysiłek miłości podminowuje ład. Myśl może równie dobrze i z równą słusnością być piętnowana jako rewolucyjna po jednej stronie, jako kontr-rewolucyjna po drugiej. Ponieważ wznosi ona bez ustanku hierarchię wartości

„która nie jest z tego świata”, jest ona wrogiem sił rządzących społeczeństwem”.



Powyższy krótki artykuł okolicznościowy został napisany dla B.B.C. w dwa dni po śmierci Camusa. Żadnego gruntownego studium o nim nie zamierzam, byłoby to zbędne, zważywszy, że nie powinniśmy nigdy dublować prac jakie mogą wykonać inni, i to lepiej. We Francji mnożyć się będą tezy uniwersyteckie i wszelkiego rodzaju medytacje nad jego twórczością. Więc tylko parę not świadka.

1. Obłożyłem się paryskimi tygodnikami literackimi ze stycznia 1960 i przecierałem oczy. Ten hołd. Czy zawsze tak zwalnia się przyduszona przez osobiste animozje sprężyna podziwu, kiedy człowiek już nie zagraża? Ale gorące, pochwalne artykuły, z powołaniem się na przyjaźń, na rozmowy, na wspólne doświadczenia, ogłaszali ci sami, którzy niedawno osaczali Camusa, i nikt w prasie nawet nie zająknął się, że jest w tym jakaś nieprzyzwoitość.

Camus popełniał błędy, najgorszą przysługą byłoby pasować go teraz na świętego. Poza tym był zanadto obdarowany przez bogów. U Balzaka młodzieńcy z prowincji wybierali się na podbój Paryża, gotowi poświęcić wszystko byle osiągnąć ten cel, natomiast Camusowi przyjaźń, kobiety, sława same ofiarowywały się natrętnie. Sierota biegający po robotniczej ulicy Algieru, wychowywany przez matkę (ojciec jego zginął jako szeregowiec piechoty w I wojnie światowej) — i wrodzony dar (śródziemnomorskiej?) harmonii. Również wdzięk fizyczny. Kiedy spotkałem go po raz pierwszy śmiał się z mojej miny: „Co dziwi się pan, jak wielu, że jestem biały?”. To prawda, że był biały, ale miał twarz Maura: matka z Hiszpanii, a tam rasowo było rozmaicie. Nie będę utrzymywać, że mój obraz jego utarczek z paryskim środowiskiem jest poprawny. Niemniej nie umiem obronić się przed szczególną interpretacją jego konfliktu z Sartrem. Był to dla mnie konflikt pomiędzy brzydkim mieszczańinem, świadomym swojej brzydoty (nie tylko tej o jakiej daje znać lustro) i pięknym człowiekiem z ludu przystrojonym przez młodzież w szatę filozofa *niezasłużenie*. Jeżeli czego nie wybacza Camusowi paryscy intelektualści, tak pryncypialni, że poniżej pism młodego Marksa do nich nie przystają, to ekstazy cielesnej, oderwania od systemów, które błędą w słońcu afrykańskich plaż. Przypominam teraz sobie z jaką sympatią Camus odnosił się do młodego rumuńskiego pisarza-uchodźcy, jak pomagał mu wydać powieść antypolityczną: w tej powieści, kolchoźniczej wspólnoty, mrówco zorganizowanej, jest przeciwstawiony *Leń*, proklamuje on prawo człowieka do nic-nie-robienia.

Nienawiść to namiętność a „środowisko” paryskie do namiętności nie jest chyba zdolne, więc uprawia tylko drobną meskinierię ale za to zmieniając ją w prawdziwy kunszt. Niszczy się czyjeś dobre imię na słodko, pomiędzy pochwałą i pochwałą. W recenzjach nie szczędzono Camusowi komplementów, po to jednak tylko, żeby zręcznie podbudować pogardę: dętol, akademik, zagubiony moralista. Czyż Sartre nie ogłosił wyroku? Ponieważ Historia tobie się nie podoba, bo brudna, widzę dla ciebie tylko jedno miejsce: wyspy Galapagos — brzmiał wyrok. Wobec takich napaści Camus był bezbronny, jego sceptyczny umiar, wyhodowany w bandzie beztroskich knajaków na plażach Algieru pozwalał tylko na wzruszanie ramionami (ale to najbardziej irytuje). Tron Jehowy był dla niego pusty i dbał o to żeby pozostał pusty, za nędzny wybieg uważał osadzanie na nim Historii i bicie przed nią pokłonów. Karali go, bo lekceważył ich bóstwo. „Madaryni” Simone de Beauvoir, żony Sartre’a, to operacja przerażająca dla kogoś kto wie ile w tej powieści jest rzeczywistych szczegółów zaczerpniętych z intymnego życia Camusa. Cały Paryż uśmiechał się zjadliwie kiedy na scenę wchodziła pewna wielka aktorka — to ona, kochanka Perrin’a — Camusa z „Mandarynów”, dla niej inną kobietę złamał i doprowadził do obłędu. Cokolwiek Simone de Beauvoir uzbierała z uczuciowych powikłań Camusa w okresie jego przyjaźni z Sartrem, to wsadziła do powieści, ale preparując, upotworniając, ułajdacząc, po to żeby go ugodzić okólnie, poprzez plotki o jego sypialni, za to że popełnił występki przeciwko normom politycznym Saint Germain-des Prés. Camus wzruszał ramionami i mówił: „rynsztok”. Jednak cierpiał. Bo niezależnie od poziomu wykonawców i wykonawczyń wyroku tkwił w tym wszystkim nielada problem. Człowiek, chce czy nie chce, wybiera i osądza go nie jego intencja ale sposób w jaki jego akt włącza się w rzeczywistość — nauczali egzystencjaliści spod znaku Sartre’a, już zgodni, dzięki paru dialektycznym chwytom, z Leninem przez wprowadzenie pojęcia *obiektywnej winy*. Albo-albo: czy kto chce czy nie chce opowiada się (również przez zaniechanie) albo za Rosją albo za Ameryką. Camus odrzucał ten wybór ale ogłaszając „Człowieka zbuntowanego” i potępiając policyjny terror szkodził Rosji („welthistorische Nation”) czyli był *obiektywnie winien* i jego prześladowcy, zarówno w „Mandarynach”, jak w niezliczonych artykułach dokładali starań aby wykazać, że jego pozycja moralisty jest kłamliwa, bo w praktyce jest równoznaczna z „ześlizgnięciem się” do roli amerykańskiego agenta (np. Skriasina w „Mandarynach”, zbiega z Rosji a więc zdrajcy swojej ojczyzny). Oto co zaprzętało francuską lewicę i dlatego w bardziej przyziemnych sprawach musiał ją w kilka lat później wyręczyć De Gaulle. Przypominało to awantury w kibucach Izraela, gdzie znieważano się słownie i czynnie, a wkrótce musiano podzielić wiele kibuców drutem kolczastym na dwie części z

powodu bardzo zasadniczego zagadnienia: co by było gdyby. Co by było gdyby wszystkie jakie są góry zebrać w jedną górę, wszystkie jakie są drzewa w jedno drzewo itd., albo, jeżeli kto woli, co by było gdyby wybuchła wojna światowa, czy należałoby wtedy pomagać Rosjanom czy nie. Nieliczni mieszkańcy kibuców obojętni na ten spór zostali siłą wpakowani za druty, osobnej, trzeciej, części dla nich nie było.

2. Mniej więcej równocześnie ze śmiercią Camusa nastąpiła śmierć anarchisty Sabatera. Uchodźca hiszpański we Francji, niegdyś żołnierz brygady anarchistów, robotnik Sabater, wykształcony samouk (córkom kupował wartościowe książki i płyty najlepszej muzyki) żył tylko dla swojej idei i świętego obowiązku wobec dwóch poległych braci, których *musiał* pomścić. Postać w Hiszpanii już legendarna, na jego głowę była naznaczona cena. Sabater zginął w styczniu bieżącego roku przekroczywszy Pireneje, ostrzeliwując się policji. Ten „bandyta”, z pewnością jedna z najczystszych i najszlachetniejszych ludzkich istot, realizował drogi Camusowi ideał terroru dozwolonego (odbierać życie ale dawać wzamian swoje). I trudno nie dopatrzyć się w dumie Camusa czegoś bardzo hiszpańskiego, jak duma Sabatera. Nawet bliscy przyjaciele Camusa spierali się nieraz o właściwe powody jego wstrząsliwości w wypowiedziach o Algierze. Syn „ubogich Europejczyków” pojmował tamtejsze napięcia inaczej niż paryżanie. Ale to jedno. Nie jest wykluczone, że duma zabraniała mu sprzymierzać się z tymi, co prowadzili przeciwko niemu kampanię i kupować ich wzęły — bo każde potępienie francuskiej polityki kolonialnej było w środowisku intelektualnym *dobrze widziane* i wystarczyłoby Camusowi podpisać jeden manifest a natychmiast przywrócono by go do łask. Camus bał się nagrody za szlachetność, bał się oportunistów. Dlatego wołał działać w ukryciu, raczej gustując w obelżywych pogłoskach jakie o nim rozpowszechniano.

Nie ma większej dumy niż kiedy człowiek wystawia się dobrowolnie na sztych, weiska swoim wrogom broń do ręki. Wydając „Upadek” Camus rzucił wyzwanie, na pohybel sobie. Gdyż „Upadek” jest spowiedzią adwokata Jean-Baptiste Clamence czyli Mięczakiewicza („Clam” po angielsku jest to gatunek morskich mięczaków w skorupie, natomiast „clémence” po francusku to miłosierdzie, stąd ironiczna gra znaczeń w nazwisku, co u nas uprawiał Witkacy). Natychmiast u czytelników chętką żeby mruknąć „aha” i spowiedź Mięczakiewicza uznać za spowiedź samego Camusa. Nie oszczędziła tego Camusowi nawet po jego śmierci Colette Audry zręcznie wplatając między wyrazy foidu sugestię, że Clamence to jego autoportret. „Upadek” jednak jest dla mnie (a prawie na pewno się nie mylę) po prostu traktatem teologicznym o Łasce, a raczej o nieobecności Łaski. Clamence poszukując usprawiedliwienia na to tylko się zdobywa, że odwraca przykazanie miłosierdzia w Ewangelii: „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni, zastępując je innym:

„Sądzicie, abyście nie byli sądzeni”. Jeden z amerykańskich recenzentów „Upadku” zadawał sobie pytanie dokąd zmierza nie-chrześcijanin tak wykpiwając etykę laicką. Camus kpił na potęgę — zwłaszcza z tych, co będą doszukiwać się w nędznej figurze Clamence’a portretu autora, byle nie przyznać, że jest to również *ich* wierna podobizna.

Do jakich nieporozumień dał powód „Upadek” można śledzić na przykładzie jego recepcji w Polsce. Jarosław Iwaszkiewicz napisał w odpowiedzi „Wzlot”. Jest to jedno z najbardziej zwartych opowiadań Iwaszkiewicza i bardzo znamienne, bo wyłazi w nim anty-zachodni zająd Polaków, ale odpowiedź żadna, czyli jeden do sasa, drugi do lasa. Traktatowi teologicznemu Iwaszkiewicz przeciwstawił obrachunek z serii „słoń a Polska”: wy tam w Paryżu, wygodni i szczęśliwi, duszne zmartwienia sobie wynajdujecie, w rozpacz wpadacie, że nie uratowaliście samobójczyni skaczącej do Sekwany, a my co, od dwudziestu bez mała lat? „W błocie po uszy zasmarowani, jak nie przymierzając te świnię”. Iwaszkiewicz jest więc tutaj tubą polskiej opinii, wytacza ludziom Zachodu proces, oskarża ich o papierowość, sztuczność ich dramatów, że są niczym w porównaniu z prawdziwym nieszczęściem kraju deptanego i miażdżonego, otwartego na przestrzał. Ponieważ ten zająd jest w każdym z nas, nie możemy nie solidaryzować się z Romkiem, kiedy w podwarszawskim barze wygarnia swoją straszną spowiedź. „Jak ja miałem ratować moją dziewczynę? Nikt nie mógł ratować. Nikt nikogo jeszcze nie uratował. Sam się człowiek też nie ratuje”. A jednak tonąca dziewczyna u Camusa nie jest bynajmniej rzeczywista. Symbolizuje wszystkich tonących, gdziekolwiek są, w Algierze, w Kongo, w Polsce i faryzejsko zadowolony z siebie Clamence przejrzał, bo żadnym Romków ani żadnych Arabów nie ratował.

Na głowę Clamence’a nie zstąpiła gołębicą, pograżył się tylko w rozpamiętywaniu swego upadku. Na głowę Romka, złodzieja i mordercy, mogłaby zstąpić gołębicą. O ileż jest sympatyczniejszy niż Clamence ze swoją retoryką! Jest pełen żalu za grzechy, poczucia że niegodzien — co zakłada, że skala wartości nie jest u niego jak u Clamence’a roztapiana czy odwracana do góry nogami. Ale, uwaga, wślizguje się tutaj zaraz polska *self-pity*: jak mogliśmy postępować inaczej, jeżeli od 1939 roku dostajemy bez ustanku takie lanie? W błocie po uszy zasmarowani płaczemy nad tym ale co więcej możemy zrobić?

Dostojewski („Dziennik pisarza za 1873 god”) tak powiada: „Przecie w ten sposób powoli dojdziemy do wniosku, że w ogóle nie ma przestępstwa i wszystkiemu ‘winne środowisko’. Dojdziemy do tego, po nitce do kłębka, że przestępstwo uznajemy nawet za obowiązek, za szlachetny protest...”. „Czyniąc człowieka zależnym od każdego błędu w ustroju społecznym nauka o środowisku doprowadza człowieka do zupełnej

zatruty osobowości, do zupełnego oswobodzenia go z wszelkich indywidualnych obowiązków, od jakiejkolwiek samodzielności, doprowadza go do najpodlejszego niewolnictwa jakie można sobie wyobrazić”. Odnótujmy, że o niczym innym nie marzy Clamence-Mięczakiewicz. Przeklęty ciężar odpowiedzialności na tym indywidualistycznym Zachodzie! Dopiero gdyby był Polakiem i mógł przerzucić winę na warunki poczułby się zapewne oczyszczony.

A przecie jestem zanadto „człowiekiem wschodnim” żeby uczuciowo nie opowiadać się za „Wzlotem”, choć na zdrowy rozum jest to jedynie wybuch urazy znieważonych i poniżonych. Nigdy też nie podobał mi się styl Camusa, zbyt, jak na moje potrzeby, elegancki, górny, za mało chropowaty. Spotkały się w nim chyba defekty pisarza niebezpiecznie utalentowanego z natury i defekty współczesnej francuszczyzny. Choćby ciężko ale funkcjonalnie to oni nie potrafili już pisać, tzn. owszem, ale poza literaturą — Simone Weil czy filozofowie-tomiści.

Jako treść „Wzlot” to żadne skrzyżowane szpad z „Upadkiem”. Żeby jednak Camus utracił wydanie u Gallimarda tej „odpowiedzi”, nie uwierzę. Nie zgadzałoby się to z jego lojalnością w obcowaniu z ludźmi.

3. Jestem częstym gościem w mieszkaniu na szóstym piętrze, nad drzewami Luksemburskiego Ogrodu. Na drzwiach tabliczka: S. Weil. Mieszkanie należy do jej matki. Przychodził też tam nieraz Albert Camus, wydawca pism zmarłej w 1943 roku pisarki. Wydawca nie przypadkiem. Dzieło Camusa, podobnie jak dzieło Simone Weil jest do gruntu teologiczne i potwierdza najzupełniej tezę Leszka Kołakowskiego o teologicznej strukturze filozofii (znakomity jego szkic w „Twórczości”, październik 1959). *Deus absconditus*, Bóg ukryty, przebywał dla Simone Weil poza dostępnymi nam kategoriami istnienia i nie-istnienia, ateizmu jej wczesnej młodości nie dzieli od wiary żadna tama, przeciwnie, pomostem jest *pari*, zakład: „nawet gdyby przypadek albo demon rządziły ogółem światów nie miałabym powodu żałować, że tak żyłam” — tak, tj. w posłuszeństwie Bogu, gdyż jeżeli On jest złudzeniem nie istnieje absolutnie żadne dobro i pomyłka jest obojętna. Camus też stawiał *pari*, miało ono oskarżać przypadek albo demona i strukturalnie jego postawa niezbyt się różni — oboje ich wypada rozpatrywać na tle tradycji manichejskiej.

Otrzymałem pozwolenie opublikowania (ale tylko po polsku) dwóch listów Camusa do p. Weil dotyczących jej córki. Oto więc list z dn. 11 lutego 1951:

„Simone Weil, wiem to jeszcze lepiej teraz, jest *jedynym* wielkim umysłem naszych czasów i życzylbym aby wszyscy którzy to uznają zaczerpnęli stąd dosyć skromności i nie próbowali przywłaszczać sobie tego wstrząsającego świadectwa. Co do mnie, będę najzupełniej rad,

jeżeli można będzie powiedzieć, że na miarę mego miejsca i skromnych środków jakimi rozporządzam, przyczyniłem się do poznania i rozpowszechnienia dzieła którego zasięg oddziaływań nie jest jeszcze w pełni oceniony.

Niech mi pani wierzy, mówię to nie po to żeby sprawić pani przyjemność, wyrażam jedynie drobną cząstkę mojej wdzięczności wobec tej, której nie znałem, czego nigdy nie potrafię odżałować”.

List z dn. 1 czerwca 1953:

„Dziękuję, droga przyjaciółko, za ten piękny egzemplarz „Cahiers”. Pani pamięć o mnie bardzo mnie wzruszyła. Jeździłem do Saint-Etienne, żeby tam wziąć udział w meetingu wolnych związków zawodowych Loary. Mówiliśmy cały czas tylko o Simone Weil. Nie wyobraża sobie pani, jestem pewien, jak głębokie ślady zostawiła tam ona. Przejęło mnie to i uradowało”.

Wieczorem tego dnia kiedy Camus otrzymał nagrodę Nobla, kiedy ścigali go dziennikarze i flashe fotografów, uciekł i zmylił pogoni. Schronił się w mieszkaniu nad Ogrodem Luksemburskim i zasiadł, jak wszyscy tam bywający, za tym stołem, na którym plamy atramentu pochodzą z pióra Simone Weil. Ten stół, jak sądzę, umacniał go przeciwko zbyt trudnej do udźwignięcia sławie — stół osoby która tak mało dbała o rozgłos, że prawie całą swoją twórczość zostawiła w rękopisach.

Jeszcze jedno wolno mi opublikować. Ponieważ był tak przywiązany do swojej matki i tak czule o niej mówił, zapytałam go raz — opowiada p. Weil — co matka sądzi o jego książkach. Camus spojrzał na mnie wyraźnie ubawiony i powiedział: „Madame, moja matka nie umie czytać”.

MATUGA Z KACETÓW

Książka Mariana Pankowskiego (1) ukazała się nakładzie 500 egzemplarzy jako druk prywatny i nie ma jej w sprzedaży księgarskiej. Zapewne dlatego, że jest to książka i w opisach i w użytym słownictwie dość nieprzyzwoita. Niezbyt łatwo jest znaleźć w Paryżu kogoś, kto ją czytał, zrobiwszy jednak małą ankietę stwierdziłem niechęć do tej, jak to się mówi, „ponurej, obsesyjnej świniologii”. Jednakże jest to utwór z różnych względów ciekawy a nowości wydawnicze są zbyt często przemilczane. Stąd pokusa, żeby zająć się i samym utwo-

(1) Marian Pankowski „Matuga idzie”, przygody. Bruksela. 1959.

rem, któremu Pankowski nie nadaje tytułu powieści i wrogoscią czytelników.

Władziu Matuga pochodzi z kraju zwanego Kartoflanią: „A kiedy sen nabrał lotu i siły, ujrzał ziemię równinną, a na niej stojący dumnie ogromny kartofel. Orzeł królewski powolnym łopotem opuścił się nań i zastygł, hieratyczny”. Kraj ten wslawiony jest legendą o oblężeniu szklanej Góry. Ujmując to prościej, Władziu Matuga pochodzi z podgórskiego galicyjskiego miasteczka, na wpół wsi, na wpół miasta, prawdopodobnie tego samego, które dostarczyło Pankowskiemu materiału do opowieści o dzieciństwie „Smagła swoboda”. Tam to Władziu przeżywa niepokoje wieku dojrzewania, po czym jako zielony młodzieniec zapoznaje się z dziwami prawdziwego już miasta, Królewskiego Grodu. Następnie „paliła się ziemia. Pobiegł i on a gdy ogień nadszedł zaczął bić weń dłońmi. I tłukł tak wszyscy, jedni na kłęczkach, drudzy stojąc, młócili oń rękami. I wołał Matuga na ogień, egzorcyzmami go zranić próbował, na miłość Boga, na miłość Córkę Jego Niepokalanej, na miłość młodości co nad poziomy”. Zaraz potem załadowali Władzia razem z innymi, było ciasno i rozlegały się takie rozmowy: „Panowie, do kurwy nędzy, bachory jesteście? Dołem sikajta, nie oczami!”. — „Dokąd nas wiozą? — Na rozłup. — Nie, bo na prawo, a cmentarz po lewej — Panowie, ewakuują”. Władziu trafił do miejsca, gdzie nad wszystkim dominował Komin. „Tu jest dno świata, Matuga. Jak dym na chwilę przyniknie, popatrz dalej a zobaczysz góry jak umyte w farbecie i lodem z Jordanu przysprószone. Tu jest dno świata, a na górach, na brzegach świata okrakiem siedzą Strażnicy”. W tym to miejscu upłynęły Władziowi lata, aż któreś wiosny rozlewały się dzwony „a spod nich wypadł tłum wiwatujący i rzucający w górę czapki okrągłe”. „I zaczęła się wolno ważyć ziemia, ukazując miasto zielone zza gór”. Dalej rozpoczynają się właściwie „przygody” Władzia, którym można by nadać wspólny tytuł „Matuga i Zachód”. Władziu osiada na Zachodzie, w listach do rodzinnej Kartoflanii chwali się, że wie gdzie mu się znakomicie, nie wspominając jednak, że wtajemniczenie w swoją karierę mieszkańca zażywej Belgii otrzymał w piwiarni IN’T KAPITEINTJE, gdzie nędzarze, złodziejaskowie, pokraki za parę groszy korzystali z przywileju: mogli spać w nocy na podwórku oparci o rozciągnięty od ściany do ściany sznur.

Oto *charpente* czyli ciesielski zrąb tych „przygód”, zapewne celowo nie nazwanych przez autora powieścią. Pankowski hołduje pewnej poetyce, jego wysiłek zmierza do wyzwolenia się od serwitutów, ciążących na prozie beletrystycznej, tych wszystkich: „Markiza wyjechała o piątą”, „Kuszipietowski nerwowo miał papierosa”, albo ich nieco bardziej wybrednych odpowiedników, na ogół przyjętych przez powieściopisarzy, bo skutecznie popychają naprzód akcję. Pankowskiego zanadto

interesuje sama ekspresja, „wieczna w polszczyźnie rozróżba” żeby chciał naśladować Stendhala, dla którego ideałem był język zobjektywizowany, bezosobisty jak Kodeks Napoleona. Jesteśmy tutaj na przeciwnym biegunie. Poetyka autora (a stosował on ją dotychczas konsekwentnie i w swoich wierszach i artykułach o poezji) wywodzi się tak czy inaczej z krakowskiej Awangardy, nie bez urzeczenia również „słowotwórcami” Leśmianem i Tuwimem. Podstawą jej jest chyba teza, że każde zdanie musi zaskakiwać czytelnika, powodować zbawienny szok, co osiąga się poprzez ciągłą wynalazczość i oryginalność; stąd waga przywiązywana do metafory jako podstawowego narzędzia piszących. Wyznawcy takiej poetyki sądzą, że odkryli zasadę poezji w ogóle i skłonni są wskrzeszać raz po raz spór pomiędzy romantykami i klasykami, przy czym romantycy to oni, a klasycy to ich przeciwnicy. Kryje się w tym sporo złudzeń, bo przymus wynalazczości prowadzi nieraz do literackich kanonów i bez trudu można rozpoznać szczególnie awangardowy idiom, rzekomo jedynie zgodny z przepisami nowoczesnego smaku. Zresztą nie znaczy to, że „awangardowa” praktyka musi dawać złe wyniki. Trzeba jednak rozważać jej passywa i aktywa.

Różne literackie szkoły niezbyt dawnej przeszłości kładły nacisk na *doznanie zmysłowe*; tendencja ta przybierała na sile zwłaszcza w drugiej połowie ubiegłego stulecia, równoległe z pojawieniem się w malarstwie impresjonizmu, który zamiast o przedmiocie opowiadał o oku malarza. Zaszczepiony na pniu rygorystycznej francuskiej prozy, ten sensualizm i subiektywizm pięknie owocował w dziele Prousta. Z wielu powodów w Polsce owa tendencja wystąpiła późno i nagle, bez stopniowego przygotowania, raczej z korzyścią tam gdzie język był dojrzały tj. w poezji, z wieloma szkodami dla prozy, niedość ustawionej. Liczne stronicy Żeromskiego mogą dostarczyć tutaj przykładu. Na ogół pisarze Młodej Polski zrobili tylko pierwsze niepewne kroki na nowym terenie i to tłumaczy gwałtowność „wybuchu” w okresie 1918-1939, kiedy to zjawiska, gdzie indziej rosnące w ciągu wielu dziesiątków lat, wyskoczyły na wierzch w zbitce. Kłótnie toczyły się nie dokoła pytania *co* ale *jak* i dlatego na boje Awangardy ze Skamandrem należy patrzeć z humorem, skoro partnerzy mieli więcej cech wspólnych niż mogli się domyśleć. Awangarda zresztą była bardziej żarliwa, teoretyzująca, fanatyczna. Za skoncentrowanie się na samej czynności poetyckiej, na sprawach warsztatu, płaci się jednak oczywiście cenę. Co miało być najwyższą chłonnością wobec świata zmienia się w dość solipsystyczne zajęcie tłuczenia go na kawałki i lepienia na nowo z okrucieństw, czyli człowiek staje wobec świata nie cały, ale sprowadzony do swego zmysłowo-odbiorczego aparatu. Ani wojna ani przewrót polityczny nie zakreśliły tu żadnej wyraźnej granicy, z tym jedynie, że ruch, który mógłby doprowadzić do naturalnych wyklarowań,

został na wiele lat sztucznie zduszony i odrodził się w roku 1956, znów w charakterystycznej zbitce, z nawrotem do elementów nieprzetrawionych przez Młodą Polskę, z wpływami surrealizmu itd. Jakkolwiek młoda poezja polska jest bardzo różnorodna i zostawiła daleko w tyle krakowską „Awangardę”, *pontifex maximus* tej siwobrodej awangardy, Julian Przyboś, wskazuje swoją osobą na pewne niebezpieczeństwa, być może grożące na niejednej z pokrewnych do tej jaką obrał ścieżek. Postać literaturze polskiej jak najbardziej potrzebna, wielce zasłużona przez swoją miłość do całego poetyckiego dziedzictwa, swoją powagę i upór z jakim broni sztuki nowoczesnej, Przyboś nie jest wolny od rysów komicznych, właściwych ludziom popadającym w *zwężenie*.

O tym, że Pankowski jest wychowankiem określonej „szkoły”, poucza jego manifest „Do czytelnika” czyli przedmowa. Widać w niej stare nałogi Awangardy: czupurność, zamiatanie do burz w szklance wody (wieczna młodość?) oraz posłuszeństwo wobec zasadniczego kanonu nowoczesności. Według tego kanonu szanujący się autor powinien narozrabiać („zaszumieć” rzekłby Rosjanin) czyli wyszydzać, kłaść, „buntować się”. Kłaść co? Buntować się przeciw czemu? Nieważne, byle impuls był a coś się znajdzie. Niestety, trudno jest wyłamywać drzwi kiedy wszystkie są otwarte i kiedy tak zwane rewolucje stylu są rutyną. Jest w świecie wiele rzeczy przeciwko którym warto się buntować ale należą one na ogół do zupełnie innego zakresu. Toteż gwałtowność Pankowskiego jest bez pokrycia i robi wrażenie przyływu sił witalnych, na próżno szukających obiektu, przeciwko któremu mogłyby się obrócić. Oświadcza on, że inni literaci polscy piszą źle, a on będzie pisał dobrze — i za takie postanowienie nikt go nie potępi. Następnie kieruje atak przeciwko (skąd? dlaczego?) Antoniemu Słonimskiemu. Brzmi to tak:

„A ziemia tam jedyna, tylko od świata lodami a borami odgródzona. Oj, tam-ci kacykiem być a jeszcze lepiej antykacykiem.

Widzę go, kuca anty-kacyk na środku tamtej ziemi, jedynej a bosej — a buciki ma jeszcze zagraniczne — i w primus pompuje: a szu! a szu! — A czego tam tak pompujecie, dziadku mój?

— A, mój młodziku, peda on, ja noc absurdu rozjaśniam. Irracjonalną noc rozświetlam, co naszej młodzieży mistycznymi ciemnościami zagraża. Jeszcze trochę — panie tego — nie dziś to jutro — kultura dla wszystkich, cztery nogi w kupie — powszechne głosowanie więc demokracja... A mów mi wuju. Och, mów mi wuju, bez przerwy i coraz senniej!”

„A mocniej dziadulu! A duj w tę maszynkę. A walcz ty, pszczołko pracowita! A niech ci Duch Racjonalizmu co roku przez szparkę w grobie Rocznik Statystyczny wrzuci — ale

teraz pod stół, ty okruszko z piernika, społecznie pożyteczna, ty mów mi wuju, a nie ustawiaj”.

Brutal ten Pankowski. I marzy tylko o jednym: żeby go nazwano brutalem. Ponieważ zacytowane fragmenty już są zapewne niemal niezrozumiałe, wyjaśnijmy, że dotyczą one polemik literackich w Warszawie w latach 1956-1958. Słonimski wtedy wystąpił przeciwko „bełkotowi” najmłodszego poetyckiego pokolenia, w znacznym stopniu słusznie, o tyle niesłusznie, że nie docenił istotnej potrzeby u młodzieży, zbyt długo skazanej na postne dania socrealizmu. Pankowski jest sojusznikiem „nowoczesnych”, stąd napaść. Dziwić się można swoją drogą, że takie figle go rozpalają. Kto wie, może to dowód żywotności, że pisarze skołatanej Kartoflanii, z jej odnóżami na różnych ładach, mają i na takie rozrywki czas?

Przedmowa zawiera również złośliwości pod moim adresem. Że zanadto intelektualnie. Nie obrażam się. Nasze zainteresowania nie są podobne, poza tym zawiewa od tych złośliwości jurnym sarmatyzmem i znalezienie się w jednej psiej budzie ze Słonimskim nie przynosi mi ujmę. Ale czego naprawdę chce autor? Woła tak: „A ja jestem Mowa. Jestem węgorz uciekający z oschłego Nieba Praw rządzonych Prawami. Jestem uciekinier od Panprawidłowości”. To oczywiście nic innego jak „Dziennik” Witolda Gombrowicza. Gdyż autor zawdzięcza tyleż „szkole” co Gombrowiczowi zarówno w przedmowie jak w całej książce. Ale Gombrowicz jest jeden. Dochowawszy się naśladowców nie musi być zadowolony. Protest przeciwko Panprawidłowości jest zdrowy i w ciągu wielu stuleci był prawem artystów broniącym przez nich zażarcie, zależy jednak jaki jest gatunkowo. Czytamy dalej przedmowę: „Jestem ciemnozielony burdel, w który spadają płonące dziewczynki ubrane do pierwszej komunii. Ach, siarki, siarki! Niechaj młodzież szkolna pali siarkę przed ołtarzem swego patrona. Ach smoty! Smoty woniejącej jak zdrowie. Niech młodzi umyją nią ściany, na których wiszą świętości”.

Siedzi w piekle dwudziestego wieku i „więcej smoty” woła. Są gusta.

„A ci, którym ta mowa za ostra, za graniasta i nazbyt plebejska: niechaj wachają wianeczki ruciane, a tę dziecielinę co panieńskim rumieńcem pała i napalać się nie może”.

Detyna? W sto lat po Rimbaudzie, kiedy za nami i Joyce i najdłuższe swawole Niemiec Weimarskich, i Céline i „novel of violence”, kiedy żaden film rysunkowy nie obędzie się bez ładunku dynamitu, który wybucha przywiązany do kociego ogona, stanowiąc niejako zastępstwo atomowej eksplozji, autor sądzi że kogoś zgorszy mowa „za graniastą i nazbyt plebejską”? Życzymy mu sukcesów kiedy deklaruje: „A nam Przygoda! Nam uczta na słócu osadzonym na płask na Synaju. Nam wieczna w polszczyźnie rozróżba!”. Niemniej jego słowo

wstępne jest nieporozumieniem, curiosum, jednym ze znanych w historii literatury spóźnień.

Wielka szkoda. Bo Pankowski, jak to potwierdza „Matuga idzie”, jest lingwistycznie, że się tak wyrazimy, utalentowany. Okazują się tutaj wszystkie mocne strony awangardowej dyscypliny forsującej obraz: nie puścić ani jednego zdania bez obrazu, do obrazów uciekać od pojęć. Jego polszczyzna jest suta, naładowana zmysłowymi doznaniem po brzegi, barwna, gęsta. Tu jego wyższość nad autorem wielkomięskim. Np. Leśmian i Tuwim mimo swoich słownikowych i słowotwórczych pasji mieli właściwie zasób słów nabytych w dzieciństwie dość ubogi. To samo stosuje się do wszystkich urodzonych na wsi czy w małym miasteczku, ale poza polskim obszarem etnicznym np. na ziemiach Litwy nazwy roślin, zwierząt, narzędzi i budynków gospodarskich były najczęściej litewskiego lub białoruskiego pochodzenia, niekiedy polskie ale gdzie indziej już zupełnie zarzucone. U Przybosa czy Pankowskiego natrafiam na wiele wyrazów rdzennych, dotychczas żywych, a mnie nieznanych. Te „grupy językowe” w polskiej literaturze warte byłyby jakiegoś osobnego studium (2).

Jeżeli władza nad językiem u tego autora dostarcza czytelnikom przyjemności, jeżeli umie on uniknąć zdań relacjonujących („markiza wyjechała o piątą”), wprowadzając przy pomocy jednego obrazu w sytuację, skąd niechęć do książki „Matuga idzie”, skąd zarzut „ponurej świnologii? Wypisywanie na płotach nieprzyzwoitych wyrazów czy kreślenie sprośnych rysunków jest zajęciem zbyt szacownym i zbyt głęboko umotywowanym psychologicznie, żebyśmy mogli je potępić w literaturze. Niewątpliwie, stosunek autora do polszczyzny — jego pogoń za słowem *jędrnnym* jest obsesyjny, ale co da się osiągnąć bez takiej czy innej obsesji? Zresztą „pornografia” jest u Pankowskiego uboga i raczej sprowadza się do seksualizmu dziecięcego (urzeczenie organami wydzielania). Więc?

Paradoks stylu wykształconego dzięki rejestracji doznań zmysłowych na tym polega, że wyjątkowo źle nadaje się on do ujęcia „tych rzeczy”. Dlatego żywot współczesnych nam pornografów jest nielatwy. W tysiącach tomów wykorzystano już, jak się zdaje, wszelkie możliwe kombinacje, wprowadzając także dwunastoletnie dziewczynki, ale wątpliwe jest czy nawet romans z perliczką potrafiłby rozproszyć czający się w tym typie literatury smutek. Coś się stało: seksualizm został odseksualniony. A czy powinien? To wielkie pytanie. W Paryżu wychodzą pornograficzne książki angielskie, znajdujące nabywców wśród turystów pozbawionych u siebie w domu tego

(2) Londyński miesięcznik „Kontynenty” ze stycznia r.b. przynosi niezwykle interesującą dyskusję młodych literatów emigracyjnych o języku polskim i o jego perypetiach w zderzeniu z angielskim. Polecam każdemu.

specjału, wskutek zakazów prawnych. Pisane wyłącznie dla zarobku, dostarczają franków studentom i początkującym literatom (młody poeta angielski opowiadał mi, że odrzucił taką propozycję uzasadniając odmowę tym, że nie ma „dirty mind”, na co usłyszał, że co jest potrzebne to nie „dirty mind” ale „dirty language”). Otóż warto odnotować, że te utwory, których same tytuły informują odpowiednią kategorię klienteli (np. „The passionate lash” czyli „Namiętny pejcz” to coś dla sado-masochistów) skrzętnie unikają „awangardowości”, jakby w wyczuciu małego z niej pożytku. A mimo to nic z tej dziedziny co powstało w naszym stuleciu nie umywa się do soczystych romansów osiemnastego wieku. „Memoirs of Fanny Hill, woman of pleasure”. Clelanda, ten zapewne klasyk powieści pornograficznej wszystkich czasów, nawet granitową figurę mogłyby chyba zachęcić do miłosnych igraszek. Jednakże drobniawemu realizmowi opisów służy tutaj język ironiczny a wytworny, z dużą ilością epitetów klasycznych (odpowiednikiem „szybkonożnego Achillesa” są ulubione przez autora określenia organów płciowych: „delicious split” i „powerful machine”) co świadczy, że stara się on uniwersalizować, ogarniać czynność z zewnątrz, zamiast odtwarzać *co czują* ci własnie partnerzy. Pamiętniki pięknej Fanny skłaniają zresztą polskiego czytelnika do rozważań nad charakterem tej anielszczyzny, niesłychanie zapewne trudnej albo wręcz niemożliwej do przełożenia na języki słowiańskie, łatwo w „tych rzeczach” popadające w hałaśliwość. Tym bardziej trzeba pochwalić wydany niedawno piękny przekład angielskiej osiemnastowiecznej prozy, z jej obsesyjno-seksualnym humorem, mianowicie „Tristrama Shandy”. Lektura tego dzieła powinna być najlepszą kuracją dla naszych autorów jeżeli chcą się pozbyć młodopolsko-awangardowych obciążeń. Gdyż w śmiechu czy uśmiechu, jakim ludzkość od niepamiętnych czasów darzy „nieskromne” części ciała, wyraża się pragnienie dystansu, rozdzielenie na myślący podmiot i przedmiot, a przedmiotem jest przeciwieństwo nie tylko otaczający nas świat, ale nasza fizyczna budowa. I kto wie, czy w „Tristramie Shandy” gorący kasztan, który wpada Putatoriuszowi do rozporka, nie bawi nas tak dlatego właśnie, że zdarzyło się to podczas dysputy teologicznej.

Pankowski zdaje się być ofiarą pewnej mody i jego książka przywodzi na myśl niektórych niemieckich pisarzy z lat dwudziestych a przede wszystkim „Zmory” Zegadłowicza. Jak wiadomo, Emil Zegadłowicz, świętek katolickich pism dla rodzin, zbuntował się pod koniec życia i swobody seksualne w literaturze uznał za równoznaczne z lewicową emancypacją. Ale jego protest przeciwko parafianstwu, w której tkwił za głęboko, był zdeterminowany przez teże parafianstwą i na jej poziomie. Trudno oprzeć się przypuszczeniu, że Pankowski nadal zmagają się z parafianstwą, która wielu innych polskich autorów, słusznie czy niesłusznie, już ani ziębi ani

grzeje. Co prawda parę lat temu w jednym z galicyjskich miasteczek zjednoczeni partyjni i katolicy ojcowie rodzin zażądali żeby spalić książki gorszące młodzież m.in. utwory Marka Hłaski. Jest to jednak specyfika terenu i trudno zrozumieć dlaczego ktoś mieszkający zagranicą miałby z tej specyfiki czerpać podniecie do pokazywania języka radnym miasta Rzeszowa czy Poznania.

To nie uboga „pornografia” Pankowskiego odpycha czytelników ale jego powaga, ta najgorsza cecha awangardowego dziedzictwa. Oczywiście, że wrażenia zmysłowe są poważne, nie zawiera się w nich samych żaden sąd wartościujący. I Pankowski mimo woli demaskuje poetykę niezdolną do budowania postaci ludzkich, charakterów. Jego Matuga porusza się nie wśród ludzi ale wśród cieni i doznaje przygód jedynie z cieniami. Czy sam jest człowiekiem też nie wiemy, bo głowę ma obciążoną i pokazany jest tylko system jego wrażeń oraz odruchów. Co zresztą jest wadą jakże często spotykaną we współczesnej literaturze.

Tym niemniej posądzanie Pankowskiego o grafomanię (do czego skłania przedmowa) byłoby wysoce krzywdzące. Książka jest ambitna i licznymi zwycięstwami okupuje porażki. Niektóre szczególnie krajobrazu, niektóre sceny mają dużą siłę ewokacyjną. Zaliczam tutaj zwłaszcza noc w piwiarni IN'T KAPITEINTJE, wieczór bezdomnego Matugi u białych Rosjan (najcieplejszy, najbardziej ludzki fragment książki) i odsłonięcie pomnika z łoju, ulepionego przez cech rzeźników, w miasteczku Saindoux-les-Ventres. Znaczenie dziejów Matugi polega na tym, że są one rozdziałem z nowoczesnych „ksiąg narodu i pielgrzymstwa”, powoli i na różne sposoby pisanych przez różne pióra. Jakiś przypuszczalny traktat o literaturze emigracyjnej, ułożonej według chronologii wydarzeń, musiałby zaczynać się od tematyki łagierniczej, w pierwszym rzędzie od opowiadań Tadeusza Borowskiego i od „Innego świata” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, przy czym nie ma tutaj znaczenia fakt, że jeden z tych pisarzy wrócił z deportacji do Polski a drugi nie. Następnie przychodziłby okres po wyzwoleniu, tzn. w Rosji wskutek paktu Sikorskiego, w Niemczech wskutek zwycięstwa, a więc Bliski Wschód, Egipt, Włochy u Wańkowicza i Jasięczyka, Niemcy częściowo u Borowskiego, później w „Obozie Wszystkich Świętych” Tadeusza Nowakowskiego. Życie na obczyźnie to „Trans-atlantyk” i „Ślub” Witolda Gombrowicza, „Turyści z bocianich gniazd” Czesława Straszewicza, także inny nurt, „starej” emigracji — „Losy pasierbów” Florian Czarneckiego (najbardziej prawdziwa powieść o emigrantach zarobkowych). Wymieniam tytuły i nazwiska, rzecz jasna, tylko przykładowo — jest ich znacznie więcej. Otóż dzięki pracy utalentowanych prozaików wytworzyły się już typy i uporządkowane postawy. Ponieważ Matuga odbywa drogę od przedwojnia poprzez obóz i wyzwolenie do osiadłości za granicą,

można śledzić jak na Pankowskiego oddziałali jego poprzednicy, kształtujący ten sam mniej więcej materiał. Tadeusz Borowski dostarczył mu chwytów do skrótoowego ujęcia obozu koncentracyjnego (gastronomiczne rozkosze cwaniaków skonstrastowane ze zwalami trupów). Kpiny z niezłomnych emigracyjnych wodzów i z ceremonii narodowych w Brukseli (Władziu Matuga, zgodnie z zamiłowaniem autora do brzydoty, zdobywa wracając z pochodu grubonogą, spoconą chorągwiąną ze stowarzyszenia sług im. Św. Zyty) oznaczają, że szarganie świętości należy już do powszechnie przyjętych obyczajów. Okazy Polusów, obieżyświatów i łazików, przypominają nieco ich nieznany prototyp literacki, marynarza Kostka („Mysz”) u Straszewicza, który włóczy się po oceanach i portach z „naszą konstytucją” pod pachą — polską książką kucharską, tym dotykającym dowodem kulturalnego górowania nad innymi narodami. I pogarda Kostka dla „ciemnych Indianów” ma odpowiednik w niechęci Matugi do całego Zachodu. Pankowski ucieka się często do stereotypów, niewątpliwie zresztą mających pokrycie w rzeczywistości. Tam, gdzie zabiera się do materiału nietkniętego przez innych np. kiedy stosując gombrowiczowską technikę próbuje sparodiować wieczór poetycki w przedwojennym Krakowie, wynik nie jest najlepszy, być może dlatego że temat jest nikły i czy „autentycy” mieli rację czy nie mieli obchodzi nas mało. Rozdział ten dowodzi profesjonalnego „zwięzienia” i niezbyt pasuje do całości, podobnie jak zamykająca całość baśń polityczna, sama w sobie godna respektu ale zastająca nas nieprzygotowanych. W ogóle książka jest niejednolita konstrukcyjnie, choć jednolitość inną zapewnia jej bardzo swoiste poszukiwanie językowe.

Skutek tej recenzji będzie prawdopodobnie ten, że Pankowski przysięgnie mi dożywotnią nienawiść. Nałóg unikania recenzji zbyt się jednak ostatnio zakorzenił. Są w Polsce literaci, o których nikt nie ośmielił się pisać inaczej niż pochlebnie, bo korzystając ze swego uplasowania na tzw. stanowiskach, skutecznie zatrułoby życie niesfornym. Takie czy inne zacieknięcia się kół „elity”, w których każdy spotyka się co dzień z każdym, musi prowadzić do fałszywych, z grzeczności, opinii. Nie leży w moich intencjach tenienie Pankowskiego. Jego rzadki dar słowa trzeba cenić. Pierwsza proza beletrystyczna poety nigdy nie obywa się bez błędów a tutaj błędy wynikły z przyjęcia błędnych założeń, pospolitów u wielu pogrohówców Awangardy i może to co zostało powiedziane nie będzie dla autora bezużyteczne.

POOR YORICK

„Rzekłem: Nie jesteśmy wszak z kamienia. Racja to. Wintemem był dodać: ani też nie jesteśmy aniołami (doprawdy żałuję) lecz jesteśmy ludźmi obleczonymi w ciało i rządzonymi wyobraźnią. Jak zaś króto-

chwilnie układa się współdziałanie między naszą imaginacją a naszymi siedmioma zmysłami, zwłaszcza zaś niektórymi spośród nich — wyznając, że aż wstyd mi to wyjawiać”.

Laurence Sterne (3).

Jak się to filtrowało w obyczajowości, w sztuce, że wiek dwudziesty zobaczył powieściopisarzy żółknących ze złości na nasz drobny mankament, ten mianowicie, że nie jesteśmy aniołami? Jeżeli w wierszach szesnastoletniego Rimbauda, zwiastu na i prekursora, jest gniew na fizjologiczną stronę naszej natury, wyjaśnienia dostarcza od biedy nuda prowincjonalnego francuskiego miasteczka i dyktatura straszliwej matki, pod której kontrolą Klementynka, Brzuś i Franio czyli młodzi przedstawiciele rodziny Rimbaud kroczyli po ulicy trzymając się za ręce. Mszcząc się na kłamstwach pobożnej parafianśszczyzny, Rimbaud, równy największemu poecie Francji, Franciszkowi Villon, mścił się zarazem na życiu za to, że jest mroczne, podmiowane, choć frazeologia wychowawców stara się fakty ukryć. Ale co powiedzieć o epoce, dla której pierwowzorem jest absolutny bunt szesnastolatka przeciwko istnieniu? Laurence Sterne jest dziesięć razy bardziej nieprzystojny, bardziej „demaskujący” niż wszyscy spece od „Lolit” razem wzięci — ale bez złości. „Tristram Shandy” to książka potężnej dobroci i jakiegokolwiek byłoby frywolne grzechy Sterne’a, tego anglikańskiego pastora a zarazem blazna Yoricka z „Hamleta”, wyrażmy przypuszczenie, że został zbawiony za to że taką książkę ofiarował w podarunku ludzkości. Kto jak on kochał stryjaczka Toby i kaprała Trima, kto potrafi tak zaszczerpieć pokorę w naszych sercach: czyż nie zyskujemy pewności, że nasze *koniki* i nasze śmiertelnie poważne namietności są akurat tym samym co *konik* stryjaczka Toby, modele fortec i armat? Ale wprowadźmy zgryz romantyczny, choćby umiejętnie przesłonięty, i zastanówmy się jakby Toby i Trim wyglądali np. u Flauberta. Byliby tam tylko nieszczęśliwymi idiotami, w każdym zdaniu o nich czytałyby się jad i pogarda. Dobrze robi prof. Witold Chwalewik w swoim wstępie do polskiego wydania „Tristrama Shandy”, że informuje o wpływie Sterne’a na Filomatów, w pierwszym rzędzie na Mickiewicza. Jak więc i dlaczego później o lekcjach „Tristrama” zapomniano? Nie pamiętam już kto (czy nie Paweł Hostowiec?) zwrócił uwagę na zabawne nieporozumienie obyczajowe w pierwszej połowie ubiegłego stulecia: stare damy, których młodość upłynęła jeszcze w pobażliwej, kpiarskiej i dość rozpustnej przed-romantycznej epoce, przglądały się ze śmiechem swoim wnuczkom, wzniosłym, uduchowionym i lży-lejącym. Filomaci byli jeszcze na samej granicy. Co do przekładu Krystyny Tarnowskiej, to gdyby istniał order Złotego Pióra, gdyby jego nadawanie (odznaczony otrzy-

(3) Laurence Sterne „Życie i myśli JW Pana Tristrama Shandy w przekładzie Krystyny Tarnowskiej. Czytelnik 1958.

mywałby zarazem rozległe włosci) zależało ode mnie, nie tylko przyznałbym go jej natychmiast ale mianowałbym ją członkiem, przepraszam, członkinią, kapituły orderu. Taki przekład jest czynem — ważniejszym niż tasie mce polemik i dyskusji.

Z ZAPADŁYCH OKOLIC

W 1958 roku z okazji stulecia urodzin Selmy Lagerlöf urządzono w Paryżu małą wystawę fotografii i rękopisów. Stałem przed fotografią jej rodzinnego dworku w Warmlandii i usiłowałem przeniknąć tajemnicę. Więc tu mieszkała moja serdeczna przyjaciółka. Nie tylko moja. Również milionów ludzi w różnych krajach, jeżeli w dzieciństwie przeżyli to co ja nad „Cudowną podróżą” jak tytuł brzmiał w wydaniu polskim, czyli nad przygodami Nilsa Holgerssona, zamienionego w *tomte* czyli krasnoludka. Dlaczego ta opowieść o locie nad Szwecją na grzbiecie gąsiora, o złym lisie Smirre, kruk Bataki i mądrej przewodniczącej stada dzikich gęsi imieniem Akka z Kebnekaise, jedne dzieci wzrusza bardziej, inne mniej, daremnie byłoby zgadywać, może w moim wypadku coś znaczyło pokrewieństwo pomiędzy szwedzką i litewską przyrodą. W każdym razie posiadałem dość gruntowną znajomość występujących tam osobistości i zwiedziłem z Nilssem spory kawał półwyspu, od Skanii i Smalandu aż za krąg polarny. Tu następuje szczerze wyznanie: inną, nie mniej znaną książkę Selmy Lagerlöf, powieść „Gösta Berling” czytałem dwa razy, raz w wieku bardzo młodym i nic a nic mnie wtedy nie przejęła a nawet wydała się jakaś głupia; drugi raz parę miesięcy temu i zatargała mną tak, że popadłem w stan melancholii, bardzo zresztą zdrowej dla literata: melancholii w obliczu doskonałości dla niego *nieosiągalnej*. Możliwe, że kiedy powieść ukazała się w 1896 roku znaleziono w niej przede wszystkim dramat luterńskiego proboszcza-pijaka o artystycznej duszy, jednostki nieprzystosowanej. Ale „Gösta Berling” tym nie jest. Jest sagą o rodzinnych okolicach autorki w pobliżu jeziora Vaener, o przeszłości tych okolic, o na wpół zatartych przez czas twarzach „wesołych kawalerów”, rezydentów majorowej z Ekeby („Wracała z objazdu węglarni leśnych, miała usmolone ręce, glinianą fajkę w ustach, krótki niepokryty kożuszek, spódnice z pasiastego samodziela, podkute trzewiki, a za paskiem nóż w pochwie”). A saga, ze swoim tonem bajki („Był raz...” „żył raz...” na pewno słabo przemawia do ludzi bardzo młodych. Trudno im pojąć, że bezgraniczna niemal litość jaką Selma Lagerlöf okazuje wywołanym z miejscowych podań i z własnej fantazji postaciom, bierze się z równoczesności albo zderzenia dwóch czasów; tragedia majorowej i każdego z jej rezydentów, „oryginałów”, przysparzających przez nią tylko z dobroci, a odpłaca-

jących jej czarną niewdzięcznością, rozwija się na papierze, a zarazem Selma Lagerlöf stąpa po ziemi w której leżą ich prochy, wiedząc, że i ona zaraz w tej prowincji nad jeziorem Vaener będzie jedynie wspomnieniem.

Selma Lagerlöf sprawiedliwie dostała nagrodę Nobla. Umarła w r. 1940. Przed fotografią dworku Morbacka przyszło mi do głowy, że mimo pozorów ładu i spokoju musiała być „crazy like a bat” jeżeli wyposażała charaktery ze swojej sagi w tak zwariowane pasje. Ale dlaczego ona a nie...? W jesieni 1944 roku, w Polsce, o parę kilometrów od wioski gdzie mieszkałem, dwór i we dworze umierająca Maria Rodziewiczówna, którą tam goszczono jako uciekinierkę z jej Polesia. W wiosce nikt o tym nie wiedział, ja też nie. Dlaczego ta roświeńniczka Selmy Lagerlöf, mieszkająca w takim samym dworku, niemniej czuła na przeszłość swojej rodzinnej ziemi, Litwy historycznej (ziemi „oryginałów” dziwaków i fantastów) nie mogła nadać regionalności wymiaru wyższego, ogólnoludkiego i dźwignąć się ponad drugorzędność? Będą zaraz śmiać się, że Rodziewiczównę do panteonu wprowadzam. A przecie sag, takich jak „Dewajtis” to ona dostarczała czytelnikom z zaścianków i miasteczek, a nie długowłosi w pelerynach, którzy „po oceanach czarnej kawy płynęli do wyspy ukolenia”. I byłoby brzydko zatajać, że mój kolega Bobkis i ja założyliśmy w szkole coś niby klub wielbicieli „Lata leśnych ludzi” Rodziewiczówny. Choć właśnie porównanie dwóch książek dla młodzieży, „Cudownej podróży” i „Lata leśnych ludzi” naprowadziłoby na ślad niepokojącej niemocy. Pomysł pierwszorzędny ale coraz to rozłazi się wskutek urywanego oddechu (bieg, pływanie i pisarstwo podlegają temu samemu prawu) w egzaltacji i fałszywej poetyczności języka. Czy wady tylko Rodziewiczówny? Czy niby tak potoczna narracja Sienkiewicza nie jest watowana podobną egzaltacją, niedostrzegalną, dopóki swojskość i patriotyczny patos ją chronią przed okiem krytycznym? Eksperyment: odczytywać Sienkiewicza polskim dzieciom wychowanym za granicą. Śmiem wysunąć hipotezę, że *szczerą* akceptacja będzie niemożliwa. Nagroda Nobla dla Sienkiewicza była, niestety, pomyłką.

Czym jest to pęknięcie? Jak głęboko sięga w psychikę całej zbiorowości? Czy jest, jak u Sienkiewicza w „Trylogii”, karą za wyrwanie Polski z Europy Kartezjusza, Pascala, Miltona, Cromwella i umieszczenie jej na księżycu zadowolonego z siebie obskurantyzmu? Czy casus Rodziewiczówna nie ten sam co casus Sienkiewicz? Szwecja po klęsce pod Połtawą, skończywszy z próbami ufundowania sobie imperium, zaznała rozkwitu nauk, sztuk i rzemiosł, Selma Lagerlöf została przez kilka poprzedzających ją pokoleń *wypracowana*. Ale czemu, jeżeli tak, w sąsiedniej Rosji proza, zaczynająca się nie wcześniej niż opowiadania Puszkina, postępuje naprzód milowymi

krokami i wtedy kiedy my możemy tylko chwycić się kurczowo Orzeszkowej i Prusa, oni mają już i Gogola i Dostojewskiego i Turgieniewa? Jak zmierzyć następstwa klęski innej niż militarna, klęska która przypada na połowę XVII wieku?

SAME POCHWAŁY

Trudności uprawiania dzisiaj beletrystyki (tzw. kryzys powieści) dadzą się śledzić na przykładzie prób jej (tj. powieści) przewycięzania. Znakomity stylista ukrywający się pod pseudonimem Teodora Klona dał „autentyczny” pamiętnik nałogowego alkoholika czyli raport o tym jak się idzie od rzemyczka do koziczka (jeżeli znajdujecie satysfakcję w picu samotnym, drzyjcie) (4). Robota jest tak zręczna, że fikcyjność osoby i jej przypadków odgadujemy nie zaraz, dopiero kiedy nas już „chwyciło”. Czyli po długich perypetiach powieść, chcąc siebie ratować, powraca do swoich początków, do papy Daniela Defoe, który uwodził publiczność nienaganną „autentycznością” swoich rzekomych reportaży. Od dawna już, jako wdzięczny czytelnik, zabierałem się pisać o Klonie. Pod przebraniem występuje tutaj pewna kochana, stara małpa, robiąca z siebie małpę — czyli wznosząca się na wyżyny mądrości.

Styl obrazowy, sensualny, post-awangardowy, kuśtyka od zdania do zdania i zbyt często zdradza wysilek piszącego. Stąd śmiertelna nuda francuskich „anty-powieści”. Styl suchy, używany nie jako cel sam w sobie, ale jako instrument, ma się tak do tamtego jak taniec do wleczenia się o kulach. Ten taniec wydaje się naturalny, nie dostrzega się go w ogóle, dostrzega się tylko osoby i sytuacje które mimuje. Znakomici stylści to bynajmniej nie smakosze. Dążą do czego innego niż układ słów, zawsze gotowi siebie lekceważyć, fiknąć koziołka, przeskoczyć w bagatelkę. Pamiętnik Klona jest taką bagatelką, niby nic. Ale...

Zaletą stylu z pozoru nieobecnego jest jego duża nośność. Dotyka spraw i ludzi mimochodem, od niechcenia i już pióro sunie dalej jakby po to żeby tym swoim rozpędem odzegnać się: „ee, tamto było tylko tak sobie”. Chytrłość. Bo właśnie jedna kreska bywa nieraz bardziej celna niż wysilone pacykowanie. Toteż Klon przeprowadza analizę różnych stopni i stadiów pijaństwa, rozmawia nad receptami zalecającymi mieszać wódkę z małym piwkiem, ale z za alkoholowej mgiełki coraz to wygląda przedwojenna Warszawa kawiarnianych ogródków przy Alejach Jerozolimskich, gmach radia przy ul. Zielnej gdzie pamiętnikarz był urzędnikiem, potem ulice Warszawy okupacyjnej, jej podziemne finanse, najzupełniej prawdziwy,

(4) Teodor Klon. „Miałem tylko jedno życie”. Wydawnictwo Literackie. Kraków 1958.

wymieniony z nazwiska szef konspiracyjno-finansowy Edmund Rudnicki (przed wojną dyrektor muzyczny Polskiego Radia) i lokale w których odbywa się obrządek picia narodowego trunku. Powstaje w nas podejrzenie, że Klon wpadł na pomysł genialny: wielu pisało o tym mieście tak jakby nie było w nim wódki i bimbru. Być może cały kraj, mało trzeźwy, nie nadaje się po prostu do oglądania go bez jednej głębszej?

Proza polska w XVII wieku tak jakby nie istniała, poza pamiętnikami Paska. W XVIII wieku była jeszcze kleista i rozlazła — jedyną powieść całą gębą, „Rękopis znaleziony w Saragossie”, Jan Potocki napisał po francusku. Niedoskonałość instrumentu tłumaczy się, jakże by inaczej, niedowładem myśli. Ze studium H.R. Trevor-Ropera w miesięczniku „Encounter” pt. „Trzej cudzoziemcy i Rewolucja Angielska” dowiedzieliśmy się niedawno (a zapomnieli już o tym i Anglicy), że trzej przybysze z Polski byli prawdziwym intelektualnym motorem przewrotu: Samuel Hartlib z Elbląga, jego przyjaciel John Dury, pastor protestancki szkockiego pochodzenia, również z Elbląga, a przede wszystkim Jan Amos Komeński, Czech, który uciekłszy przed katolikami z Moraw rezydował w Lesznie u Leszczyńskich, prowadził tam słynną szkołę i układał traktaty rozślawiające jego imię. Przykreść: bo to wszystko razem przypomina, że w Polsce wtedy były już tylko ostatnie podrygi. Hartlib i Dury wyemigrowali do Anglii na stałe, Komeński, po krótkim pobycie w Anglii, gdzie otaczano go największymi honorami, powrócił do Leszna — i obowiązki wobec wspólnoty Braci Czeskich i zawsze bliżej ojczyzny. Wojna szwedzko-polska położyła koniec jego działalności. Po cudzie jasnogórskim armia szlacheckich Kmiciców obróciła heretyckie Leszno w perzynę, ze szkoły i biblioteki nic nie zostało, Komeński stracił nawet swoje rękopisy i goło-bosy odpłynął z Gdańska do Amsterdamu. W Anglii Cromwell zarządził oficjalną zbiórkę na rzecz ofiar. Tak się złożyło, że upadek protestantyzmu w Polsce, nieunikniony (zawsze jesteśmy tacy mądrzy i w tym co minęło jest dla nas tylko nieuniknioność) otwierał erę ciemnoty. W tym samym kluczowym roku 1656 drukowano we Francji arcydzieło zwinności myśli i suchej zjadliwości języka — „Prowincjałki” papisty Pascala.

Poezja odkuła się, proza nie. Dlatego proza polska musiałaby się dzisiaj gimnastykować za wszystkie czasy. Nie żeby zdobyć „lekkość”, bo amatorów tego towaru było zawsze dosyć, jako że rozgrzesza on z innych niedostatków. Raczej żeby zdobyć elastyczność potrzebną do uporania się z trudną problematyką. I bądź co bądź się gimnastykuje. Polska obecna ma złą na ogół literaturę, dobre piśmiennictwo, jeżeli za miarę obrać lata 1946-1959. Rozróżnienie to, trochę przyznajmy, sztuczne, coś jednak znaczy. Zapytani przez wydawców zachodnich o powieści i sztuki teatralne stamtąd, znad Wisły, bąkamy z zażenowaniem, że nie, że nie to, tylko satyryczna

opowieść, filozoficzna parabola, wiersz, esej, felieton. Niezależnie od powodów tkwiących w polityce, jest w tym jakby przesuwanie się zainteresowań, może trochę szybsze niż na Zachodzie.

Stefana Kisielewskiego czyli Kisiela zaliczam do czołówki. W tej czołówce brak natolińczyków, ci do pióra nie mają szczęścia. Albo wypiekają swoje zakalce tzw. marksistowskie, albo, jeżeli postanowią puścić się w taniec, popadają w dzieżdżony styl szlachecki: animusz, rubasność i mętlik pojęć. Mimo częstego stawania na głowie (niekiedy figura niezbędna) jest u Kisiela osiemnastowieczny dystans do siebie, orzeźwiający chłodek, bynajmniej nie równoznaczny z ironią romantyczną. Badanie czy przypadkiem nie Kisiel jest wspomnianą starą małpą zostawmy zawodowym szperaczom. Jego „Opowiadania i podróże” (5) wystarczą, żeby ocenić jego cnoty. Kisielem jako pisarzem prawie nikt się nie zajmuje i bardzo to dla niego pocieszające. Jego odbiorcy zanadto przejmują się samą treścią, chwając czy wściekając się, żeby jeszcze zadawać pytania o *jak*. Boję się tutaj, żeby nie zauroczyć. Bo Kisiela trzyma dziennikarstwo, uganianie się za dziwami współczesnego nam świata. Gdyby nagle włożył sobie na kędziory (?) wieniec laurowy i wdychając głęboko dym papierosa zaczął tworzyć dla potomnych, pewnie by się zaplątał. Jego finty, za pomocą których usiłuje wymknąć się beletrystyce, są objawem zdrowego instynktu. Finty te są dwojakiego rodzaju: albo reportażowa autentyczność (patrz papa Defoe) albo fikcyjność na odwyrtkę, na całego, z pokazywaniem, że to na niby. Nie sądzę, żeby się jak dotąd zdecydował. Zdaje się, że pierwszy rodzaj lepiej mu służy. Np. w ostatniej książce opowieść „Mieszkanie”, dzieje warszawskiego mieszkania za niemieckiej okupacji, gdzie jest, no, mistrzem, albo drobiazg „Chciałem pisać”.

Tematy wojny i niemieckiej okupacji od kilkunastu lat są walcowane w Polsce, do czego przyczynia się i obfitość doświadczeń i „przerzut” — cokolwiek boli i jątrzy zostaje świadomie albo nieświadomie przesunięte w okres, dający się ująć już bez szczególnie dotkliwych cenzuralnych ograniczeń. Wojna spełnia więc poniekąd funkcję mitologii — jak Wojna Trojańska w „Odprawie posłów greckich” Kochanowskiego albo, żeby sięgnąć do innego i użytku i zakresu, wojny kozacka i szwedzka u Sienkiewicza. Antologia tekstów literackich, z wyłączeniem bezpośrednich świadectw i pamiętników, musiałaby objąć niejedną tom. Może to kogoś zdziwi, ale zdawkowym, szkieletowym fragmentem w jakich utrwała wojnę Kisielewski, należałoby się tam jedno z najbardziej zaszczytnych miejsc. Nie przypominam sobie, żeby gdzieś lepiej była uchwycona sama esencja września 1939 roku (ryki miotającej się

(5) Stefan Kisielewski. „Opowiadania i podróże”. Wydawnictwo „Znak”, Kraków, 1959.

thuszczy mężczyzn w ciemnych koszarach) niż w powieści Kisielewskiego „Sprzysiężenie”. On to również ocalił od zapomnienia cały kompleks wyspy w wojennej Warszawie — apartamentu, w którym elektryczne słońca kradną prąd, którego mieszkańcy, zamroczeni bimbrem trochę ale za to w permanencji, przykrywają się w nocy walizkami, dla ciepła. Ten motyw wyspy często powraca w twórczości Kisielewskiego i w pełni sympatyzujemy z jego bohaterem, co to budził się „wypoczęty jak korniszon”, czy też natychmiast przewidujemy katastrofę, kiedy w zacisznej przystani zjawiają się „Grażyna”, „Sęp” i „Borzoohaty” a goście w długich butach i z wąsikiem zostawiają kartki w gatunku: „krawiec przygotował nową dynię”.

Witalność ale niegłupia, świeżość spostrzeżeń ale podbudowana wiedzą, to rzadkie. Kisiela noty z podróży do Marsylii i do Londynu cieszą znających te miasta, choćby się nie we wszystkim zgadzali. Z kim się zresztą Kisiel wyklóca, to nieważne. Błagam go, żeby mi nie wierzył. Bardzo ważne. Bo z pisarstwem jest jak z polityką: gonimy z wywieszonym językiem, ale nigdy nie łapiemy tego zwierza, którego trop nas nęcił, tylko całkiem innego. Gdybyśmy jednak nie gonili, nie złapilibyśmy nic. Co do stylu to twierdzę, i nie pierwszy raz, że jest nam *przydany* jeżeli dostatecznie porusza nas los ludzi. Ładny byłby figiel, gdyby „publicystyczny” wesołek Kisiel został umieszczony w komnatach potomności (na Wawelu?) jako niezrównany stylista.

Czym będzie dalej pisarstwo Kisielewskiego, trudno byłoby prorokować. Są przeszkody. Jest to pisarstwo trzeźwe i realistyczne — w kraju, gdzie szanse ma pol-, soc- i sur-realizm ale nie realizm.

Czesław MIŁOSZ

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O. - WOLNE od CŁA
LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ**

Katalog 200 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie.

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA TD

21 Earls Court Rd, London S.W. 5



Fragmenty z dziennika

Wtorek

1939 — 1959.

Trochę historii? Polskiej? Ja tak mało ją śledzę, tak jej nie szukam (to ona do mnie zagląda) — patrzę na nią z daleka, jak na łańcuch górski. Czyż mam mówić o niej? Ale historia to — przecież — patrzenie z daleka, to właśnie to!

Jakże w końcu ułożyły się role? Kto jest przegrany, kto wygrany — kraj, czy emigracja? Gdzież Polska obrała sobie wreszcie miejsce zamieszkania — w kraju, czy „w sercach uchodźstwa”.

Przyznajcie: emigracja to jeden wielki „niewypał”, ona się nie udała w tym wydaniu 1939. Coś nawaliło w dynamice — nie spełniła swego historycznego zadania. Zagadka: jaka jest różnica pomiędzy emigracją, a lodówką? Ta, że emigracja nie powinna za dobrze konserwować. A jaka różnica między emigracją a puszką sardynek? Ta, że emigracji nie służy hermetyczna izolacja.

Tymczasem wy (wiadomo, kogo to „wy” dotyczy) staraliście się tylko o jedno. Aseptyczna czystość, żeby nie dopuścić żadnego bakcyła! Zachować przeszłość! Zachować przeszłość nieskalaną! Staliście się więc Piastunami, urządzając w sobie, oprócz lodówki, ołtarz, muzeum i (poza tym) kabaret. A największa ze świętości waszych to wy sami, tacy jakimi wywieźliście siebie szosą na Zaleszczyki z tamtego szczęsnego dwudziestolecia. Wy sami! Oto skarb najwyższy! Najwyższy sakrament! Nie będę tracił słów na rzeczy znane. Konserwować! Przechowywać! Być posągiem, zamieniającym w spiz to oddalające się, uciekające! Nie dozwolić, żeby jakakolwiek zmiana zakłóciła wzruszającą identyczność z minionym czasem! Żyć dla przeszłości! Żyć tymczasowo, aby w przyszłości móc wskrzesić przeszłość! Nie dozwolić, aby pojawiła się najlżejsza rysa na pancerzu tej wierności!

Egzystencja jest jak rzeka — ta, gdy natrafia na przeszkodę, natychmiast zaczyna szukać innych dróg i przecieka, które się da, otwierając sobie nowe ujścia nieraz w kierunkach, które ani się jej śniły! Emigracja nasza z rzeką nie wiele ma wspólnego. Stała ona przed murem, czekając aż runie, i do dziś stoi i patrzy i czeka. Masażami usiłujecie zastąpić brak naturalnego ruchu. I w ciągu dwudziestolecia nie zdobyliście się na nic nieprzewidzianego, nie zaskoczyliście niczym Historii. Taka potulność świadczy o dobrym wychowaniu, ale nie jest w stanie zjednać Nemezis, która ceni sobie chłopów z... No, ale o czym tu gadać!

Grzeczność! Kulturalnymi jesteście panami!

Środa

Cóż się zdarzyło w życiu dwudziestoletnim słowa pisanego na wygnaniu? Twórcy? Dzieła? Idee?

Bywam czasami u przenuzonych literatów argentyńskich, gdzie się zagaja rozmowę: — *Que nuevos valores surgen entre Vds.?* (jakie nowe talenty pojawiają się u was?). Na takie pytanie mógłbym godzinami odpowiadać. No, bo przecież w prozie Józef Mackiewicz, Czesław Straszewicz, ale i Nowakowski i Bobkowski, a w poezji Baliński — wszystko to właściwie na emigracji urodzone — a iluż publicystów zadzierzystych, iluż innych artystów, których nie wolno pominąć... A czyż byłoby słuszne zapomnieć o tylu cennych utworach, którymi pisarze, już przed wojną wybitni, wzbogacili swój dorobek? Zaprawdę! „Piękną kartę zapisała literatura wygnania...” etc. etc. Owszem, owszem. Tylko... z punktu widzenia historycznego?...

Skoro już mowa o historii — jakież to zadanie historyczne stało przed polską sztuką i polską myślą?

Nic skomplikowanego. Bardzo proste: żyć, żyć za wszelką cenę. Nie umierać! Przyznajmy, że to zupełnie elementarny program wraz ze wszystkimi dodatkowymi punktami, jak np.: nie być posągiem; nie być płaczką; nie być grabarzem; nie recytować; nie powtarzać się; nie wyolbrzymiać; nie rozdrabniać; nie grzmieć i huczeć; nie dowcipkować. A nade wszystko — rewizja! Rewizja całego naszego stanu posiadania i, na dodatek, rewizja nas samych. Gdyż, jeśli wokół nas zmienia się wszystko — jakże my jedni mamy pozostać w niczym niezakłóconej tożsamości z tym co nas stworzyło, co przeto już się nie mieści w czasie teraźniejszym?

Piątek

Pod jednym względem, trzeba przyznać, byli intensywni. Obwarowywanie się i barykadowanie w antykomunizmie, wojna z Polską czerwoną.

Przynajmniej na coś się zdobyli. Tylko... na jakim piętze odbywa się ta robota? Powinna być, u diabła, jakaś różnica pomiędzy antykomunizmem polityki (i propagandy), a antykomunizmem myśliciela i poety. Rozprawa literatury wygnanej z tym wrogiem nie koniecznie musiała być sprowadzona do krzyków „łotry”, do szyderstw, płaczu, wydziwiania i przeklinania. Poza taką łatwiną, asymilującą pośpiesznie wszystkie już wypracowane chwytły, znalazłoby się przecież miejsce na wysiłek intelektualny i w ogóle duchowy, będący w jakiejś takiej proporcji do najpotężniejszego wstrząsu, jaki się nam wydarzył odkąd Polska Polską — do jednej z najśmielszych przygód, jakie przytrafiły się ludzkości.

Ale musieliby zadać gwałt samym sobie, dosyć przykry — bez tego ani rusz. Musieliby zacząć od potraktowania komunizmu z życzliwością, a nawet przyjaźnią... musieliby poczuć się naprawdę „towarzyszami”. A druga część owego samogwałtu byłaby, o ile to możliwe, jeszcze bardziej przeciwna naturze, gdyż musieliby potraktować wroga własne swe osoby wraz ze wszystkim co je urobiło tj. z całą dotychczasową historią, będącą historią narodu, Bagatela! Pobratać się z Kremlem i odepchnąć najdroższe skarby własne — tego się od was wymaga!

A jednak jakże chcecie inaczej *dosięgnąć wroga*? Nie wnikańszy wprawdzie w jego racje z najpełniejszą życzliwością, z najpoważniejszym zbliżeniem się do tego ideału? Trzeba by go pojąć nawet w jego jądzie i brudzie (które są nieodłączne od jego cnót) — wówczas dopiero wasze ciosy mogłyby go ugodzić. Ale może to przekracza wasze siły? W takim razie pozostaje jeszcze chłodny obiektywizm, sprawiedliwość, która widzi zbrodnię po obu stronach barykady, osądzenie tak surowe własnych grzechów, iż to dałoby wam prawo rozprawienia się z grzechem cudzym.

Wszelka zatem krytyka komunizmu musiałaby być połączona z rachunkiem sumienia, nie cofającym się przed prawdą. Któż na to zdobył się wśród was? Tylko Miłosz posiadał taki chłód — on i Mieroszewski, który wprowadził chłodną trzeźwość do polityki. Poza tym? Można by ze świecą szukać w tej dwudziestoletniej waszej poezji i prozie takiej walki, która lojalnie szuka przeciwnika na jego własnym terenie — szuka, odnajduje, uderza. Literatura emigracji zachowała się inaczej... konsekwentnie.. 1. i, niestety, tak właśnie jak było do przewidzenia. Gdy cię wyrzucą z domu rodzinnego, cóż masz robić? 1) Jęczeć. 2) Wspominać. 3) Pomstować. 4) Głosić swą niewinność. Ten to program został urzeczywistniony i on to pozabawił naszą polemikę z komunizmem klasy, wielkości, twórczości.

Główna część tej literatury pod przewodem wieszczka — jakże by nie! — Lechonia i redaktora Grydzewskiego do tego służy. Reszta tego pisania — po to żeby udowodnić, że się

jest jeszcze pisarzem — i akurat takim, jak się było. Och, to *status quo antes!*

Umyślnie nie precyzuję, kogo mam na myśli mówiąc „wy”. Wszystkich z małymi wyjątkami. Nożyce same się odezwą.

Sobota

Zauważę jeszcze, że nie wypełnili dwóch kapitalnych zadań intelektualnych, wyznaczonych im przez Historię. Zapoznać się bliżej z teoretycznym marksizmem, zbliżyć się do egzystencjalizmu.

Można by sądzić, że jedno z drugim nie wiele ma wspólnego — a jednak dopiero te dwie koncepcje razem wprowadzają naprawdę w epokę. Tylko że... Do Marksa, jak i do Kierkegaarda, potrzebny jest Hegel. A Hegla nie ugryziesz bez Krytyki Czystego Rozumu. Ta zaś wywodzi się po trosze z Hume'a, Berkeley'a, konieczny byłby na dalszym planie przynajmniej Arystoteles i choć trochę Platona, ale i Descartes, ojciec nowoczesnego myślenia, też by się przydał i to także jako prolegomena do fenomenologii, bez której to fenomenologii (Husserl) nie można czytać ani *L'être et le néant*, ani *Sein und Zeit*. Nie chcę straszyć tytułami, nazwiskami. Nie robię z siebie filozofa, gdyż jestem poetą i mam wrodzony *abschmack* do abstrakcyjnego myślenia. Ale te nazwiska i tytuły wyznaczają horyzont studenta na drugim roku filozofii — i pytam, wielu z naszych myślicieli sprostałoby takiemu egzaminowi? Z czym tedy do gościa? Z zupełną ignorancją nowoczesnej wizji świata i człowieka, intelektualnego rozwoju ludzkości na przestrzeni dwóch tysięcy lat, z mętlikiem co się tyczy najbardziej rozstrzygających momentów ludzkiej świadomości — tym chcecie walczyć? Wyczuwa się przecież we wszystkim co piszecie brak tej najbardziej ogólnej orientacji w dziejach myślenia, znacie wszystkie litery alfabetu, oprócz a, b, c.

Nie idzie tu jednak o intelekt wyłącznie — trzeba też wsłuchać się, wczuć, wejść w nowość stającego się świata, w jego smak, styl, rytm, pasję... O to ci artyści się nie pokusili. Rozbrat uczuciowy pomiędzy tym gronem konsekwentnych konserwatystów, zapiętych na wszystkie guziki, a nowoczesnością (wiem, że to słowo jest na indeksie i że grozi mi pomówienie o snobizm) jest rozmiarów katedry kołońskiej.

Katolicyzm! No, cóż robić, katolicyzm! On, któremu już wszystko wiadomo i całej reszty słucha z poziewaniem... te końskie okulary na oczach polskich, nie pozwalające zerkać na boki... Powtarzam, nie jestem wrogiem katolicyzmu, jestem wrogiem tylko funkcji, którą spełnia w kulturze naszej nie od dzisiaj. Ale wasz liberalizm, scjentyfizm, socjalizm itd. są równie mało obeznane z tym, co nazwałbym samopoczuciem

w nowoczesności. Nie wiecie po prostu o co chodzi i w którym kościele dzwoni. Po dwudziestu latach bezpośredniego obcowania z Zachodem wiecie o tym mniej, niż dziś wiedzą w Polsce!

Przypuśćmy, że się myślę i że egzystencjalizm nie wiele wart a marksizm już przewyciężony... Dobrze. Ale jakże chcecie wzgardzić nimi, nie znając ich, znając je tylko po tebkach?

Poniedziałek

Kult twórczości nigdy wśród Polaków nie kwitnął. Naród zawsze zapładniany, nigdy prawie zapładniający, który tak mało wniósł w kulturę uniwersalną, tworzenia nie czuł, nie rozumiał. Twórczość jest u nas czymś raczej niesmacznym. W sztuce ceni się dobrą robotę z drugiej ręki.

Stąd tragicomiczna sytuacja, gdy wszystkie te Lechonie zostały przyparte do muru: teraz musisz coś wydusić z siebie, skok, inspirację, ideę, coś niespodziewanego i niebываłego żeby wytrącić Historii inicjatywę! Odpowiedzieli recytując wszystkie dotychczasowe utwory plus nowe, akurat takie same, kubek w kubek. Wszystko pięknym językiem, wzorową składnią, kulturalnie, z godnością i z przecinkami.

Jestem daleki od wymagania, żeby każdy członek Związku Pisarzy w Londynie stał się ziejącym wulkanem. Ale niechby chociaż dwóch, czy trzech. Niechby to były tylko próbki...

Mnie się zdaje, że was zgubiła poprawność waszego cierpienia i przyzwoitość waszych intencji. I, także — jesteście tacy sympatyczni!

Sroda

Na emigracji — powiedział Wittlin w przenikliwym i pouczającym odczycie na kongresie P.E.N.-Clubów in Exile pt. „Blaski i nędze wygnania” — *prawie z reguły następuje pomieszenie pojęć i kryteriów, powstają nieprawdopodobne hierarchie, nie ma bowiem istotnych mierników prawdziwej wartości pracy pisarza. O tej wartości rozstrzygają przeważnie względy uczuciowe, przebrzmiałe mity i przebrzmiałe zasady estetyki narodowej, jakimi kierowały się dawne emigracje w ocenie swoich „wieszczów”.* Ta konfuzja szczególnie dotkliwie dała się we znaki polskiej emigracji w czasie ostatniej wojny.

Rozumne słowa. A im mniej życia, tym trudniej o tę naturalną selekcję. „Wiadomości” stały się idealnym wyrazem miernego wykańczania się emigracyjnego, trudno o cmentarz staranniej wyglansowany, wyprasowany, uczesany, wylizany i *comme il faut*. „Wiadomości” wraz z całą grupą londyńskich

pięknoduchów, snobów, Anglików, Europejczyków, emeszetowców, polonistów, estetów, koneserów. Strach ogarnia na myśl co by się stało, gdyby szczęśliwym cudem dialektyki „Kultura” nie pojawiła się na horyzoncie, jako antyteza. Zastanówcie się tylko, jak byśmy wyglądali bez tego paryskiego miesięcznika. Mieroszewski, rzecz jasna, do „Wiadomości” nie zostałby dopuszczony, byłby skazany na felietonowanie w pomniejszych gazetach i ta najtrzeźwiejsza i najbardziej otwarta głowa (która w historii myśli politycznej polskiej już zdobyła sobie jedno z czołowych miejsc) nie mogłaby galwanizować i odkorkowywać naszych zaszpuntowanych na amen „koncepcji”. Nie wspominam o Miłoszu, którego *casus* jest jaskrawy i bijący w oczy. Ale Jeleński! Nie wiem, jak to tam było, ale myślę że Jeleński bez „Kultury” nie wyskoczyłby na jedyne publicystę polskiego naprawdę wprowadzonego w Europę, nie przeniknąłby do poważnej elity francuskiej — on, którego stosunki i mnie tak bardzo ułatwiły start z mymi książkami we Francji, Włoszech, nawet w Stanach. Najpewniej, wskutek owych „względów uczuciowych, przebrzmiałych mitów i przebrzmiałych prawideł estetyki narodowej”, o których wspomina Wittlin, gięćka, żywa, czujna bystrość Jeleńskiego, najlepiej wśród Polaków zorientowana w dzisiejszej literaturze europejskiej, nie uzyskałaby wstępu do grydzewskiego Olimpu i po prostu nie miałaby gdzie rozpocząć literackiej kariery. A Parnicki? I — żeby już nie cytować nazwisk — tyle innych nowości, wprowadzonych przez „Kulturę” na odcinku społecznym, politycznym, artystycznym — gdzież by to się podziało? I wreszcie, co też nie jest niemniej ważne, jakże by wyglądało nasze współzycie z krajem — przecież „Wiadomości” i ich grupa to chiński mur — czy pamiętacie uchwałę Związku Pisarzy w Londynie, zakazującą drukowania w Polsce, tę uchwałę monumentalną, posąg niedołęstwa?

„Kultura” stała się biegunem, wokół którego jęło się skupiać życie emigracji. Jeśli jeszcze cokolwiek się żyje tutaj, to w jej klimacie. Znam was, spryciarze! Przymrużywszy oko, napomkniecie coś o „kółku wzajemnej adoracji”, że to niby ja do „Kultury” pisuję, a Jeleński i Mieroszewski mnie „popierają”. Prześcąćcie zwracać głowę. Ja ze strachu przed wami najchętniej nadal chowałbym pod korcem prawdę, że ci nowi ludzie są dziesięć razy lepsi od waszych nieruchawych figurantów i akademików od siedmiu boleści. Ale bieda z tym, że przeze mnie przemawia coś silniejszego ode mnie: Czas.

Sroda

Dlaczego ostatnio zerwałem z dyskrecją, która mnie charakteryzuje, i bywam nieco żenujący a nawet wręcz prowokujący? Nie robię tego dla zabawy. Idzie o doprowadzenie do

polaryzacji, o linię podziału. Zbyt długo już to co żywe miesza się z trupiarnią. Trzeba aby życie poczuło się życiem, doświadczyło swojej bezwzględności, ostrości, swojego rozmachu i jęło torować sobie drogi.

Piątek

Zacytuję jeszcze Wittlina:

Pisarz-wygnaniec żyje w społeczności zwężonej, w której nie łatwo jest tworzyć, a tym bardziej ogłaszać dzieła rewoltujące. Taka zwężona społeczność najchętniej daje posłuch temu, co już od dawna zna... Toteż ciężko jest pisarzowi na wygnaniu narzucić emigracji swój smak i swoją nowość.

I zaraz dodaje:

Biada mu jeśli ulegnie. Bo jeśli w normalnym społeczeństwie każdemu artyście grozi największy jego wróg, którym jest chęć podobania się, niebezpieczeństwo od strony tego wroga jest stokroć większe w społeczność zwężonej, gettowej...

Proszę! A zatem nie trzeba zanadto się wdzięczyc, to nie byłoby zdrowe w społeczeństwie „zwężonym, gettowym”. Bardziej wskazana jest szorstkość szczerości, choćby nie była w smak tym, co od dwóch dziesiątków lat rozpierają się na swoich synekurach wyzyskując fakt, że „taka zwężona społeczność najchętniej daje posłuch temu, co już od dawna zna”.

Linia podziału! Linia pomiędzy ruchem, a „markowaniem” ruchu!

Sobota

Jaka szkoda, że nie mamy Sandauera! Ten by się przydał ze swoją pieczęcią „Bez taryfy ulgowej”. Kraj zdobył się mimo wszystko na Sandauera — to jedno wskazuje jak bardzo zdystansowali nieruchomą płytkość emigracji.

Jakto? Zdystansowali? Oni, spętani, was, na pełnym gazie wolności? Niemożliwe! Irytujące! A jednak! Jak widać, więzienie nie jest najgorszym miejscem dla ducha, który staje się prężny w zamknięciu. Podczas gdy tak łatwo rozpuścić się w bezmiarze swobody — jak kawałek cukru, który ze statku wpadł do oceanu.

W pewnym znaczeniu kraj i emigracja są chore na tę samą chorobę. Jeśli bowiem emigracja zapada na sztuczność, będącą następstwem jej odcięcia od narodu, to sztuczność również, i w brutalniejszej dawce, została narzucona im, w Polsce, przez teorię równie zachłanną co papierową. Na emigracji egzystuje się w próżni, bez styczności z życiem, które sprawdza i odnawia. W kraju też wszystko jest zarażone fikcją, ale dlatego, że go wyodrębniono ze świata, ze swobodnej

gry wartości, uczyniono z Polski system zamknięty, na specjalnym prawie. W tych warunkach nie trudno znaleźć kryterium w sztuce: wszystko tam, u nich, czy tu, u nas, co pragnie i wzywa rzeczywistości, życia, prawdy, nie tej względnej i lokalnej, a tej uniwersalnej i ostatecznej, jest cenne a nawet bezcenne; wszystko w esencji swojej koniunkturalne i co na fałszu zasiada, jak na tronie, jest nędzne i płaskie, sprytne i mierne.

Przedemną na stole książka Sandauera „Bez taryfy ulgowej”, zawierająca jego atak generalny na współczesną twórczość krajową. „Generalny” powiedziałem, pomimo iż krwawy Sandauer ogranicza się do pożarcia Adolfa Rudnickiego, Jerzego Andrzejewskiego, Jana Kotta i jeszcze kilku innych na dodatek. Ale w gruncie rzeczy ta książka, od pierwszej strony do ostatniej, wszystko jedno czy chodzi o wysławienie Brunona Schulza, czy o pogrążenie Kotta, jest kopniakiem wymierzonym grze — grze według umówionych prawideł w literaturę polską. Dzieło barwne i charakterystyczne! Jak na dłoni widzi się ich dramat... prowincjonalny... dramat lokalizmu, gdzie rodzą się „miejscowe” wielkości, „prawie” takie same, jak na wielkim świecie, gdzie wszystko jest „prawie” na poziomie, gdzie właściwie idzie tylko o tę troszkę, o to „prawie”. Tę prowincję zarzyna Sandauer nożem chłodnym, spokojnym, rozsądnym, zdyscyplinowanym, chirurgicznym, jest to, trzeba przyznać, morderstwo nader intelektualne, nawet obiektywne!

Czy nie zanadto zarznął Rudnickiego? Czy Andrzejewski jest aż tak okropny? Ale nie z nimi sprawa, tylko z tandetą, jako taką, z wątpliwą dystynkcją tej literatury, niby to à la francuska, czy angielska, ale w nieświeżym kołnierzyku i o paznokciach niedomytych, z zegarkiem, z pierścionkiem, z chusteczką, upomadowanej i że to niby społeczeństwo, Postęp i Człowiek, tyle tylko że Feluś nie zavracał kontrafałdy i w ryja go! Nie jestem skłonny (podobnie jak Sandauer) zwać ich kiepskości wyłącznie na okres zamordyzmu i terroru. Przede wszystkim to skończyło się już dosyć dawno, a po wtóre sztuka, będąc *par excellence* metaforą, nieźle znosi rozmaite inkwizycje. Po trzecie wystarczyłoby chyba gdyby sztuka w Polsce, nie dotykając polityki, zdobyła się chociażby na jedną indywidualność, naprawdę głęboką i autentyczną — to zaraża zmusza do wysiłku, dyktuje poziom. Ich nędze nie tyle wynikają z ich sytuacji, ile z tego, że sytuacji nie umieli spojrzeć w oczy. Ale jakże chcecie żeby spoglądali jej w oczy, jeśli tak się w niej uwikłali? Przecież — przy całym swoim strachu o wartości duchowe i artystyczne przez nich reprezentowane — próbowali jakoś dogadać się z sytuacją, która zresztą, *entre nous soit dit*, dogadzała im w niemałym stopniu, usuwając konkurencję i wprowadzając taryfę ulgową. Recepta na dobre pisanie jest tylko jedna: poprzez konwenans docierać do rze-

czywistości; poprzez rzeczywistość umówioną docierać do ostatecznej. Ale oni? Tak uwikłani, tak tkwiący w swojej historii, wsadzeni w nią po uszy, oni, aktorzy tego przedstawienia — jakże tu uzyskać dystans? Nawet wrogowie, jak Hłasko, tkwią w komunizmie, gdyż — w sensie artystycznym — żyją z niego... i Sandauer słusznie zrobił włączając do swojej książki krótkie prześwietlenie kariery tego młodego autora, wzruszająco bezradnego, niezdolnego opanować intelektualnie swoich kłopotów, zdezorientowanego, prymitywnego, skazanego na obrabianie kilku naiwnych tematów. Hłasko: interesujący, ale tylko jako produkt komunizmu — także syn tandety i jej część składowa.

Jeśli tak to wygląda, dlaczego powiedziałem, że jednak wyprzedzili emigrację?

Gdyż — w przeciwieństwie do was tutaj — tandeta ich męczy. Ton Sandauera — ta chłodna zawziętość w demaskowaniu — nie jest przypadkiem, tylko koniecznością, i musi on mieć wielu, wielu odbiorców w Polsce (czasem książka nie osiąga dużych nakładów, ale jej ton podawany jest z ust do ust jak „wieść gminna”). Mnie ten krytyk nie całkiem odpowiada, zanadto cerebralny, to jego intelektualizowanie suche, wyzute z giętkości, wydaje mi się czasem ułomnością — ale trzeba przyznać, że nikt z nich nie wsadził celniej palca w bolącą ranę. Powiedział, co już dłużej nie mogło obyć się bez wypowiedzenia, znalazł w sobie zasoby szczerości, bezwzględności, surowości, które dzisiejszej kulturze polskiej są wręcz nieodzowne i decydujące dla jej przyszłego rozwoju. Nie idzie o taką czy inną poszczególną opinię, może czasem krzywdzącą, idzie o to że w tej książce po raz pierwszy od wojny daje się słyszeć głos klerka, wracający Polskę Europie (co nie znaczy: kapitalizmowi europejskiemu).

Niedziela

Dla Gombrowicza Sandauer był w Polsce tym, czym Jeleński na terenie europejskim. Jeleński i Sandauer — obaj wypychali go na wierzch z pilnością niezmordowaną, którą podziwiał (bo prawie było mu niezrozumiałe, że można w stosunku do czyichś utworów zdobyć się na coś aktywniejszego, niż uszanowanie, do niczego nie zobowiązujące). Nie mógł też ukryć przed sobą, że o „Ferdynandzie” gęsto mowa na kartach „Bez taryfy ulgowej” i nawet stała się ona dla Sandauera odskocznią w ofensywie na twórczość — *entre nous* soit dit, nie mogła nie dogadzać Gombrowiczowi książka niszcząca wszystkich wokół aby ustanowić prymat bezwzględny jego dorobku pisarskiego.

Dogadzała? Pewnie. I co? Czy dlatego miał wstrzymać się od mówienia o Sandauerze? Uważał, że wystarczy podać

do wiadomości te okoliczności obciążające, aby się oczyścić. Ten kompleks, wysnany, tracił jad.

Zresztą coraz wyraźniej widział, że jego porozumienie z Sandauerem jest dalekie od doskonałości, obejmując tylko część jego utworów i jego osoby. Nie należało oczekiwać od Sandauera niesamowitej chłonności i chwytającej w lot wrażliwości Jeleńskiego — Sandauer był z gatunku chrząszczów, samotnych, maszerujących swoją drogą, mastodont, skorpioniak, mnich, hipopotam, dziwak, inkwizytor, kaktus, męczennik, aparat, krokodyl, socjolog i mściciel. Ten samotnik wybierał z niego — z Gombrowicza — to tylko co mu dogadzało i nawet, kto wie, na dalszą metę trzeba było liczyć się z możliwością że sprzymierzeniec przemieni się we wroga... taki rozwój wypadków, acz mało prawdopodobny, nie był wykluczony...

Wtorek

Dla mnie jest jasne, że — na przekór nędzom — warstwa wyższa w Polsce góruje dziś pod względem inteligencji, oświecenia, nad elitą emigracyjną.

Może się ludzę — bo ich tam o wiele więcej i więcej robią szumu? To tylko mogę powiedzieć, że moje osobiste doświadczenia potwierdzają w zupełności to wrażenie: dziesięcioletnie nakłady moich trudnych książek rozchodziły się w kraju w ciągu tygodni; komentarze prasowe były często szczytem finezji w porównaniu z symplicyzmami, wypisywanymi przez większość organów emigracji. Ze zduszonej Polski powiało na mnie o ileż szerszym horyzoncie!

Podczas gdy emigracja zmarnowała większość okazji, jakich dostarczała szeroka wolność na Zachodzie, oraz styczeńność z jego bogactwami, ludzie krajowi zdolali wyzyskać przynajmniej częściowo swoje plusy. Jakże to plusy? W pierwszym rzędzie, wewnętrzne, kryjome, konspiracyjne prawie, dojrzewanie osobiste, która zdarza się w atmosferze zdławienia, gwałtu, wszelkiego rodzaju sztyku i trudności — nie mówiąc już o katastrofach, grozach, ciosach, klęskach. Wszystko to razem zaostriżyło ich o tyle, o ile miękkość i monotonia emigracji (której jedyną walką jest walka o pieniądź) uczyniły z niej idealną burżuazję. Układności biurokratycznej oficjalnego tonu w Polsce towarzyszy gdzieś z głębi okropny dysonans — o wielkiej dynamice, równej jego goryczy. Rozczarowanie — seria rozczarowań — to prawdopodobnie najznakomitsze wyższe przeszkolenie, jakie otrzymali.

Wspomnijmy też o pewnym odnowieniu, które przynosi każda rewolucja, nawet spartaczona. Przebudowa społeczna musiała pociągnąć za sobą zmiany w perspektywach intelektualnych i duchowych. Nowa ewangelia materialistyczna była

skądinąd szturchnięciem, wytrącającym z ciasnoty katolickiej tradycji, która w Polsce stała się tak hamująca, i dopiero teraz likwiduje się dziedzictwo dawnego jezuickiego konwikt. Tak to marksizm skompromitował Kościół, ale sam też uległ kompromitacji, objawiając się niemniej ciasno i dogmatycznie. A z drugiej strony Naród także został opatrzony znakiem zapytania (mowa o klasie wyższej), ponieważ ujawniła się jego słabość i ponieważ w nowej konstelacji politycznej Polski narodowość coraz mniej ma do powiedzenia. Zdawałoby się zatem, że na trupach Wiary, Narodu, tudzież Marksizmu, na trupach zarówno Dogmatu, jak Filozofii, jak Ideologii, jedynie Nauka i Technika mogą ogłosić swoje królestwo. Ale Technika z Nauką ledwie się w kraju ruszają, coś tam niby ślimaczy się tu i ówdzie — zbyt niezdarnie, aby mogło stać się chociażby namiastką głębszej treści życiowej. Kompromitacja jest powszechna, objęła wszystkie dziedziny i rozprawiła się ze wszystkimi bogami — stąd ich rozczarowanie, stąd ich mądrość.

Ta mądrość wszakże jest szczególna... nie do ujawnienia. Z przyczyn politycznych? Nie tylko. Ci ludzie są jak dzieci, które by chciały wybudować nową budowlę dysponując jedynie kupą starych i pomieszanych klocków z wielu poprzednich imienin — buduje się im nie to co chcą, i coś nieskładnego, arkady zamkowe, fasada domku szwajcarskiego, komin fabryczny i okno kościelne. Polska jest pełna rupieci i jej życie umysłowe to przerzucanie się frazeologiami — tymi sprzed wojnia i tymi, co po wojnie im wsadzono w usta. Wsłuchując się w te uczone dyskusje wylawia się ich fatalne wykształcenie, fatalne wychowanie nawet i, nade wszystko, nieobecność stylu, który by pozwolił nieraz świetnym zdolnościom zdobyć się na osiągnięcie — wszystko jest rupieciarnią, chaosem, nieumiejętnością i brudem. Tyle, tyle brudu! Tyle śmiecia! Mimo to parcie podziemne ich niespokojnej, tragicznej, brutalnej, rozczarowanej inteligencji wydaje mi się nieskończenie silniejsze, niż przed wojną, i chyba powinno wydobyć się w końcu na powierzchnię.

Witold GOMBROWICZ

GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII

84, Sloane Avenue, London S. W. 3

Zaginiony bez wieści

I

Mężczyzna oddał konia chłopcu i rozpryskując błoto poszedł skosem przez drogę. Z osmolonej budy buchaly kłęby pary podczewienione ogniem. Blask padał na błoto, na strugi deszczu, na nogi postępujące wolno w stronę ognia. Zamglone postacie odmierzały wrzątek do blaszanych puszek.

Zamierzał obejść kolejkę, lecz rozstąpili się przed nim, dając mu drogę środkiem. Przeszedł wyprostowany. Nie odpowiedział, gdy kilku pozdrowiło go energicznie: *Zdrastwujcie grażdanin komendant*. — Już wiedzą — pomyślał. — Taką wiadomość ptak przeniesie.

W mrocznej kuchni rozświetlonej węgielkami samowara, komendant zdjął czapkę, pas z pistoletem, bluzę, wsadził broń do kieszeni bryczesów i wszedł do izby.

Chwilę postał przy drzwiach wpatrując się w kobietę pochyloną nad małym łóżkiem. Gdy podszedł kobieta wyprostowała się, odsłaniając dziecko. Dotknął dłonią czoła chłopca.

— Nie lepiej?

Kobieta nie odpowiedziała.

— Jak chcesz.

Podszedł do stołu, usiadł, podkręcił lampę, otworzył pierwszą z brzegu teczkę. Kobieta dźwignęła oburącz łóżeczko z chorym dzieckiem i przeniosła je, zaciskając usta, do mrocznej kuchni. Nie domknęła za sobą drzwi. Słyszał jak zapala naftową lampę. Potem wniosła samowar i postawiła go przed nim na stole. Jeszcze raz wyszła, by wrócić z porcelanowym kubkiem i dwoma kawałkami cukru. Odsunął od siebie cukier aż na

krawędź stołu. — Nie trzeba — powiedział. Zabrała cukier i poszła do kuchni. Tym razem zamknęła za sobą drzwi.

Popijając herbatę słyszał jak układa się w kuchni na ławie. Przed nim, spod przeciwległej ściany, występowały ku środkowi izby dwa sztywno zaścielone łóżka. Od czterech dni pił sam wieczorną herbatę i sypiał sam w tej izbie, a ona w kuchni z dzieckiem. Zdawała się chronić syna przed własnym ojcem. Czy skrzywdził go? Po co mu dawała topór do zabawy? — Odstawił ze stukiem kubek na stół, przetaił ręcznikiem spoconą twarz. Sergiej nie bawił się, był dorosły, miał pięć lat. On sam nieraz obracał cierpliwie drewnianą korbą, a mały, siedząc okrakiem na korycie z wodą przytykał żelazo do brunatnego kamienia i badał końcem różowego palca ostrze narzędzia. Sergiej nie bawił się. Chytry sęk, dobrze ukryty, skierował topór w kość. Oni wracali właśnie z lasu. Jak oszalała przyskoczyła do Wasilewskiego. — Pomóżcie *wracz!* Ratujcie Sergieja! — Oddał topór i piłę drugiemu i już szedł z dzieckiem na rękę ku izbie. Nie pozwolił, wyjął mu dziecko z rąk. — Wasza sprawa Wasilewski las rąbać. Wy u nas nie *wracz*, wy u nas *liesorob*. Nikt wam dotąd tego zakonu nie odmieniał.

Prześcieradłem rozdartym na pasy sam okręcił skrwawioną nogę. Owinął syna w koc i powiózł wierzchem do rejonu. Nie przeziębził go. Uważał. Trzymał go przy piersiach, osłaniał szynem, gdy deszcz i wicher zacięły ukośnie. Nie marudził. Od razu znalazł Olgę Andrejewnę. Ze sklepu, z kolejki ją wyciągnął, musiała iść. *Medsiestra* przecież. Opatrzyła nogę. — Nic ci nie będzie — powiedziała — tylko różowa blizna zostanie na znak żeś *liesorob*.

A teraz ta gorączka. I gorsza od gorączki, bez skargi, bez łzy, sucha jak wiór, rozpacz matki.

Wstał zza stołu. Drzemała z dłonią pod głową, skurczona na wąskiej ławie. Ręką obejmowała łóżko z dzieckiem. Zasłuchał się w ciszę, w oddech dziecka, w jej czujny, przyczajony sen. Z bosej stopy zsunął się pantofel. Podszedł, objął stopę dłońmi. Obudziła się zaraz, usiadła. Odgarnęła kosmyk z czoła, pośpiesznie zapięła guziki bluzki.

— Nie będziesz tak spała. Zabierzemy Sergieja do pokoju. Nie odezwała się, gdy dźwignął łóżko i poniosł ku drzwiom. Postawił je od ściany, przy jej łóżku. Nie wracając już do kuchni zaczął się rozbierać. Pistolet położył na taborecie. Rozbierał się wolno, bardzo powoli. Głośniejsz brzęknął metalową kłamarą, z hałasem przesunął buty. Nie przysła.

— Wejdz — zawołał. — Połóż się.

Zdjął bryczesy, wciągnął nogi na łóżko. Nie nakrył się. Dopiero jak poczuł chłód otulił się kocem.

Teraz weszła. Położyła się w sukni, twarzą do dziecka, róg kołdry wciągnęła na plecy.

— Nie rozbierzesz się?

— Muszę wstawać do Sergieja. Co godzinę ma brać pastylki.

— Jakie znowu pastylki.

— Wasilewski przyniósł. Przywieźli jeszcze stamtąd.

— Ty z nimi bardziej trzymasz niż ze mną. Mają las rąbać a nie karmić pastylkami mojego syna.

Nie odpowiedziała.

— Dobrze, że już mówisz.

— Nie z nimi trzymam, Wasyli Stiepanowicz. Ze sobą i z nim. Jak wisi coś nade mną to się boję i bronię. Jak nad nim coś wisi to też się boję i też go obronię. A jak nad tobą coś zawisnie, to już nie wiem. Dawniej wiedziałam, a teraz nie wiem.

Zaległo milczenie.

Nie mówił jej o swoich sprawach. Niech wie, że to co miało zawisnąć już wisi.

— Słyszysz mnie?

— Słyszę.

— Od Watila wracam.

— Wszyscy wiedzą żeś był u Watila.

— Skąd wiedzą?

— Inaczej jedziesz do Watila.

Cofnął się plecami do poduszki. Po chwili milczenia, podjął:

— Jutro odsyłam ludzi.

— Idziesz z nimi?

— Nie. Ale mają wrócić. Tak powiedział.

— Wierzysz mu?

— Nie, nie uwierzyłem. Rzeczy, mówi, niech zostawią u ciebie. Jakie rzeczy, pytam. No, to barachło co mają. Papiery będą brać u nas. Jakie papiery? Nie wiem, powiada, naznaczona odprawa w Wołogdzie to powiedzą. Uśmiecha się, a oczy mu skwierczą jak dwie skwarki w tłuszczu. Przykłady mi daje. Młodszego leutanta Sokolowa znasz? Znam, mówię. Wczoraj się zgłosił. Pojechał na *siewierozapadnyj. Dobrowolcem poszedł.*

Zwróciła ku niemu głowę, ściągnęła brwi.

— Rozumiesz?

— Tak. Każdy dzień to plama na nas.

— Zrozumiałaś!

Zeskoczył z łóżka, przysiadł się do niej. Próbował obrócić ją ku sobie, siłą przytrzymał jej twarz.

— Boisz się o mnie, powiedz. Boisz się czy nie? Jak się nie boisz to jesteś suka.

Przywarł do niej wargami, przytrzymał głowę.

Odepchnęła go, porwała broń.

— Zastrzelę.

Zdyszany, blady, wskazał pistolet.

— Nie bój się Wala, nie nabity.

Przesłoniła twarz, pistolet upadł na łóżko. Wprawnym ruchem opróżnił magazynek. Podeszedł do stołu. Pojedynczo wpuszczał naboje do kubka po herbacie

— Wystarczyłby jeden i już bym się nie bał.

Zaniosła się płaczem. Próbowwała mówić.

— Nieprawda, to nieprawda. Nie mogę, nie przymuszaj mnie, nie mogę dziś. On chory.

— Gdzie masz te pastylki? Chyba rozpalę w piecu.

Potaknęła, powiedziała cicho, oddzielając słowa:

— Spałam w kuchni, żeby mu to dawać. Mógłbyś zabronić, a doktor Wasilewski...

— Już dobrze, czort z nimi.

Napalił w piecu, a potem wyszedł przed dom. Skierował się pod górę, gdzie kilka okien broniło się przed nocą zamglonym światłem.

Wasilewski leżał na pryczy oparty plecami o ścianę. Czytał książkę przy chwiejnych, oliwnych płomykach. Oliwę dostawali do kaszy. Dawno zauważył, że woleli ją spalać. Ich prawo. Nieodłączny, krępy Józwiak siedział przy Wasilewskim, chwilami wstawał i poprawiał światło. Inni słuchali z pryczy, wpatrzyli w sufit. Wasilewski powiódł palcem po odczytywanym zdaniu, rozległy się śmiechy. Józwiak ryknął na cały głos:

— Wykapany Wasyli Stiepanowicz!

Komendant ściągnął brwi, nastawił źrenice oczu na ostro, machinalnie wraził oba kciuki za pas. W środku, wskoczywszy na stół, Józwiak robił to samo. Wyprostowany, na rozstawionych nogach, z kciukami za wyimaginowanym pasem, z oczami pod ściągniętą krechę brwi, gadał, gadał i gadał, wplatając w swoją mowę jego słowa, Wasyli Stiepanowicza Kurycyna.

Potem usiadł na stole i znowu stał się sobą samym, krępym Józwiakiem, odzianym w skołtunionie runo z waty i czarnych szmat. Gadał do góry, jak gdyby on, Kurycyn stał tam nad nim. *Nada rabotał', nada rabotał', toczno grażdaniin komendant,* a jeść nie nada? Głupi but, a woła żarcia. — Zdjął z nogi bucik, powiódł nim dokoła, pokazując gwoździe.

Gdy Kurycyn szarpnął drzwiami do siebie, śmiechy urwały się, ale Józwiak nie zdążył zleźć ze stołu.

— Ciebie gdzie tak Józwiak uczyli niemytą dupą po stole jeździć, co? Jeść potem na tym będziecie. Czy to kulturno, pan Wasilewski?

Józwiak zlaźł ze stołu.

— My, obywatelu komendancie, tak dla żartu, ze szczęścia. Z żyru *biesimsja, grażdaniin komendant.*

— Żebyś wiedział Józwiak! Ty co, komendantem chcesz tu być, czy może atamanem? Zapamiętaj sobie Józwiak i na całe życie wbij do głowy. A ty Wasilewski nie uśmiechaj się. *Atamanow u nas nie budiet, ich piesienka spieta.* Zapamiętaj pan Wasilewski.

Józwiak podeszedł do okna, poprawił knot. Jaśniejszy blask padł na książkę.

— Ty Józwiak jak sobaczka mu służysz, a on by ciebie w Polsce butem w mordę kopał. Na radzieckiej ziemi to ci pozwala i knot poprawić i na łóżku siadać, a jakże, pozwala pan Wasilewski, ale o dawnym mu się roi, znam ja jego myśli. Zapamiętaj pan Wasilewski, dobrze sobie zapamiętaj: *Polszy niet i nie budiet, niet i nie budiet, nikagda!* — Wskazał ręką okno. — Jest las, *grażdanie.* Lasu starczy. Dla was, dla waszych dzieci:

— I wnuków — skończył Wasilewski.

— *Prawilno, i dlia wnukow, sawierszenno wierno.* A ty, co im tak czytasz jak jaką ewangelię? W apostoła się stroisz, co? A może ty Sienkiewiczom ich bawisz, jak to Poliaki ruskich biją? Zapamiętaj Wasilewski: *Nie bywat' uže etomu, nikagda nie bywat'.*

— To Dostojewski.

— Dostojewski? Ano tak, Wasilewski i Dostojewski. Mało mu własnych pańskich myśli to jeszcze drugiego pana zapiski czyta. — Wyciągnął rękę. — *Nuka tego pana.*

— To rosyjski pisarz — powiedział, opuszczając nogi z kójki.

Kurycyn znieruchomiał z wyciągniętą ręką, blond brwi wystąpiły jaśniej z pociemniałej twarzy. Wasilewski znał tę gniewną drażliwość komendanta.

— Fiodor Dostojewski, obywatel komendant zna pewnie. To największy rosyjski pisarz.

— Ty takim głosem mówisz, jakbyś lekcję mi czytał. Wziął książkę, przewrócił parę kartek. — Rosyjski mówisz pisarz a po polsku pisze. Rozróżniam przecież normalne bukwy od waszych, nie?

— To tłumaczenie. Przekład z rosyjskiego.

— Chcesz mi powiedzieć Wasilewski, że tam u was w *panskiej Polsce* rosyjskich pisarzy tłumaczyli.

— Tak było, obywatelu komendancie.

Kurycyn przewracał kartki i znowu powrócił do pierwszej. Znalazł dwa słowa, które mógł odczytać: *Dozwoleno cenzuroj*.

Nazajutrz rano nie zobaczyli Kurycyna na placu przed stołówką.

Nim odmaszerowali ukazał się ich oczom jeszcze raz.

Wasili Stiepanowicz Kurycyn jechał wolno na swoim koniu, przez osadę, ku wielkiej drodze. Za koniem szła żona dźwigając małego Sergieja. Szli wszyscy rosyjscy ludzie, których służba i praca trzymały w tym miejscu. Stawiał bocianie kroki majster lasu Jermakow, szedł dziobaty brakier i pilostaw ciężki jak wór. Szli woźnice i drwale, szły młode dziewczuchy poszeptując trwożnie i zaciekle. Daria Eliazarowna, ta z kuchni i ta z magazynu o policzkach twardych jak jabłka. Szły stare baby lamentując głośno pod przewodem najstarszej, tej od wrzątku, Matrony Radionownej. Szli z opuszczonymi głowami leśni twardzi ludzie. A on jechał na przedzie z głową wysoko na bladym niebie, wyprostowany, kołysząc miarowo butami.

Na granicy osady i wielkiej drogi zatrzymał konia. Przystanęli wszyscy. Pocałował syna. Potem schylił się do żony i ona całując go naznaczyła mu czoło krzyżem. Nie obrócił się ani razu. Pojechał prosto przed siebie, a oni patrzyli za nim, dopóki nie wessała go mgła. Jeszcze raz rozdarł uszy bolesny lament Radionowny:

— *Ugnali Wasylii Stiepanowicza! Ugnali w armiu sokoła! Dobrowolcom jowo ugnali!*

I druga bezzębna zachłysnęła się strasznie:

— *Wot żizn kakowa, dobrowolcom ugnali!*



Zastępca komendanta prowadził ludzi skrótami przez mokre lasy do wielkiego traktu który mieli naprawiać. Ludzie szli lekko, uskrzydleni nadzieją.

Wasilewski maszerował w środku, między Józwiakiem i Voigtem.

— Kto wie, chłopcy, może upomni się matka wojna o synów Polaków.

Dobrze musieli iść by nadażyć za długonogim Rosjaninem. Unosił się nad mokradłami jak wodny ptak. Gdy wyszli na

szosę zapadał zmierzch, zaległa biała i świetlista, nadładońska i nadoneńska noc.

Na wielkiej pustej drodze pod bezkresnym niebem odbitym w mokradłach, stał człowiek. Szczupła figurka w letnim micjskim ubraniu, w trzewikach na cieniućkiej gumowej podeszwie. Inżynier z Leningradu. Od dwunastu dni czeka. Podniósł ręce do nieba. ścisnął dłonie komu popadło. Otoczyli go gromadą. Zaraz wyjaśni, od jutra zaczynają, tylko usiądą opowie szczegółowo.

Zamyślił się, wyciągnął palce z czupryny, uśmiechnął się niepewnie.

— Widzicie — powiedział. — Tu doprawdy nie można inaczej. Tylko tak.

Usiadł pierwszy na suchszym nieco miejscu pomiędzy dwiema kałużami.

— Ta droga prowadzi do Leningradu. Może być potrzebna. Mamy narzędzia — pokazał stos żelastwa w błocie. — Materiał zdobędziemy na miejscu.

Wasilewski tłumaczył słowa inżyniera.

— *Nada rabota!* — powiedział Józwiak.

— *Sawierszenno wierno* — potwierdził inżynier.

— *Prawilno*. A spać nie nada?

Inżynier pogrzebał palcami w czuprynie.

— Tu doprawdy nie można inaczej. Pięć chałup, chłopci jak wściekle psy, nikogo nie wpuszczą za próg, istna kontrewolucja.

— My też kontrewolucja — stwierdził Voigt — nas może wpuszczą.

— Dostałem kąć z dwojgiem dzieci i staruchą, to moje biuro. Obywatelu Wasilewski, podejdźmy kawałek, pokażę od czego zaczniemy.

Poszli w stronę okien żarzących się żółtawą mgłą.

— Mógłbym wam odstąpić część mojej podłogi w izbie, to wszystko czym dysponuję.

— Jestem z kolegami.

— Jak chcecie Wasilewski, pożałowałem was jakoś od pierwszego wejrzenia. Wyglądacie na inteligenta.

— Dziękuję za komplement. Jeżeli każdy lekarz jest inteligentem to może i ja nim jestem.

— Lekarz? Mój Boże na co też przyszło lekarzom.

— Wy inżynier, Rosjanin, z wami też nie klawo.

Zamyślił się.

— Nie wiem za co i nie wiem kto. Wypędzili w to błoto.

Zalewa nas błoto i chamstwo. Czy nie mogłem czekać w domu? Do nich nie przemówisz. Gubisz się tylko każdym słowem.

Spostrzegł znużenie w twarzy Wasilewskiego, ścisnął mu dłoń obiema rękami.

— Nie będę was trzymał, spokojnej nocy, doktorze.

Odszedł przeskakując kałuże na cienkich podszewach.

Próbowali dobijać się do chałup, nikt się w środku nie ruszył. Usiedli w suchszych miejscach na środku szosy, zbici w gromadki, oparci o siebie plecami, wyciągnięci na ziemi, gęsto jeden przy drugim. Brał mróz, kałuże zaszyły cienkimi szybkami lodu, białe igiełki wyrosły na stwardniałych grudach. Trawy w topieliskach skrzyły się od lodowatych kropel.

Zapadli w otępienie, zeszytnieli na mrozie jak grudy błota.

Nie słyszeli dalekich, żalosnych nawoływań. Dopiero gdy kulawy człowiek przykuśtykał blisko, ocknęli się. Nieprzytomnie patrzyli na gestykulujące monstrum. Człowiek oblepiony był błotem. Wskazywał za siebie glinianym ramieniem, przerażenie rozwarło mu usta, przewracał białkami w czarnej bryle głowy z błota. Koń, koń — powtarzał. — Zjechał z drogi, sam ledwie wysłał. Jedyny koń na pięć rodzin. — *Radi Boga* pomóżcie.

Józwiak wstał, rozgrzał się po dorożkarSKU. Wasilewski zrobił to samo. Podał rękę Voigtowi.

Voigt potrząsnął człowiekiem z błota.

— Zrzuc to z siebie! Zakuje go mróz jak w zbroję.

Poszło ich kilkunastu.

Biały koń okropnie rzeził, wyrywał się do góry. Błoto sięgało mu piersi.

Znaleźli łopaty, drągi, belki. Pracowali długo nim zwierzę stanęło na twardym gruncie, drżące ze strachu i z zimna. Kulawy dziękował, kłaniał się do ziemi, ścisnął dłoń.

Z okna piętrowej chałupy rozległ się donośny bas:

— Wyciągnęli?

— Wyciągnęli.

— No to wejdźcie.

Na dole były obory, na górze izby mieszkalne. Nawóz z ustępu na górze spadał prosto do obory na dole. — Chytre — pochwalił Józwiak.

Chłop miał dwa metry wzrostu i osiemdziesiąt lat. Broda sięgała pasa, siwe włosy ramion. Stał przy drzwiach gdy wchodzili. Kolejno dotykał każdego jak pasterz gdy liczy owce.

— Zmieścimy się — powiedział. — Praskofja Iwanowna! Nastawcie samowar.

Wskazał pierwszą izbę.

— Tu będziecie spali. A tu wypijemy czaj.

Wielka naftowa lampa z okrągłym knotem oświetlała stół i podłogę. Na masywnych łózkach piętrzyły się pierzyny. W mroku pod sufitem pochylały się ku izbie czarne ikony w złotych blachach.

— Siadajcie i odpoczywajcie.

Przysiedli na ławach i stołkach wyszorowanych do białości.

Z pierwszej izby zawołała żona:

— *Kakoj to nastawim? Miednoj ili nikilirowannyj?*

— *Każetsja nikilirowannyj.*

Złożył dłonie na stole przed sobą. Przyjrzał się twarzom pochylonym ku światłu.

— Z daleka wy?

— Z daleka — potwierdzili.

— Z mowy waszej słyszę, że z daleka, a po ubraniu widzę i po życiu, że katorżni. Mowa u was inna niż nasza, ale nie całkiem inna. Tu u nas ruska mowa, prawdziwa ruska. A jak iść na zachód słońca w poprzek dużych rzek to się ruska mowa zmienia. Aż tam za ostatnim lasem gdzie słońce odchodzi, taka ruska mowa jak wasza. A jak iść na południe słońca razem z dużymi rzekami to się znowu ruska mowa zmienia i mówią ludzie po rusku ukraińsku.

— My Polacy.

Zamyślił się.

— Wiem. Polacy w Boga wierzą i w Chrystusa Pana naszego i w Rzymskiego Papieża. I my Rzymskiego Papieża szanujemy. Święty człowiek jako i nasz Moskiewski Metropolita.

W drzwiach błysnął samowar. Olbrzym z porcelanowym czajnikiem na czubie stanął pośrodku stołu prychając i sycząc wrzątkiem. Żywe ciepło ogrzało twarze.

Praskofja Iwanowna wniosła bochen razowego chleba, sól i kubki do herbaty.

— Siadajcie z nami Iwanowna.

Posunął się na ławie, potem wstał, naznaczył bochenek krzyżem, pokroił połowę na części. Nalał sobie herbaty, ułamał chleb, posolił, przeżegnał się szeroko.

— Pijcie i jedzcie. Zapracowaliście.

Sięgali po chleb i sól, bez pośpiechu, ten i ów przeżegnał się nim zaczął jeść. Pili i jedli w milczeniu. Stary pociągnął herbaty z kubka majestatycznym łykiem.

— Krojcie jeszcze i dolewajcie.

Przyglądał się jak Józwiak kroi.

— Kto dobrze kroi ten i zapracować potrafi. Nie wpu-

ściłiny was od razu. Obcych nie wpuszczamy. Nie wiem jak zwać każdego z was i jak każdemu z was po ojcu, ale już was znam. W domu tylko staruchy i dzieci i ja sam. U innych Jermakowych po tej i tamtej stronie drogi ani jednego chłopca. Starzy pomarli a młodzi na wojnie. Tylko ten kuternoga został co konia w błoto wprowadził. Takim się i Piotr Trofimowicz urodził, z jedną nogą suchszą jak rak. Naurągaliśmy temu dziwadłu, ale widać była Boża wola pocieszyć nas Piotrem Trofimowiczem w czas wojny. Chłop choć krzywy zdalniejszy do roboty niż cztery baby.

— A konia to zarył w błoto Iwanie Nikołajewiczu?

— Widzicie Praskofja Iwanowna, on przez tę lewą nogę krótszą jak prosto idzie, a zdrzemnie się, to zawsze w lewo skręci.

Oburzyła się:

— Jak o babach mówicie to nie żarty, a jak o chłopie prawda to zaraz żartujecie.

— Baba z babami trzyma a chłop z chłopami. Ale nie zawsze. Inżyniera nie wpuszciliśmy choć chłop. Za prędko mówi. Jak spojrzeć mocno, to zaraz inaczej mówi, a jak spojrzeć inaczej to jeszcze inaczej zagada. Widać pusty w środku. Trzciniowaty.

— Tak ich dzisiaj uczą. Dawniej uczyli: Rób co ci każą starsi rangą choćby i cierpieć wypadło. A dziś wymagają: Rób co ci każą i nigdy nie cierp. Bo jak cierpisz toś grzeszny. I jak tu żyć i myśleć nie zmieniać? Człowiek przecież ten sam co dawniej. A choć nas Zbawiciel od grzechu wybawił, toć przecież nie od cierpienia. Tylko nas uczył jak cierpieć i myśleć nie zmieniać.

— Mądrze mówicie Praskofja Iwanowna. *Jej Bogu* mądrze. Jak by w Boga wierzyli to by i myśleć nie zmieniali.

Wstał od stołu, chmurny, gniewny, zagarnął ich ze sobą ramionami. Zeszli na dół przed dom.

Biała noc jaśniała od północy elektrycznym blaskiem. Na włosach, na brwiach, na brodzie starca zdawały się związać i rozprężyć świecące węże. Uniósł brwi, błysnął oczami, wyciągnął ramię ku łunie na północy, jak gdyby niebo wzywał na świadka. Zagrzmiął strasliwym szepem:

— *Nas zdiess agitirujut czto Car umier. No REBIONOK to żiwio!*

Od świtu ładowali żwir. Inżynier leningradzki, choć zmarzył porządnie w ceratowym płaszczu, biegał szczęśliwy od jednych do drugich, kierował, kontaktował, wyprowadzał okrzykami samochody z błota, zachęcał do wysiłku miłym słowem, żartem, papierosem „Bielomorka”.

— Jak tak pójdzie dalej — zwierzył się Wasilewskiemu — to za miesiąc jestem w Leningradzie. Wyszkolili was w tym lesie. Złoci ludzie.

— Kto?

— Przecież nie tamci.

Tuż przed przerwą obiadową zaterkotał na szosie otwarty samochodzik o cienkich motocyklowych kółkach. Wasilewski wbił łopatę w żwir. Oparł się o nią. Ból wyrwał mu ręce. Samochodzik przystanął tuż przed nim. Siedziało ich dwóch.

— *Wy pa ruski ponimajetie?*

— *Ponimaju.*

— Powiedzcie waszym ludziom że są wolni.

— Jak to wolni?

— Mówiliście, że znacie rosyjski.

— Znam.

— Jak znacie to wiecie, że wolny znaczy wolny. To znaczy, że możecie sobie iść dokąd chcecie. K'czortu i jeszcze dalej.

— Odstawić łopaty i iść? Zwyczajnie, bez eskorty, dokąd chcemy?

— Tak, wasza wolna wola. — Spojrzał agrestowymi oczami na leningradzkiego inżyniera. — I nikt was tu nie ma prawa zatrzymywać. Słyszeliście inżynier?

Opuścił ręce ku szwom.

— *Toczno tawariszcz leutenant.*

Samochodzik zaterkotał, potoczył się dalej rozpryskując kałuże. Dwie sztywne figurki z płaskimi czapkami na czubkach głów nie obróciły się więcej.

Ludzie wylazili w górę ze żwirowiska, podciągali jeden drugiego po usypującym się stoku. Ze stukiem padała łopata na łopatę. Wasilewski rzucił swoją, przypomniał sobie, wtedy rzucał pistolet.

— Ludzie! Jesteśmy wolni! Ja chyba zwariuję! — Józwiak stanął na głowie, przewalił się tyłkiem w bajoro. — Idziemy! — ryknął. — Naprzód kadrowa kompanio!

Poszedł trzymając się oburącz za mokre siedzenie. Poszli gromadą, popychając się, podskakując, rzucając czapkami pod niebo.

Inżynier zabiegł im drogę.

— Nie odchodźcie! Choć tydzień, jeden maleńki tydzień. Na litość boską, człowieka gubicie! Dwanaście dni was czekałem! Dwanaście dni!

Voigt odsunął go z drogi.

— W dwanaście dni mogliście sami sto dziur zasypać.

— Ja *inżynier*. Leningradzki *inżynier*.

Józwiak oderwał od siebie rękę inżyniera.

— Wy inżynier?

— Inżynier!

— Mówicie jak inżynierowa.

— Och, proklaty! je.

— Tylko nie proklate! — Chwycił go za ogumioną pierś.

— Nie powiedziałem! Taka mowa nasza, *klianus czestju!* Odepchnął go.

— Jaka tam twoja cześć gówniarzu.

Zostawili go na środku szosy. Patrzył za nimi, przygarbiony, rozchełstany, z nogawkami w rękach.

Zbiegli z traktu do lasu. Śmigali wśród drzew po własnych, świeżych śladach. Przemykali grupkami, we trzech, czterech, szybciej, naprzód, bez wytchnienia.

Wasilewski wyciągał nogi, przesadzał pnie zwalone wiochem, przesłakiwał doły po wyrwanych korzeniach. Widział Voigta, rozglądał się za Józwiakiem.

— Voigt! Nie widzisz Józwiaka?

Voigt rozejrzał się. Zwolnili obaj, zatrzymali się dysząc. Minęło ich kilku, kilkunastu, potem dwóch, potem jeden, kulejący, wykrzywiony z bólu. Nikt nie przystanął. Zaprzeczali ruchem głowy, nie widzieli go.

Słyszeli bicie własnych serc. Miarowo uderzały krople o liście poszycia. Poszli z powrotem, powoli, przeszukując oczami dno lasu. Czarny ptak zerwał się z góry, bryznął w nich deszczem z gałęzi. Próbowali wołać, z całych sił, jednocześnie:

— Józwiak! Józwiiaak!

Wróciło echo i znowu ucichło. Rozeszli się na dwie strony. Szukali. Znów się zeszli. Wasilewski usiadł na zwałonym pniu. Wygrzebał spod spodu suchy mech. Rzucił Voigtowi.

— Rozpal.

Voigt wyciągnął krzemień, żelazo i knot. Uderzył, iskra wskoczyła na włókno, dmuchnął, knot zadymił, rozżarzył się, zapłonął suchy mech. Ogień robił się większy i wyższy. Ułamali czub suchej jodły, wetknęli w żar. Słup iskier i dymu uderzył pionowo w górę, wystrzelił nad czuby najwyższych drzew. Do-rzucali gałęzi, zasłuchali się w las. Krzyknęli razem:

— Józwiak! Józwiiaak!

Znów powróciło echo. Zaległa nieruchoma cisza, tylko nad ogniem falowało powietrze.

Siedzieli długo. Szarość lasu nasiąkała fioletem, po zbiegłych pniach pełzały cienie.

Voigt poruszył się, pobiegł, wciągnął się na gałąź, wyżej na wierzchołek jodły.

— Dym! Dym! Pali ogień!

Pobiegli. Zobaczyli go. Wił się w blasku ognia, odpychał płomienie, zrywał płonącą korę z pnia.

Odrzucili głównie, zdeptali, zdusili brzozy pień.

Przewracał się w mokrym poszyciu. Przywarł twarzą do płytkiej kałuży. Nie prędko mógł mówić.

— Skoczyłem w biegu. Noga ześlizgnęła się po korze. Całym ciężarem wbiłem stopę pomiędzy pnie. Sprężyste ścierwa roz-warły się i zamknęły.

Wasilewski oglądał mu stopę.

— Kość chyba cała, nie?

— Zobaczymy

Józwiak zamyślił się. Gładził palcami obolałe miejsce.

— Oderżnąłbym — szepnął — Nie miałem noża. Krzycza-łem, nic. Nie od razu mogłem pomyśleć, że już tak zostanę. Te myśli podchodziły. Zerwałem się. Wrzeszczałem jak opętany. Ucichłem. Już nie mogłem nie myśleć. Tylko o tym. Nie znałem mojego ojca. Gdyby umarł jak każdy człowiek to bym może zapamiętał jego twarz. Nie wrócił z Rosji. Osiemnaście lat czekałem z matką i siostrą. Nie było takiej godziny w naszym życiu żebyśmy nie czekali. Wszystko nam zatruł. List, dobry czy zły, już matka płacze. Kroki na schodach, pukanie, żad-nych świąt, ani jednej niedzieli. Nie wyszła już za męża, nie zmieniła mieszkania. Przez to czekanie nie pamiętam prawdziwej twarzy ojca. Zmieniała się. Z każdym dniem, z każdym rokiem. Jak gdyby żył. Nie zmieniała się jak twarz zwykłego człowieka. Robiła się sina, przeźroczysta, tylko oczy paliły. Zrywałem się z krzykiem.

— Potem, jak wyrosłem, oczy ojca zrobiły się smutne. Dawniej patrzył z czarnej otchłani. Teraz płynie pomiędzy drzewami, razem z mgłą. Tysiącami się kłębią, smutni, nie umarli i nie żywi.

— Zobaczyłem go dzisiaj. Chwyciło mnie za gardło. Ni-gdy, nigdy! Żyć albo umrzeć! Jak człowiek. Żeby ludzie wie-dzieli. Podpaliłem las. Zobaczą spalonego człowieka, zobaczą żem umarł.

— Nie mogłem daleko sięgać, musiałem rozpalić przy sobie. Błysnęła nadzieja: może przepalę te brzozy. Buchnął we mnie dym. — Uśmiecchnął się — Zrywałem korę pazurami. Nie chciało mi się umierać.

Schylił się do stopy, powiedział cicho:

— Jest nas trzech. Jak umrę to przecież zostanie dwóch świadków. Przyjdą po latach do domu. Powiedzą: Nie czekaj-cie. Żyćcie dalej. On umarł. Przysięgamy.

II

Trzymali się za ręce. Nisko przy samej ziemi mgła rozplywała się chwilami, ukazując kałuże i nogi przechodzących ludzi. Stali przy ścianie. Na rzece buczała syrena. Ktoś stojący blisko informował, że statek zabierze wszystkich. „Szeksna” to pakowny wrak. Kolej? Nie, kolei w tych stronach nie ma. Może wagon sypialny?

Tuż przy ziemi rozbłysło światelko. W żółtej mgłę przykucał skośnooki chłopiec w uzbeckim chałacie. Zbliżył puciołową twarz do ziemi, dmuchnął. Drewnienka zajęły się płomieniem. Z mgły wystąpiła druga postać. Siedziała na ceglach. Chłopiec podpiekał w ogniu chleb. Podał kromkę tej drugiej. Nie przyjęła. Nie poruszała się i nie odpowiadała, choć tamten wciąż zagadywał.

— Ogrzejmy się trochę — zaproponował Voigt.

Podeszli do małego ognia.

— *Można pogrietsja?*

— Ognia nie ubędzie — odpowiedział chłopiec po polsku.

— Ty po polsku?

— Mówię.

— *Tvs nie Uzbek* — spytał Wasilewski.

— Uzbek.

— Gdzieś się nauczył?

— Na posiołku. Z nimi — wskazał dziewczynę.

— Skąd jesteś?

— Samarkand znasz?

— Słyszałem.

— No.

— Aż stamtąd trafiłeś na posiołek?

— Uderzyłem nożem.

— Za coś uderzył?

— Nie pamiętam. Tam akurat uganiaли ludzi. Ten z krzykiem poleciał do żołnierzy, tych niebieskich. Pokazywał krew. Złapali mnie i ugnali razem z tamtymi. Za karę żem go nożem.

— Matka, ojciec, pozwolili tak?

— To nie było w domu. Gdzie indziej. Tak sobie chodziłem w różne strony. Alem im uciekł. Dopiero ci co ich wieźli złapali mnie znowu. To już było w tych krajach gdzie albo łagierniki albo czekista. Dwa lata z nimi jestem.

— A ile masz lat?

— Czternaście. Uczyli mnie mówić. Matka Anki mnie uczyła.

— Gdzie ona?

Zawahał się, powiedział cicho:

— Nie wiadomo.

Przyłożył palec do ust, wskazał oczami Ankę. Milczeli chwilę.

— Jak ci na imię? — spytał znowu Wasilewski.

— Ostatnio nazywali mnie Ojczenasz.

— Jakto tak?

— Od tego zaczęli mnie uczyć. A jak nas spisywali to powiedziałem, że ja Ojczenasz. Mogli mnie przecież odesłać do domu. Tam na posiołku co dzień był chleb. Szkoda że nas wygnali.

— Wygnali was?

— No nie, prosili iść k'czortu.

Po chwili dodał:

— Zostaliśmy jeszcze z Anką. Mieliliśmy czekać, rozumiecie? Potem jak Ruscy odjeżdżali, potłukli co się dało. Nie było już zamkniętej izby. Już tam wilki chodzą po barakach.

— Dokąd jedziecie?

Wzruszył ramionami.

— Jak idą rzeki.

— Czy Anka dostała dokument?

— Wiadomo, jak Polacy. — Sięgnął za pazuchę. — Mnie też dali papier, do naszej milicji, tam, w domu. Upaliłem kawałek z machorką.

Wasilewski rozłożył papier, przeczytał na głos:

— *'Ojczenasz uwoln kak polski grażdandin i imiejte prawo...'*

Pierwsza zaśmiała się Anka. Zaskoczeni jej śmiechem nie wydali głosu. Zaraz umilkła. Chłopiec przyskoczył do niej.

— Opisali mnie, co? Durak ten nasz Wańka pisarz. Teraz jedz. Teraz już będziesz jadła, wiem. — Podsunął jej opaloną kromkę. Pokręciła głową.

— Nie mogę.

— Może z cukrem?

Józwiak wysupłał z gałganka nadgryzioną kostkę, zawinął z powrotem i roztarł. Posypał białym pudrem podgrzany chleb. Nie chciała. Wsunęła głębiej twarz za chustkę. Wasilewski położył jej dłoń na ramieniu.

— Jedz Anka. Jak zechcesz możemy jechać razem. Będzie nas piątka.

Zerknęła na niego przez krawędź chustki, kątem oka. Wsunęła szczupłą dłoń po chleb. Chciał cofnąć ramię, wyczuł

jej sprzeciw. Przesunął głębiej dłoń po plecach aż do drugiego ramienia.

Mgła rozbłysła światłami nocy, gdy rozległ się ryk: „PO-SADKA!” Biegący stratowali ogień, porwali ich ze sobą i ponieśli. Wasilewski trzymał Ankę, Voigt Wasilewskiego za krawędź fufajki, Jóźwiak Voigta pod ramię i małego za rękę. Ledwo stopami dotykali ziemi. Ani upaść, ani przystanąć, ani zmienić kierunku. Wniosło ich na trap, na żelazny pokład statku, dalej przez pokład, coraz ciasniej, coraz wolniej, gniotło już tylko żebra do utraty tchu.

Zbita masa wypełniła pokład od burty do burty. Oddychali jeden drugiemu w usta. Ani przesunąć się ani odchylić. Głęboko pod nogami dudniły maszyny. Mgła oszroniła głowy.

— *Tolko dwiniemsja i razsasjotsja narod. Ja zdies' wszech znaju i kapitana i kamandu.*

Wasilewski zwrócił głowę. Nieznajomy w pilśniowym kapeluszu uśmiechnął się.

— Znamy się przecież z portu *grażdanin* Wasilewski. *Można skazać cztery dni pod adnoj stienkoj stali.* To zbliża, *dumaju.* Moja *familia* Putilin. Dłoni nie mogą uścisnąć bo ręce trochę uwięzione. *Patom naładim. Ustroimsja.* Dziewuszka pójdzie do kajuty, kapitanowa sławna kobieta, przygarnie. I my się gdzieś zmieścimy.

— Zagadka życia, *grażdanin* Putilin.

— *Niczewo zagadocznowo, priamo skażu,* spodobał mnie się ludzie.

Gdy statek ruszył i zrobiło się luźniej Putilin wszystkim kolejno uściskał dłoń.

— Sergiej Grygoriewicz zajęty trochę. O włos bywało, awaria. I wyprowadził! On tylko popić musi, żeby nie *nierwiczat'.* Wot, znowu tankuje.

Kapitan wypił, oddał szklanę żonie przez okno, wrócił na mostek.

Spojrzeli niepewnie na czarną rzekę. Stateczek ocierał się o skłębione trawy, lawirował, przystawał, cofał się, buczał. Ruszył naprzód, okręcił się w miejscu, zawrócił z powrotem pod prąd.

Zona trwożnie patrzyła z okna, mąż odchodził i wracał, wypijał wódkę, oddawał szklanę. Szedł coraz pewniej. Po którejś wódce nie odszedł. Zdjął kapitańską czapkę, oparł się o parapet okna. Zona pogładziła go po siwych włosach. Pocałował ją, przetrzymał chwilę przy sobie. Statek szedł równo po głębokim nurcie.

Znali Putilina. Przywitali go po imieniu i imieniu ojca. Wypił z nimi wódkę przy oświetlonym oknie.

Zaprowadził ich do składu zarzuconego workami.

— *Priamo skażu, robotstwa się boją.* A ja tu zdrzemnę się z wami do rana. W Jarosławliu woszobojka, porządna, murowana, zachodnio-europejska.

Płaska flaszka poszła z ręki do ręki, wypili, przytulili się na workach do pulsującej podłogi.

Otworzyła oczy. Patrzył na nią spod ściany. Wskazał oczami drzwi. Wyszli na pokład.

Na rzece migwały światełka. Niebo i rzeka, smugi lasów przybrzeżnych, bryła statku i ludzie snujący się po pokładzie, wszystko było odbarwione, nierealne, zamknięte jak gdyby we wnętrzu ogromnej, prześwieczonej perły.

Poczuła lęk.

— Białe noce.

Stali przy burcie, urzeczeni światłem. Nie mogli mówić. Nisko pod smugami lasów tężały brzegi w zimnych kolorach nocy. W górze zapalały się wierzchołki sosen, migotliwe brzozy, ostre czuby świerków i jodeł, wystające z lasu jak piki antycznego wojska. Od południa nad Jeziorem Białym wisiała mgła. Na pasie seledynu między mgłą i jeziorem ukazała się ruchoma ciżba, nadleciała z furkotem, oslepiając srebrno białymi błyskami.

— Mewy.

Przytrzymał ją mocno ramieniem.

Śliskie belki kanału ociekały wodą. Na zamglonych brzegach baby okutane chustkami obracały z wysiłkiem drewniane kieraty. Ze skrzypem otwierały się wrota śluz. Statek opadał ku wodom dalekiego Kaspi.

Poruszyła się jak zbudzona ze snu, powiedziała cicho:

— Z geografii mogłabym zdawać.

— Nie dostałaś matury?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— *Udostowierenje.* Z historii też bym mogła zdawać.

Zamyśliła się wpatrzona w rzekę.

— Ojciec nie wiadomo gdzie, ja z matką we Lwowie zapchane do ciężarówek. Całe miasto w ciężarówkach. Potem ciepłuszki pod sztykiem bojca. Pół Polski w pociągach wleczonych na północ. Enkawudziści rozdzielają konającym pierniczki polane różowym lukrem, modlitwy na dnie barek, łoskot kotwicznych łańcuchów, współczujące twarze rosyjskich bab, zapluskwione baraki, nazwiska z całego świata wyrzyte na de-

skach prycz, topory i piły w rękach staruszek i dzieci. Mogłabym zdawać.

Putilin położył im dłonie na plecach.

— *Z dobrym utrom grażdanie.*

— *Z dobrym utrom.*

— Dzień nam się zaczął jak w słowach piosenki: *Nas utro wstrieżajet prochładom, nas wietrom wstrieżajet rieka.* Przed nami Wołga, matka rzeka!

Speszyla go spojrzeniem, umilkł. Wskazała ręką południe.

— Czy tam na dole? Czy tam jest inaczej?

Zamyślił się, powiedział cicho:

— Okolica inna, *sistiema ta sama.* — Po chwili dodał — *Zależy kuda popadiotie. Jesli w polskuju armiu, charaszo popadiotie.* — Uśmiechnął się. — Tam na śniadanie drugi front otwierają, argentyński Corned Beef. A u nas *chlieb da kasza.* Dwie cebule dostałem.

— *Niczewo, grażdanie Putilin.* Zaprosimy was po wojnie do polskiej armii.

— *Rabotał w tridcat' diewiatom po pribaltykie, może i prididsja porabotał po polskoj respublikie.*



Nad morzem Jarosławskim świeciło słońce. Pijany kapitan zawrócił stateczek na północ. Z przystani Wierchnie Wołżskowo Parochodstwa wniosło ich z tłumem na „Różę Luksemburg”.

Dwaj żołnierze pilnowali wejścia na górę. Putilin skinął, przepuścili. Żołnierz w walonkach i półkożuszku uśmiechnął się do Anki:

— *Zdrastuj sajuznica! Jeszczo Polska nie zginiela.*

Dotknęła baraniego kołnierza:

— Ale masz futro.

Odwinął połę:

— Szerokie, zmieścimy się.

Wasilewski wskazał Józwiaka:

— Przepuście go, on z naszej kompanii.

— *Po prikazu pan oficer!*

Na górze świeciły posadzki, kręcili się kelnerzy w białych bluzach. Putilin otworzył drzwi do kajuty.

— Ta dla panów, a ta dla pani Anki! Kelner! „*Daj nam atiec szest' butylok żuligowskawo.*

— *Siu minutu.*

Zaprosił na siódmą, na kolację. Wydłubał z kieszonki zegarek.

— Na waszym która, Wasilewski?

— Piąta trzydzieści.

— Idą jak jeden.

Anka zamknęła za sobą drzwi na klucz. Od dwóch lat nie była sama. Chciała przysiąść na białym łóżku, zawahała się. Ściągnęła walonki, zrzuciła watówki, fufajkę, wskoczyła w koszuli na łóżko. Wtuliła twarz w zimną poduszkę. Całowała ją. Usiadła z brodą na kolanach. Zeskoczyła na podłogę. Stała przed lustrem. Patrzyła sobie w oczy, ujęła w palce ramięczko. Wtedy była dzieckiem. Zsunęła. Koszula opadła do stóp. Pokręciła szyją, zabawne, spadziście ramiona. Zerknęła: W sam raz! W dotyku wydawały się wielkie. Przytknęła końce palców, zjechała szybko palcami po skórze. Patrzyła uważnie na łuki bioder. Myślała o nich, ścinała drzewa raz z lewej, raz z prawej. Równe. Nic się nie stało. Poklepała się po udach, w porządku, znała je dawniej. Obróciła się plecami, przekręciła głowę zaśmiała się głośno, przesłoniła usta palcami. „Masz pośladki jak brzoskwinia”. Tak powiedziała ta w łaźni. „Nie zawiedziesz swojego chłopca”.

Zamyśliła się z dłonią przy ustach. Zobaczyła mydło, niebieskie, wypukłe, przytknęła je do warg, zapachniało bzem.

Gorąca woda chlusnęła z kranu.

Otworzyła walizkę. Wybrała ciemnoniebieską, wystawiła pantofle na wyższych obcasach, klasnęła z uciechy. Wciągnęła suknię. W sam raz. Spojrzała w dół: Boże! Rozejrzała się bezradnie. Odwinęła krawędź: dwadzieścia centymetrów! Nacisnęła guziczek, słuchała w napięciu.

— *Pażatsta! Wajditie!*

Pokojowa wybawiła ją z kłopotu.

— A to zabierzcie, mnie już nie potrzebne.

Pokręciła głową, złożyła starannie połatanie watówki, zwróciła je Ance.

— Niczego nie wyrzucaj, doczka. U nas wszystko może się przydać. Zjesz konserwę, schowaj blaszane pudełko, przeczytasz gazetę, schowaj. Zapalki nie dopalaj do końca. Zdmuchnij i włóż z powrotem. I drewnienka czasem braknie.

— Przecież jestem już wolna.

— Na wolności trudniej czasem o chleb niż tam. Tam byłaś pod władzą. Specjalna władza zawsze zdobędzie chleb. Teraz do nikogo nie należysz, niczyją jesteś. U nas to już tak, albo wolność, albo chleb.

— Tu jest wszystko, mydło, gorąca woda.

— Za darmo tego nie dają. Trzydzieści rubli jedna noc. Osiemnaście rubli obiad.

— Ile to jest?
— Ja mam sto dziewięćdziesiąt na miesiąc. Pracuję dużo lat.

Zaległo milczenie.

— Nie martw się, jesteś młoda. My nawet nie mamy na co czekać.

Wychodząc dodała z uśmiechem:

— Ciesz się dniem dzisiejszym, nie wspominaj wczorajszego i nie proś o jutro. Samo przyjdzie.

Poznała kroki, otworzyła szeroko drzwi. Chwilę patrzyli na siebie. Przyciągnęła go, dotknął ostrożnie jej warg. Usiedli razem na łóżku, przytuleni, milczący. Powiedziała szeptem:

— Jak cię zobaczyłam wtedy, pierwszy raz, to tak było, jakbyś wrócił. Nie przyjdzie tylko powrót. Po długim czekaniu.

— O czym mówisz tak cicho?

— O miłości.



— *Niet! Niet!* — zawołał Putilin. — *Eto że krasawica!* Stojąc trącili się kieliszkami. Wojskowi z sąsiednich stolików też patrzyli na Ankę. Wypili razem z nimi.

— *Za dziewczuszki z prywislinskowo kraja!*

— *Za krasawicy Polki!*

— *Za sojuzników!*

— *Za pabiedu!*

Ojczenasz spochmurniał:

— Anki nie widzieli. Taka była zawsze, jeszcze ładniejsza. Zestarzała się w tej sukni.

Kelner miał wszystko przygotowane. Zmieniał nakrycia, nalewał, słuchał uważnie poleceń Putilina, kłaniał się po każdym zdaniu. Wasilewski patrzył mu w oczy jak gdyby oczekiwał, że stary zaśmieje się nagle i wszyscy zaczną się śmiać.

— Zagadka życia.

— *Niczewo zagadocznowo, grażdanin Wasilewski. Socjalizm adno, a za dobrą rzecz trzeba płacić, jak wszędzie na świecie. Wot naprimier czasiki, takije kak eti* — ujął dłoń Wasilewskiego — *tanio ich nie kupisz. Ja partrabotnik i w pribaltykie pażit, i priamo skazu: nie widat takich czasików. Oni u was i waterproof i strieloczka u nich specjalna; od samowo siewiera nabliudaju.*

Zeszytnieli nagle, z kieliszkami przy ustach. Wasilewski powiedział cicho:

— Trzymamy go na czarną godzinę.

— Dlaczego na czarną? Nie daj Bóg byście mieli popaść. *A jak popadiotie, tam o godzinę nie budut sprasziwat', jej Bogu nie budut.* Ja by ich *prodat* nie w czarną, a w jasną godzinę. *Priamo skazu:* spodobali mnie się czasiki. *Dam tysjaczu. Nikto etawo nie dast.*

Milczeli. Nie patrzyli na Putilina, nie patrzyli na siebie. Anka powiodła palcem po wypukłym szkieleku:

— Kajuta trzydzieści, obiad osiemnaście... — pokręciła głową.

— Nie, towarzysze, do samego Kujbyszewa ja płacę. Choćbyście i nie sprzedali. Jej Bogu, Wasilewski.

Zdjął zegarek, przesunął go po stole.

— Nie trzeba, oddacie w Kujbyszewie, a pieniądze mogę zaraz dać.

— Weźcie go zaraz.

Wziął ostrożnie grubymi palcami, przyłożył do ucha.

— Nie będzie mu u mnie źle.

Sięgnął do kieszonki:

— A ja wam oddam mój. Dobry Paul Bure. Niech wam służy. — Nalał im wódki. — *Za pabiedu, druzja, za swobodnuju Polszu.*

Z głośnika nadawano komunikat. Słuchali w milczeniu, do końca, do ostatniego zdania:

„*Wieczna sława gierojam pawszim za swabodu i niezawisimost' naszoj ro diny*”.

Wojskowi przy sąsiednich stolikach nie poruszyli się i potem, siedzieli z pochylonymi głowami, zamyśleni, nieobecni. Kruczowłósy leutenant sięgnął po gitarę, uderzył, zaśpiewali razem, na kilka głosów:

Wstawaj strana ogromnaja

stupaj w smiertelnyj boj

Idiot wajna narodnaja s proklatuju ardoj.

Pust' jarost' blagorodnaja wskipajet kak watna.

Idiot wajna narodnaja, swjaszczennaja wajna.

Zapatrzyli się w okna, jak gdyby łowili pieśń uchodzącą daleko po bezkresnej rzece.

Gitarzysta spojrzął na Ankę, zapytał cicho:

— Spodało się?

— Można się zakochać w waszych pieśniach.

— A w muzykantach?

— Jakby dłużej posłuchać...

— Do rana wam będę grał.

Uśmiechnęła się, wsadziła głowę Wasilewskiemu pod ramię.

— Mąż?

— Nie. Ale będzie.

— Skąd wiesz czy się zgodzi?

— Nie wiem. Ale postaram się.

— Wot dziewczuszka — zawołał pułkownik. — Leutnant jej płocze słowa podsuwa, a ona swoje, poważne.

— My wszystkie takie.

— Propagandzistka jaka — leutnant przysunął się z krzesłem, przysunęli się inni.

— Wy nam od propagandy nie przygadujcie.

— *U was wsio jest, samoje balszoje w mire* — Jóźwiak podrzucił Paulem Bure. — I nędza też.

— A u was nędzy nie ma?

— Kudy jej do waszej. U nas każdy pan, żebyście wiedzieli! Polskije pany! Pastucha znałem, kretyna, z wolem i krzywymi nogami. Na deszczu stał, bosy, z workiem na głowie i śpiewał sobie jak głupi: Czerwone jabłusko, Tadeus Kościusko, na zamku chowany. Tadeus kochany. — Ja pan — pan — mówił — nade mną tylko jeden Pan Bóg. A nad wami?

— A Kościuszkę to my znam — powiedział pułkownik ugodowo. — On z carem wojował.

— Nie z carem tylko z ruskimi.

Pułkownik uśmiechnął się:

— Wy teraz *sajuzniki*, *niet*? Czytał w gazecie, i *pro* Sikorskowo czytał.

— A co miał robić? Zaszłście nas od tyłu, jak wilki. Jak nas miał z łagrów powyciągać?

— *Wot Poliak* zawzięty. Słyszał — pułkownik zwrócił się do wojskowych — że generał chce uciekać, do Persji się wybiera. Może tam i więcej Niemców niż tu u nas na frontach. I z Tegieranu widać bliżej do Polski niż z Warszawskowo Szose. *Jak wy dumajecie grażdanin* Wasilewski, ładnie tak, zostawić Rasiju, kiedy u nas po domach tylko dzieci i staruchy. *Wiet' wy sajuzniki, niet*?

— Przed miesiącem wypuszczono nas z łagru. Gramolimy się z dna. Nasz komendant mówił i powtarzał: *Polszy niet i nie budiet! Na wsiegda!* Dzisiaj wy przypijacie: *Za Polszu, za swobodnuju Polszu*. A jutro możecie wypić: *Za ruskuju Polszu*. Żądacie od nas sojusznich obowiązków. Za co? Za ten oddech? za łyk wolnego powietrza? Ja wiem, to są etapy. Różne etapy. Nas etapami wywożono na sybir. Mówicie, *sajuznicy*. Jesteśmy z łagrów. Mamy jedną myśl, jedną chęć, która gna nas i pędzi. Jak najdalej stąd! Na koniec świata!

— *Ja was ponimaju* Wasilewski, i dużo prawdy w tym co mówicie i szczerość i odruchy prawilne. Ale ten kogo nie ma ten i racji nie ma. Jak wy będziecie w Tegeranie, to *pry-diotsja Warszawu samym brać. I czort znajet, wypijom tag-dato za ruskuju Polszu. Drugoje budiet położenie*.

Wypił w ogólnej ciszy kieliszek wódki, dodał:

— Musicie się śpieszyć. *Gienierałowi tak pilno ruku pozat' perskomu szachu*, że niejednego z was tu zostawi.

Zwrócił się do gitarzysty:

— Zagraj synu, a to posmutnieli nam *sajuznicy*.

Leutnant uderzył energicznie, wyskoczył jak piłka, przysiadł na ziemi, wyrzucił z siebie jednym tchem:

— *Adnago mnie Niemca mało*

Srazu troich nadiel na sztyk!

Przyskoczył do Anki w prysiudach, dokończył:

Pałucziłos' kak szaszłyk!

Cofnęła się z lękiem. Zaśmiali się głośno, leutnant zaraz zaśpiewał lirycznie:

— *Baju baj, baju baj,*

pust tebją prisniotsja raj.

Pułkownik wzniosł kielich:

— *Za pabiedu, tawariszczi. Dumaju, nikto nie protiv.*

Wypili, znów zaśpiewali i znów podnieśli kieliszki. Przez czarną noc płynęła rozśpiewana „Róża Luksemburg”, muskając kwadratami światła głęboki nurt.

Nie wiedzą jak to się stało. Znaleźli się oboje pod wspólną kołdrą. Całowali się, dotykali. Na chwilę oprzytomniała zaśłuchana we własne ciało, przyciągnęła go mocno do siebie, przywarła policzkiem do jego policzka. Nie zgasił lampki. W niej samej zapadała ciemność, rozkołysana, bezpieczna, ciepła.

W Kujbyszewie nie wypuszczono ich na miasto. Enkaw-dziści obstawili przejścia. Zaniósł ich z wielkim tłumem na „Straż rewolucji”.

Siedzieli w gorączkowym półśnie. Żarówki zdawały się gasnąć. Dusił zapach machorki i potu. Tu i tam garbił się człowiek nad ściągniętą koszulą, bił wszy z grymasem obrzydzenia i okrucieństwa.

Wśród nocy kłębówisko podniosło się nagle. Naparli na kiosk. Sprzedawano chleb i czekoladki „Miszka”.

Anka drzemała wtulona w jego ramię. Widział z daleka Voigta i Jóźwiaka. Podnosili się i opadali razem z tłumem. Dotarli do lady, zasłonili ich. Potem rozległ się krzyk.

Zerwał się na nogi. Anka pobiegła za nim.

Józwiak i Voigt przytrzymywali ludzi, chwyтали za ręce, za kołnierze za głowy. Ludzie wyszarpywali się im z rąk, gubili chleby, czekoladki. Ktoś uderzył pięścią, Józwiak oddał innemu. Walili na oślep wszyscy trzej, wściekle, z rozpaczą. Rozdeptywali chleby i czekoladki.

Obezwładniono ich. Żołnierze powykręcali im ręce na plecy. Enkawudzista obejrzał ich po kolei. Spytał Wasilewskiego:

— Wy co za jedni? Tylko prawdę gadać.

— Polacy. Jedziemy z obozu do wojska.

— Kłamiesz jak pies.

— Prawdę mówię.

— Kłamiesz, rozumiano? Żołnierze Niemców biją, na froncie. Ty kogoś bił?

— Mamą „Udostowierenia”.

— Przeszukać go.

Młodszy rangą obszukał go starannie. Obrócił w palcach srebrny medalik.

— Ty co, bandyta i takie coś na sercu nosisz? Nie boisz się Boga obrażać?

— Ty sam bandyta.

Dostał w zęby. Starszy odciągnął młodszego.

— Od bandytów wyzywał, żołnierza!

— Tyś nie żołnierz. Żołnierz nie bije jak dwaj trzymają.

— Znowu kłamiesz jak pies — powiedział starszy. — Nie uderzył cię. Radziecka władza zabrania bić nawet takich jak ty.

Zwrócił się do człowieka z kiosku:

— Jak to było?

— Pięć chlebów prosił i cały kilogram czekoladek. Odważyłem mu, a ten drugi zaraz zabrał chleby i „Miszki”. Ten w krzyk, że okradli. Jakby przedtem nie wiedział, że nie ma pieniędzy.

— Gdzieś miał pieniądze?

Józwiak z wysiłkiem rozchylił przecięte usta:

— W woreczku, na piersiach. Jak miałem płacić nie było go już.

— Ileś tam miał?

— Tysiąc rubli.

Zaczęli się śmiać, powtarzano sobie z ust do ust.

— Tyś bracie tysiąca rubli i przez sen nie widział. Dokument masz?

— Był w woreczku.

— Oczywiście. Tak samo jak ten tysiąc, co?

— Sprzedaliśmy zegarek — odezwał się Voigt. — Na

„Róży Luksemburg”. Putilinowi z Kujbyszewa. Pracuje tam w Partii, możecie sprawdzić. Było trzydzieści banknotów trzydziestorublowych i jedna dziesiątka. Nowe pieniądze. Jedna seria i kolejne numery. Pamiętam je, mogę zapisać. Te pieniądze muszą tu być. Nikt nie wysiadł do rzeki. Trzeba zrewidować ludzi.

— Ty mnie nie ucz co mam robić. Numery pamiętasz? Dobrą pamięć masz bracie.

— Kilka razy liczyłem.

— Zobaczmy. Poszukamy tych numerów. Ale jak kłamiesz — podniósł pięść — i oszczerstwa rzucasz na ludzi...

Ktoś zawołał z kąta:

— Podrzucili woreczek!

Wyciągnął „Udostowierenie”. Pieniądzy nie było.

— No co, nie mówiłem prawdy?

— Nie odpowiadaj jak cię nie pytają.

Zwrócił się do żołnierzy:

— Przeszukać ludzi. Nikt się nie rusza z miejsca!

Przetrząsali ubrania, otwierali walizki, rozwijali toboły. Jeden pokazał od razu pieniądze. Żołnierz odczytał głośno serie i numery. Leutnant sprawdził:

— Nie zgadza się.

Z różnych stron meldowano numery.

— Nie zgadza się.

— Nie zgadza się.

— Nie zgadza się.

— Zrewidowani pozostają na swoich miejscach. Powtarzam: Nikt się nie rusza!

Oczy zwracały się za żołnierzami. Sledzono każde poruszenie rewidowanej osoby. Odczytywali numery.

— Nie zgadza się.

Z boku przy kajutach zakotłowało się nagle, rozwarły się z trzaskiem drzwi.

— Mam go! — krzyczał Ojczenasz. — Mam go!

Wyciągnął z ustępu chłopca mniejszego niż on sam. Chłopiec nie bronił się. Leutnant wyjął mu z palców trzydziestorublowy banknot. Sprawdził numer. Spojrzał na Voigta nie bez szacunku:

— Zgadza się. Dawaj resztę pieniędzy.

— Nie ma — odpowiedział Ojczenasz. — Wrzucił do rzeki.

— Dlaczegoś wyrzucił?! Ty szczurze, gadaj!

Szczur nie odpowiedział. Z wychudłej, trupiej twarzyczki patrzyły przerażone oczy.

— Gadaj ty sukiny! —

Przemógł się, wykształcił:

— *Ispugalsja*.

— A kraść to nie *ispugalsja*, co?

— *Dumał dwa rublia*. Dyndało mu to tak na szyi, tylko pociągnąłem, już miałem. Jak zaczęli szukać przestraszyłem się. W życiu tyle rubli nie widziałem.

Józwiak wyciągnął do niego ręce:

— Gdzieś je wyrzucił, na litość boską!

— Przez klozet. Stałem tam blisko. — Wskazał Ojczenasza.

— Byłbym się wymigał, ale ten mnie dopadł.

— Gdzie twój rodzice? — spytał leutnant. — Zapłacą za ciebie, bydlaku. Gadał, gdzie ojciec, gdzie matka?

— Zostali w Charkowie. W gruzie.

— W jakim gruzie?

— No, pod bombami.

Zrobiło się cicho. Chłopiec tkwił w łachmanach jak strach na wróble. Spoglądał obojętnie na ludzi, wytarł grzbietem dłoni nos, spytał leutnanta:

— Mogę już iść, nie?

Nie czekając na odpowiedź poszedł. Nikt go nie zatrzymał.

Leutnant wręczył Józwiakowi woreczek, *Udostowierenie*, trzydzieści rubli.

— *Eto wsjo. Idiom rebjata*.

Nie ruszyli się z miejsca. Kobieta pokiwała głową, splótła kościste palce:

— Sponiewierali uczciwych ludzi. Pieniądz nie drogi, prawda droga.

Wasilewski zwrócił twarz ku górze, wciągnął powietrze szeroko otwartymi ustami. Gniótł go ogromny i nieuchwytny ciężar, tysiące kilogramów puchu. Dusił się pod tym ciężarem i tonął w nim. Ani pochwycić, ani rzucić z siebie, ani uciec. Nic tylko powtarzać w kółko: Boże, wielki Boże.

Anka powiedła go za rękę. Poszedł za nią jak ślepiec. Zobaczył oficera marynarki i ładną kobietę. Zajmowali czteroosobową kajutę.

— Siadajcie, pojedziecie z nami aż do Gorkij.

Oficer, niemłody już, o delikatnej, zniszczonej twarzy, nalał każdemu po wódcę. Sięgnęli. Nie było toastów. Wypili w milczeniu.

— I co z takim robić — rozłożył ręce. — Kogo tu winić?

— Właśnie — powiedział Wasilewski. — To jest to. Jak pomyśleć nie ma winnych. Może nie trzeba myśleć, może nie

wolno myśleć. Zaufać instynktowi życia, sprzeciwwi, który woła w nas wszystkich: Nie, nie, nie! Nigdy!

— Musimy myśleć. Jesteśmy ludźmi.

— Nie. Myślenie doprowadziło was do wegetacji gorszej niż zwierzęca. To jest logika samobójców.

— Nie widzieliście Rosji za cara. Nie poznaliście tamtej nędzy.

— Nie. To prawda. Nie umiemy się połapać w tych stopniach nędzy. Może tylko to wolno powiedzieć nam, obcym: Nie jesteśmy przyzwyczajeni, to nie jest dla nas.

— Jest wojna, towarzysze.

Anka pokręciła głową:

— Widziałam w trzydziestym dziewiątym, nie było wojny. Całe wsie bez ludzi, wszystkie okna zabite deskami!

— A wiecie co to chłop rosyjski? Byłem w brygadach *wykacziwanja złotą!* Widziałem na własne oczy na czym chłop siedział. Na złocie i na ziarnie. Zagłodzić chcieli Rosję. Robotników głodem zamorzyć. Co było robić? Musieliśmy to zrobić!

— I znów nie ma winnych.

— Nie ma. Bo trzeba pomyśleć, obywatelu Wasilewski.

— O nie. Bóg nam oszczędził waszego myślenia. I waszej świętej cierpliwości.

— U nas — odezwała się kobieta — ludzie mówią tak: Idea żydowska, wykonanie gruzińskie, a cierpliwość nasza, rosyjska.

Oficer uśmiechnął się smutno:

— Ty też z nimi trzymasz?

— A ty byś nie trzymał gdybyś się nie bał? Po co im pleciesz o wojnie. Czy było kiedy inaczej? Czy pokój czy wojna, u nas zawsze wojna. Słuchajcie — przysunęła się do Anki. — Nie zaprosiliśmy was tutaj na jałowe dyskusje. U nas naród dobry i kraj ogromny, to fakt, reszta to puste słowa. On jak wypije to mu się zdaje, że znowu jest młody, że znowu wierzy jak w tamte pierwsze lata. On już rozdwojony na zawsze, jak ta walizka z podwójnym dnem. Na górze frazesy, a na dole kontrabanda. Jestem aktorką, Tym wszystkim co grają płacą u nas nieźle. Czasem w jeden wieczór zarobię dwieście rubli. Zostaliście bez kopiejki. Macie tutaj trzysta rubli, tyle mogę wam dać. Pożyczyć. Jak będziecie mieli, odeślecie. Do Czkałowa. Dam wam nasz adres.

Bronili się krótko. Przyjęli. A tamten tymczasem pił i pił. Napełniał się alkoholem i pasją. Oczy nabiegły mu krwią, zawołał:

— Czy wiecie kim ja jestem? Sart! Zdechły pies! Tak nas nazywali Rosjanie. Mieli prawo zastrzelić Uzbeka jak psa. Bez kary.

— Wy Uzbek? — zdziwił się Ojczenasz. — Niepodobny.

Oficer zacharczał obcymi dźwiękami, gniewnie, dosadnie. Twarz małego rozjaśniła się.

— Naprawdę Uzbek.

— Do rewolucji byłem psem! Wszystko mi dała rewolucja. Ten mundur, tę kajutę, tę kobietę. Teraz jestem człowiekiem!

— Przeważnie pijanym, Grygorij.

— Tak Natasza, psy nie piją!

Przygasał nagle, zapadł się w kąt pryczy, powiedział cicho:

— Ona Rosjanka, ona tego nie rozumie, nie może zrozumieć.



Dojechali do Gorkij. Na spiętrzonych wodach Gorkowsko Morja „Straż rewolucji” skończyła swój rejs. Zawróciła w górę rzeki, w powrotną drogę.

Spróbowali przedostać się do Kujbyszewa pociągiem. Nie wpuszczono ich. Żołnierze zamknęli przejścia na perony. W poczekalni nie widzieli się człowieka bez munduru. Z woreczkami pod głową rozłożyli się na ciężkich ławach, na gołej podłodze, stali w długich kolejkach do kas. „Kompensowali” bilety.

Lotnik z blizną na przestrzelonej szyi radził im ochryłym szeptem pchać się dalej na południe. Tam ma być polska armia. Jeżeli jeszcze jest. Pokiwał głową:

— Przestraszyli się Polacy. Nie wiadomo tylko kogo, Niemców, czy nas. Co robić, wy zawsze macie ten sam wybór. *Skwiernoje pałożenie.*

Poczęstował „Kazbekami”, mówił dużo tym swoim straszonym szeptem.

— Nie przeszkadza wam ten postrzał?

Schylił się do ucha Wasilewskiego:

— Nie przeszkadza, jebat’ można.

Gdy przesunęli się razem z nim bliżej okienka, zobaczyli napis: *Ordienonoscy, Gieroi Sowietskowo Sajuzza — bez oczeriedi.*

Lotnik miał dużo odznaczeń.

— Dlaczego nie weźmiecie biletu bez kolejki.

Pokręcił głową:

— *Wsie wojujut. Odni uże połuczili ordiena, drugije jeszcze nie połuczili.*

W przystani było pusto. Wchodzili na pokład „Czernyszewskiego” zalęknieni i niepewni. Nikogo do Astrachania. Marynarze tłukli się po pustym pudle. Zabrali trap. Statek odpłynął.

W sklepie okrętowym nie było chleba. Mieli kilka bochenków ze „Straży Rewolucji”. Kierownik sklepu wyprosił u nich pół bochenka. Tłumaczył zawstydzony:

— W Gorkim ciężko z chlebem, w Astrachaniu jeszcze gorzej. Tam nie ma nic.

Sklep zawalony był wołowiną w puszkach i krabami „Chatka”.

— Dobre to, ale długo bez chleba nie pojesz. Mdli.

Kupili parę puszek mięsa i krabów, mieli przecież chleb. Jasnowłosa Rosjanka kupiła kilkadziesiąt sztuk. Radziła im wziąć więcej.

— Astrachan to złe miejsce.

Pomogli jej zanieść puszki do kajuty.

Jechała z matką i synkiem do Baku. Na kolanach starszki, siwej rosyjskiej chłopki, siedział, tuląc się do niej, kruczowłosy wnuk o skórze koloru mlecznej czekolady. Anka nie mogła oderwać zachwyconych oczu.

— To Tagor. Mąż go tak nazwał na cześć Rabindranata

— Pani mąż Rosjanin?

— Tück, Turek. Inżynier okrętowy. Teraz kaukaskich Turków nazywają Azerbajdżancami. Tam nie lubią tej nowej nazwy.

Anka wyciągnęła ręce do chłopca.

— Chodź do mnie Tagor.

Posadziła go sobie na kolanach. Wpatrywał się uważnie w jej twarz oczami jak kasztany.

— Ty skąd jesteś? — spytał.

— Z Polski.

— To daleko?

— Bardzo daleko.

— A tam w Polsce są kołchoźnicy?

Zaśmiali się zaskoczeni.

— Nie, tam nie ma kołchoźników.

— Nie ma? O, to dobre miejsce Polska.

— O tak.

Przytuliła go do siebie.

— Pulchny i ubity! Jak kłębuszek włóczki.

— Byłem u babci. Babuszka ma krowę. I kartofle ma. — Zacisnął pięść, poczerwieniał. — O, takie! Dużo większe niż w Baku.

— Jak twoja pięść.

— Jeszcze większe! Nie kłamię. I pomidory ma. *Krasnyje, krasnyje!* I arbuzy, o takie! — Nadął policzki z całych sił.

— Mój ty mały.

— A twoja babcia ma krowę?

— Nie, nie ma krowy.

Zasepił się:

— Nie pijesz mleka?

— Piłam, kupowaliśmy.

Patrzył podejrzliwie, przygryzał usta.

— *Wriosz.*

— Nie, mówię prawdę.

— A kto sprzedawał.

— Mleczarz, albo kobieta.

— Nie mieli małego wnuka?

— Może nie mieli.

Okręcił się do babci:

— Babuszka, babuszka! Jakbyś mnie nie miała to byś mogła sprzedać mleko.

— Nie Tagor — Anka przyciągnęła go. — Babcia by sama piła.

— Nie piłaby.

— Dlaczego?

— Wstydziłaby się.

— Wstydziła?

— Tak. Babcia mówi, że to grzech jak stary żłocie mleko.

Staruszka poruszyła się:

— Tagor, Tagor, ty jak papuga pleciesz.

Voigt zapalił papierosa. Uderzył żelazem o krzemień, dmuchnął w knot. Tagor wytrzeszczył oczy, wyrzucił ręce do góry, sponsował:

— Mama! Mama! *Smatr! kakaja maszina!*

Poczekalnia i plac przed siedemnastą przystanią w Astrachaniu, dachy parterowych domów, wyloty ulic, wszystko zapchane było ludźmi. Koczowali tu od tygodni, czekając „Posadki”.

Kobiety i dzieci nie ruszały się od waliz i tobołów. Mężczyźni szli raz dziennie do ewakopunktu po chleb.

Za dwie puszki wołowiny dostali miejsce na ziemi obok licznej rodziny. Jechali z pięciorgiem małych dzieci do Środkowej Azji.

W nocy tłum znieruchomiał. Przywarł do ziemi płaską warstwą. Nakryli się kocami, plandekami, tekturą, papą zerwaną z dachów. Lunał deszcz, szmaty nasiąknięte wodą parowały. Nad czarnym kłębowiskiem unosił się biały opar. O świetle uderzył wiatr, pozrywał z ludzi tektury i papy.

Minęły dni. Dzieci ucieszyły się gdy któregoś rana zbudziły się pod warstwą śniegu. Śnieg tajał szybko na ciepłym podłożu, uciekał strumyczkami po asfalcie.

Potem budził ich o świetle przeraźliwy krzyk. Dzieci umierały przeważnie nad ranem. A może już wcześniej, w środku nocy, zabierała je śmierć, ale matki przesypiały nieraz tę chwilę.

Mężczyźnie udającemu się do Środkowej Azji zmniejszyła się rodzina o dwoje najmłodszych. Starczyło teraz plandeki dla Anki i Ojczenasza. Trzeci chłopiec gorączkował. Wahali się z żoną czy oddać chłopca do szpitala. „Posadka” mogła być każdej chwili.

Którejś nocy zerwali się z ziemi, rzucili się z tobołami ku nabrzeżom. Szpaler enkawudzystów cofnął ich z powrotem na przystań. — *Dawaj nazad, dawaj nazad.* — Tłum znieruchomiał zapatrzone w okręty. Słychać było tupot tysięcy stóp. Porykiwały krowy, parskały konie. Ładowano Autonomiczny Okręg Niemców Nadwołżańskich.

Kobieta, której zmarło dwoje, podniosła pięść, krzyknęła przeraźliwie:

— Wszyscy tu mamy zdechnąć?!

Zapłakała, przytuliła głowę do piersi męża.

Anka zrobiła się mizerna i zaspana. Na pytania Wasilewskiego odpowiadała matowym, smętnym uśmiechem. Całymi dniami szyla, pokrywała watówki kolorowymi łatanami z rozprutych sukien.

Tej nocy zobaczył, że nie śpi. Zszywała mu watówkę w świetle wysokiej latarni. Robiła to z wysiłkiem, bardzo powoli. Chwilami nieruchomiała z robotą na kolanach, opuszczała głowę. Potem znowu szyla. Przysunął się do niej.

— Odlóż, jutro skończysz.

Pokręciła głową.

— Nie mogę, zostaniecie bez niczego.

— Masz gorączkę.

— Może.

Wziął ją za puls.

— Oczywiście.

Oparła się o niego plecami.

— Nic nie boli, nic takiego. Tylko nie mam sił. Zrobiłam się obojętna. Wciąż wszystko odkładam do jutra. Co to jest?

Czasem myślę że nie martwię się o ciebie, a przecież wiem, że się martwię. Nie mam sił myśleć. Tak mi ciężko unieść powieki, co to może być?

— Owinę cię ciepło, rano zobaczymy.

Rano zawieźli ją do szpitala. Nie mogła iść. Trzeba ją było nieść do tramwaju. Trzymali ją na kolanach szczelnie zawiniętą w koce. Dwie starszki przeżegnały się nabożnie. Powstrzymał je błagalnym gestem:

— Ona nie umarła! Jedziemy do szpitala.

Lekarz był człowiekiem pogodnym, krępy, o silnej ręce. Wziął Ankę, zajrzał do gardła i już wiedział.

— Odra. Żaden Tyfus, kolego.

— Nie chorowałaś w dzieciństwie?

Potwierdziła.

— Odra w tym wieku?

— Nic groźnego. Chyba dla otoczenia. Jej nic nie grozi. Za dwa tygodnie będzie zdrowa. Uważajcie później, żeby nie przeziębic.

— Jest po obozie, bez sił.

— Trzeba ją lepiej karmić. U nas w szpitalu, sami wiecie. Wyciągnął formularz.

— Imię i nazwisko żony?

— Anna Wasilewska.

Podał inne dane, zobaczył, że Anka patrzy, zbliżył ucho do jej ust. Ledwie dosłyszał.

— Niewesoły mamy ślub.

Pocałowała go spieczonymi wargami.

— Nigdy cię nie opuszczę.

— I ja ciebie. Nigdy.



Wyszli przed gmach. Mgła odbarwiła świat. Błede wapienne domy wsiąkały w wapienne niebo. Zajeżdżał siny tramwaj, powiół bezbarwnych ludzi długą przeźroczystą ulicą.

Usiedli na ławce przy przystanku. Nie rozmawiali. Ojczenasz przysunął się blisko do Wasilewskiego. Wcisnął się pod ramię.

— Anka starała się zawsze dobrze robić, żeby komendant nie posyłał do lasu matki. Piła przy domu drzewo z bardzo starymi kobietami. Zawsze coś dla nas znalazła. Maliny, grzyby, czasem jajko, albo szklankę mleka. W zimie wyszukiwała spod śniegu czerwone borówki, Aloszkin jej czasem dawał solonych rydłów. Bardzo lubił Ankę. Matka знаła wszystkie ścieżki w lesie. Ale raz nie wróciła. Czekaliśmy do nocy. Potem Anka poleciała do Aloszki. Zwołali wszystkich ludzi. Zapalili po-

chodnie. Szliśmy przez las z pochodniami, jeden obok drugiego. Następnego dnia nikt nie poszedł do roboty. Wszyscy szukali. I potem jeszcze jedną noc. Potem ja z Anką jeszcze dzień i jeszcze noc. Potem Anka usiadła przy stole w baraku i nie ruszała się. Bałem się do niej mówić. Stawiałem przed nią jedzenie. Aloszkin przyniósł jej z rejonu „rakowych szyjek”, nie tknęła nawet. Potem Aloszkin powiedział: Idź do roboty, bo zwariujesz. I ona poszła, nie opierała się. Robiła wszystko jak przez sen. Zamyślała się. Czasem stała długo z polanem w ręku, jakby umarła tak na stojąco. Zabierałem jej polano z rąk, odkładałem do sągu, a ona dalej stała z wyciągniętymi rękami. Nie słyszała co do niej mówię i sama nie mówiła.

— Kiedy nas wyganiał stamtąd, nie chciała iść. Zostaliśmy parę dni dłużej niż wszyscy. Potem Aloszkin powiedział, żeby iść. Jak matka wróci, to przecież zapyta u niego. Anka napisze i tak się spotkają.

Ktoś zatrzymał się przed nimi. Usłyszeli głos:

— Oddałem i ja swojego. Już trzeci.

Poszli razem w milczeniu, długą, bezludną ulicą.

Przystań była pusta. Baby polewały kamienie karbolem, ściągaly w jedno miejsce tektury, papy, zamiatały śmieci. Matka z dwójgiem ocalałych dzieci siedziała na tobołach po środku zaśmieconego pustkowi. Powiedziała zapatrzona w morze:

— „Osetin” zabrał ludzi. Może będzie jeszcze statek.

Wyszli na miasto. Zapukali do parterowego domku niedaleko przystani. Starszka z miotłą w ręku otworzyła drzwi. Oparła się o kij:

— Nie pojechali.

— Żona w szpitalu.

— Da — szepnęła — mieszkali tu u mnie Polacy. Wczoraj pochowali córkę, no i dzisiaj pojechali „Osetinem”. Widać pisane im było jechać. Prosimi oglądać grobu. — Pokiwała głową. — Zabrał ją Pan Bóg do swoich aniołów. Już nie cierpi, już o nic nie prosi. — Wskazała garnek na kuchni. — Nagotowaliśmy wczoraj rosół, a ona umarła. I kura jest. Zabierzcie to swojej. Od piątej do szóstej przyjmują.

W poczekalni szpitala ludzie czekali wiadomości. Dyżurna znalazła właściwą rubrykę, odczytała:

— *Sostajaniye tieżołoje, temperatura sorok.* Oddajcie jedzenie, możecie napisać kartkę i zaczekać na odpowiedź.

Wasilewski napisał:

„Jesteśmy na dole, Voigt, Jóźwiak, Ojczenasz i ja. Kochamy cię. Możesz spokojnie odpocząć i wracać do zdrowia. „Posadka” już się odbyła. Mamy dużo czasu. Przyjęła nas do

siebie dobra staruszka. Będzie ci można gotować różne rzeczy. Tylko jedz. Pamiętaj: musisz jeść. Całujemy cię”.

Podpisali. Voigt poprowadził rękę Ojczenasza.

Anka odpisała na odwrocie nieforemnymi literami:

„Kocham was”.

Mężczyzna mówił do siebie na głos, powtarzał w kółko:

— *Sostojanije oczeń tieżołoje, temperatura sorok i sorok adin.*

Spostrzegł, że patrzą, wyjaśnił:

— Mam na górze dwie córki, bliźniaczki. *Sostojanije oczeń tieżołoje, temperatura sorok i sorok adin.*

Nazajutrz znów się spotkali. Odebrali komunikat:

— *Sostojanije srednie, temperatura tridcat' wosjem.*

— Moje też się mają lepiej, teperatura *tridcat' diewjat i sorok*. O wiele lepiej niż wczoraj.

Przedstawił się:

— Nazywam się Sydor. Jestem artystą malarzem. *Zastużennyj Artist Ukrainskoj Respubliki*. Wy z Polski?

— Tak, Polacy.

— Tam u was sławni malarze. *Matejku znam, Chelmonskowo, Michałowskawe, Kossaka, no samyj głównyj u was Matejko. Uczilis' w Akademii. Sawieckij narod uważajet Matejku. Sam Riepin że skazał: Matejko astanietsja na wsiegda. Slowa Riepina zakon dlja nas.*

— Malujecie historyczne obrazy?

— Z Rewolucji. Lenina to z pamięci namaluję, bez fotokarteczki. Nim Niemcy przyszli ukończyłem wielki portret. Na Chretczatiku wystawili. *Dwiadcat' piat' metrow na trydcat' dwa*. Z każdego miejsca było widać. Wielki był. Jak malowałem, tylko kawałek oka widziałem naraz. I nie pomyliłem się. Dla nas, wszystkich malarzy, wasz Matejko przykład i wzór. On zawsze przeciwko Germancom malował. Moje bliźniaczki też zdolne do sztuki. Aleksandra rysuje. Nie bawi się jak inne dzieci. Tylko papier jej daj i karandasz. I w szpitalu rysuje. Mówiła mędsiistra. A młodsza, ona i nie młodsza tylko drobniejsza, to ją młodsza nazywamy, Olga, muzykalna znowu. Usłyszy pieśń, zaraz zaśpiewa, ani nutki nie stalszuje. Pójdzie do muzycznej szkoły. W Ferganie u nas rodzina. Pewnie i żona już tam jest. Ja pilnowałem dzieci, a ona багаży, no i *pagubili drug druga*. O żonę jestem spokojny, żona zawsze się odnajdzie. Adres przecież zna. Będzie radość ze spotkania.

Ścisnął im kolejno dłonie, skierował się ku drzwiom. Zawrócili go.

— *Tawariszcz Sydor*, podejdźcie proszę.

Zbliżył się do okienka. Przepuścili go za drewnianą ściankę. Nie zabawił długo, może kwadrans. Nie zatrzymał się, poszedł prosto przed siebie, z dwoma zawiniątkami pod pachą.

Minęły dni. Suchy śnieg zaproszył miasto, uderzał delikatnie o szyby. Stan Anki był wciąż średni lub ciężki bez większych zmian. Raz uprosił doktora, wpuścili go do niej na górę.

Kobiety na innych łózkach nie poruszyły się. Anka uniosła ręce nad koldrę, opadły zaraz z powrotem. Wtulił twarz w otwarte dłonie, poruszała delikatnie palcami. Nie mógł mówić. Dyżurna posadziła ją wyżej, rozłożyła włosy szeroko na poduszce.

— Męczą cię te włosy?

Potaknęła, spojrzała na dyżurną, szepnęła z wysiłkiem, krzywiąc się:

— Nie pozwala ściąć.

— Nie trzeba. Już ja wolę czesać i pielęgnować, a ściąć nie dam. Nie wolno.

Rosół który przyniósł stał nietknięty.

— Musisz jeść.

— Nie mam sił. Tu dbają. Olga jest dobra. Nie mogę mówić.

— Oni czekają na dole. Powiem, że ci lepiej, że będziesz zdrowa, że pojedziemy razem, jak dawniej.

Potakiwała nieznacznie. Próbowwała się uśmiechnąć. Nie mogła.



Staruszka pokazała im wieczorem fotografię. Poważni ludzie w staroświeckich ubraniach. Jest ich wielka rodzina sprawiedliwych ludzi. Nie jadają wieprzowiny, święcą sobotę. Czekają Chrystusa, który znowu przyjdzie, żeby zbawić świat. Czas nagli, czas jest blisko, przebrała się miara złego.

Nazajutrz kupili koguta. Stary ptak nie chciał umierać. Trzy razy uderzył Józwiak nim przeciął żyłastą szyję. Ugotowali rosół. Staruszka zwierzyła się Józwiakowi. Widziała Ankę we śnie. W niebie, wśród aniołów. Była szczęśliwa. Tylko nie trzeba mówić Wasilewskiemu.

W poczekalni nie było nikogo. Dyżurna nie szukała danych w arkuszu, powiedziała cicho:

— *Sostojanije oczeń tieżołoje.*

Wezwała lekarza.

— Niedobrze. Podejrzewamy dyfteryt i zapalenie płuc. Trzymamy ją na kamforze.

Przyskoczył do drzwi, nim zdążyli otworzyć, wyłamał zasuwkę. Lekarz pobiegł za nim po schodach.

Pielegniarka stała przy łóżku, trzymała ją za puls. Na poduszce nie było już włosów. Podeszedł. Uniosła dłoń do czoła.

— Nie szkodzi, to nic nie szkodzi. Zobaczysz jak prędko odrosną.

Spieczone wargi poruszyły się:

— W nocy myślałam że już. Dusłam się. Podbiegłam do drzwi. Nie mogłam wrócić.

Podał jej herbatę. Przełknęła parę łyków.

— Nie mogę. Duszę się.

Dwie łzy potoczyły się po drobnej twarzy.

— Będiesz zdrowa, już niedługo.

— Nie. Już nie będę zdrowa. Zostaniesz sam. Ożenisz się drugi raz. Szczęśliwiej. Nie możesz być sam. Pamiętaj. Nie możesz być sam.

Skrzywiła się z bólu. Przytknęła dłoń do gardła.

— Nie mów. Nie trzeba mówić.

— Trzeba powiedzieć, Żebyś mógł żyć. Zapisz co powiem, prędko. Wołogodskaja obłast', Osztynskij Rejon, Pocztowe oddzielenie Kosztugi, Posiołek Nizowskaja Czysta. Aloszkin Sergiej. Ona tam przyjdzie. Zabierz ją. Niech nie czeka.

Nie zamknęła oczu.

— Anka! Anka!

Otwarte oczy nie widziały go. Patrzą i nie widzą. Przysunął się blisko, na próżno wołał.

Trzy smugi cienia przebiegły skosem po twarzy. Westchnęła głęboko, nie domknęła już ust.

Poczuł dotknięcie ręki, usłyszał głos:

— Pocałuj ją, to twoja żona.

Nie umiał pohamować łez. Dotknął wargami zimnego czoła.

Doktor podniósł go z kolan, objął ramieniem:

— Zrobiliśmy wszystko co w ludzkiej mocy.

— Ja wiem, tu zawsze tak, wszystko tak. I ona nie żyje, nie żyje. — Zwiesił głowę, przesłonił oczy.

Wyprowadzili go, a potem Voigt i Józwiak, dalej do domu.

Nazajutrz przyszli po nią. Wpuścili ich do trupiarni. Obeszli rzędy zwłok. Długi szew rozcinał ją od szyi aż na dół.

Ubrali ją, owinęli w koc. Poszli niedaleko. Na cmentarz. Wykopali dół. Józwiak przyniósł kawał blachy. Nakrył wypukłą twarz i ramiona. Powoli zsuwał ziemię z powrotem do dołu.

Nie było już Anki.

Ale w nocy znów przyszła. Nie była straszna, nie była nieżywa. Uśmiechała się do niego w ciemnoniebieskiej sukience, tej

samej co wtedy. Tylko kołnierzyk postawiła wysoko i białym szalikiem zakryła szyję.

— Popatrz. mówiła, można to zakryć. Nikt nie zobaczy. A tobie to nic nie przeszkadza.



Zawieźli go do Baku. Nie pamięta jak, nie pamięta którędy. Pamięta tylko przestrach w ludzkich twarzach, i to, że się usuwali przed nim, jakby szedł na ludzi z rewolwerem.

W „Ewakopunkcie” załatwili ich od razu, chleb, bilety do Erywania, dalej aż do Polskiej Armii. Tak napisali, bo tak zażądał.

— Do diabła, do piekła, byle dalej od was, byle dalej stąd.

Przejechali Tbilisi, Erywań, całą Zakaukaską Drogę Żelazną Ławrentina Pawłowicza Berii. W Kafani spotkali Polaków. Dalej nie puszczano już nikogo.

Chmura złego powietrza unosiła się nad koczowiskiem. Ludzie wskazywali brudnymi rękami czarne zabudowania w górskich rozpadlinach. Kopalnia miedzi. Trująca pustynia bez ludzi i maszyn. Tam mają iść, ożywić trupa i zginąć potem w jego uścisku. Nie pójdą, nigdy. Nie dają chleba, nie dają wody, nie puszczają ani w lewo ani w prawo. Tylko tam do kopalni.

Znowu leżeli w dzień i w nocy, na deszczu, w błocie, przytuleni do siebie, zapatrzeni w linię na południu: druty kolczaste, rzeka Araks, i tam z tyłu, Persja.

Co dzień przychodziły pociągi. Ze wschodu z Alaty, z zachodu z Erywania. Puste wagony bez ludzi i bez ładunku. Przystawały z łoskotem i zgrzytem i znowu ruszały w drogę bez sensu, popędzane okrzykami enkawudzystów. Nikt nie wysiadał i nikt nie wsiadał.

Od razu go zobaczyli. Tkwił czarny i wysoki w przeźroczystym wagonie. Nadjechał z Alaty. Podeszedł prosto do nich, do Wasilewskiego.

— Znacie rosyjski?

— Znam bo muszę.

— Nie szkodzi, ale rozumiecie co do was mówią?

— Rozumiem bo nie mam wyjścia.

Uśmiechnął się:

— Dobrze. Mam dla was wyjście.

— Do kopalni?

— Nie, do Persji.

Podnieśli się z ziemi, otoczyli go czarną gromadą.

— Nazywam się Tumanian. Z rozkazu partii i rządu mamy

zbudować linię kolejową Alata — Tabriz, w Persji. Odpowiada wam?

— Kłamiesz.

Uśmiechnął się nieobrażony:

— Jestem tylko kolejarzem.

— Diabli was wiedzą.

— Nic nie ryzykujecie. Wezmę ci bilet do Alaty, pojedziesz ze mną. Tam Naczalstwo. Załatwisz i wrócisz. Ludzie zostaną na miejscu.

— Dobrze. Ja mogę jechać.

Józwiak chwycił go za ramię:

— Nie pojedziesz sam.

— Pojadę.

— Nie pojedziesz. Przysięgałeś, że nie pojedziesz.

— Pojadę, powiedziałem.

— Nie puszczę cię, obiecałeś.

Odepchnął go od siebie. Pochwycił go znowu, rozpaczliwie, z całych sił.

Uderzył go. Upadł na ziemię.

— Zabiją cię!

— Niech spróbują.

— Nie puszczajcie go! Ludzie!

Poszedł za Tumanianem.

Patrzył za nim z ziemi, palce przytknął do bolących ust.

Nie obejrzał się. Zamknął za sobą drzwi wagonu. Tumanian zasunął firankę.

Jechali wzdłuż granicy. W dole pod oknem szumiała rzeka, odrutowana kolczastym zasiekami. Tumanian zamknął drzwi przedziału na klucz. Zdjął marynarkę.

— Połóż się — powiedział. — Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Od razu zasnął na miękkiej kanapie. Obudzili się w Alacie.

Zapadał zmierzch. Ołowiany cień przesunął się od czarnego Kaspi na zbiegającą pustynię. Płaskie baraki zaryły się w piach po dwóch stronach asfaltowej drogi. Zostawił go na ławce przy skwerze, gdzie kikut palmy bez czuba tkwił w kamiennym ocembrowaniu. Z prawa na lewo i z lewa na prawo przecinał czasem bezludny trakt enkawudzista lub kolejarz.

Tumanian powracał wolnym, zmęczonym krokiem. Nie podszedł blisko. Z daleka krzyknął:

— Nikogo nie ma. Załatwimy rano. Spokojnej nocy.

Wasilewski poderwał się z ławki, zawahał się, położył z powrotem. Kogo tu winić? Tamtemu jest gorzej. Tamten jest wolny. Niewola ma kres, wolność jest bezterminowa.

Chłodny, wilgotny wiatr obudził go wcześniej. Twarz miał szorstką od soli i piachu. Sól i piach wżerały się w gardło, paliły oczy. Zasłonił się ręką przed wapiennym blaskiem dnia.

Tumanian był szczerze zmartwiony. Enkawede się nie zgadza. Rozłożył ręce:

— Czy mogłem wiedzieć. Nie byłbym was ciągnął, jej Bogu.

— Drobiazg. Grunt to dobre serce. Na rzeczywistość nie mamy przecież wpływu, prawda?

— Myślałem, że jak zbudujecie tę drogę to pozwolą wam po niej przejść.

Zaprowadził go na stację, wręczył mu tekturkę biletu.

— Nie wspominajcie źle. Pociąg zaraz nadejdzie.

Pociąg nadszedł wieczorem, po długim dniu, piaszczystym i słonym. Położył się zaraz w pustym wagonie. Nie odczuwał gniewu, zapomniał o Tumanianie. Nie żałował, nie cieszył się. Spłynęli do czarnego Kaspi jak pnie zwalone na północy. Czas i woda wypłukały z nich życie. Nawet gardło mniej bolało i oczy mniej piekły w tym półśnie bez wspomnień i pragnień.

Obudziło go szarpnięcie.

— *Bilet!*

Podał bilet, żołnierz obejrzał, wyciągnął rękę:

— W porządku. *Proпуск?*

— *Jaki пропуск?*

— *Duraka walażet. Proпуск, ci mówią.*

— Tumanian mnie zabrał, przestemplował bilet. Z Kafani, tam nasi ludzie. Widzieliście przecież.

Dwóch dźwignęło go na nogi.

— Dokument masz?

Podał „Udostowierzenie”.

— Jak wół napisano: *Za iskluczeniem pograničalasy, zapretnych zon.*

— Od miesiąca tu siedzimy, setki ludzi.

Szarpnęli go ku wyjściu, kopnięto go od tyłu, starszyna dołożył kolbą. Zwalił się na ludzi przed wagonem. Oberwańcy w szynelach wciągnęli go miętko w siebie. Pognano ich zaraz przez tory, w dół, i piaskami przez czarną noc.

Otworzyły się z łoskotem żelazne drzwi. Pierwszy krzyknął, uderzył czołem o mur. Schylili głowy. Sprasowano ich szczerbnie, żołnierze stęknęli dociskając drzwi. Skrzyżowali szyje.

Wasilewski wyczuwał tętno na szyi towarzysza. Ciepła krew uderzała miarowo, spokojnie. Tamten wisiał na nim zaczepiony głową, ogrzewał mu oddechem kark.

— Ty skąd — zagadał.

— Z Polski.

— Z *Pierwowo Biełoruskowo?*

— Z Warszawy.

— Z *kakowa fronta, sprasziwaju.*

— W *armju jedu.*

Zaśmiało się kilku.

— Droę zgubił, co?

— *Popał bratok na wnutriennyj front.*

— *Od czekistow nie ujdiesz. Ruki u nich dlinnyje.*

— Nie mają prawa mnie brać.

— Powiedziałeś im?

— Oczywiście.

— To co innego.

Ściągało ich w dół, coraz niżej, na kolana, zwartych, splełanych w jeden kłęb.

W nocy przybyło kilku. Wcisnęli ich przez wpółotwarte drzwi, górą, pionowo pod strop, nad głowami tamtych. Opadali po mału, zsuwali się pomiędzy zwarte piersi i plecy.

Kiedy otwarto drzwi, oślepiło ich światło. Zataczali się, nadziewali na kolby karabinów. Zdrętwiałe nogi zapadały się pod nimi. Starszyna pochwycił Wasilewskiego za pierś, szarpnął nim do góry:

— Coś ty skurwysynie pijanstwował w nocy?

Pognali ich na stację, wcisnęli do wagonu, zaryglowali drzwi. Nie od razu pojechali.

Wasilewski szedł, opadając z nogi na nogę. Usta miał otwarte, z trudem rozwierał spuchnięte powieki. Palma, asfalt, ołowiane morze, ołowiany świat, trumny baraków w soli i piasku. Skrzywił się z bólu przetykając krzyk.

Innych pognali w prawo, jego popchnięto na lewo. Spadł z kilku schodów do nóg milicjanta. Buty wepchnęły go do środka. Zaryglowano drzwi.

Nie wie jak długo spał. Kreska światła padała na miskę. Podniósł ją ostrożnie, by nie rozlać wody. Przepłukał zasolone gardło, zwilżył powieki.

Wyprowadzono go. Poszedł za milicjantem do baraku na prawo. Posadził go na ławce:

— Tu siedź i czekaj.

Przy zamkniętych drzwiach stał żołnierz z pepeszą. Obok w ciemnym otworze zobaczył ludzi. Nagie ciała, zarośnięte twarze. Walili pięściami w żelazne rury.

— Wody, skurwysyny!

Poznali go.

— Poliak, hej Poliak! Rzuć ty to swoje wojsko. Wszystko lepsze niż front!

Skojarzył sobie. Z wysiłkiem. Z przerażeniem. Woda, nagie ciała, spocone rury. ŁAŻNIA! Znowu łaźnia i znowu tiurma! Poderwał się z ławki. Z zamkniętych drzwi wyszedł kapitan. Nie pozwolił mu przejść.

— Gdzieście mnie wsadzili? Do bani!

Kapitan podniósł głowę, obejrzał go z niesmakiem:

— *Wy nie znajecie gdzie wy nachodities'. Wy nachodities' w ENKAWEDE!*

Opadł z powrotem na ławkę. Tamci ryczeli waląc o rury:

— Poliak! Hej, Poliak! Nie daj się kurwom!

— W duszę cię...? Ty ich w głaza!

— *Wsjo rawno propa!*

Żołnierz otworzył przed nim drzwi:

— *Zachadi!*

Przystanął na krawędzi czerwonego chodnika. Daleko za biurkiem siedział oficer. Przywołał go ręką. Wskazał krzesło:

— Siadajcie, proszę. Co was do mnie sprowadza?

— Milicjant mnie sprowadził. Zdjęto mnie z pociągu. Jest nas w Kafani kilkuset. Obywatel Tumanian mnie zabrał, mieliśmy budować kolej Alata-Tabriz. Tumanian potwierdzi.

— Tumanian wyjechał.

— Wyjechał?

— Tak. Ale ja wiem. Niestety nie możecie pracować w tym rejonie. Nic na to nie poradzę.

— Ja chciałbym do Kafani. Nic więcej.

— Oczywiście. Dokąd mielibyście jechać.

— Żądali przepustki.

— *Jasno! Eto że zaprietnaja zona i pogramatasa. Nie szutki.* Przepustkę wydadzą wam na milicji. Naprzeciwno. Enkawede przepustek nie wystawia. — Podniósł się. — Bądźcie zdrowi. — Odprowadził go do drzwi, uściśnął rękę. — W porządku.

— Dziękuję.

— Drobiazg. Nie ma za co.

Wyskoczył przed dom, pobiegł do baraku naprzeciwno. Zameldował się do naczelnika milicji. Od razu go wpuszczono.

— Naczelnik jadł kurę ze szmatki, opasły, pogodny człowiek. Zerknął znad kości:

— No co, wypuścili was?

— Sprawa jest jasna. Tumanian mnie zabrał, ostemplował bilet.

— Wiemy, wiemy. Nikt wam przecież niczego nie zarzuca.

— Pułkownik Tatian powiedział, że u was dostanę przepustkę.

— *I prawdu skazał Tatian.* Przepustki wystawiamy tutaj, na milicji. — Podniósł obgryzioną kość. — Na zlecenie Enkawede.

— Tatian polecił. Posłał mnie do was. Wierzycie mi chyba?

— Człowieku! Gdybym ci nie wierzył siedział byś jeszcze w piwnicy.

— Więc proszę.

— Nie mogę. Bez zlecenia Enkawede nie mogę, rodzonemu bratu. *Zakon i wsjo.*

— Więc co mam robić?

— Do Tatiana. Niech zleci, wypiszemy. *Nasze dielo malenkoje.*

Wrócił do Tatiana. Nie wpuszczono go.

— Zaczekajcie. Pułkownik zajęty.

Przysiadł na ławce. Dezerterzy walili w rury, ryczeli: Wody! Siwowłosa staruszka ujęła twarz żołnierza, zwróciła ją siłą ku sobie:

— Ty nie odwracaj się Sergiej jak od obcej, Bóg by cię pokarał. Ty wiesz że Sasza niewinny. O dobre słowo proszę.

Usiłował nie patrzeć jej w oczy, odwracał głowę.

— Ja nie wiem. Już tam pułkownik osądzi, winny czy nie winny.

— Nie upieraj się synku, od człowieczeństwa nie uciec nikomu.

— *Niczewo nie znaju. Ubieritie ruki Nastasja Sergejewna.*

Wpadła druga, wściekła, z rozwianym włosom:

— *Tatian u sebja?*

— Zajęty Tatian, zaczekajcie.

— Dość już czekałam!

Odepchnęła go, otworzyła drzwi. Przyskoczył, wykręcił jej rękę do tyłu.

— Czort nie baba.

Rozległ się głos pułkownika:

— Zabierz ją Sergiej.

— Nie zabierze mnie! Wczoraj Anna Andrejewna widziała! Moje pieniądze! Nie zostawię tej bladzi żołdatskiej pół tysiąca! Piotr Iwanowicz zaświadczy. Powiedziała mu ta kurwa Radionowna! Wydała ją wódka!

— Już wam powiedziałem — pułkownik hamował gniew.

— *Wsjo rawno sowietskoj vlasti*, która z was wyda te pięćset rubli, ty, czy Radionowna. Zabieraj ją Sergiej!

Wyrzucił, zaryglował drzwi od środka. Waliła pięściami i przeklinała. Dezerterzy ryczeli: Wody! Wody!

Wasilewski siedział na ławce. Spoglądał na żołnierza, na drzwi, na staruszkę powtarzającą w kółko: Ty wiesz Sergiej, że Sasza niewinny. Od człowieczeństwa nie uciec nikomu. Brakło mu już tchu, uciskał samego siebie: Cierpliwości, cierpliwości.

Nareszcie zakotłowało się za drzwiami. Enkawudziści wyprowadzili młodego człowieka. Trzymali go za kark i za rękę. Staruszka wyciągnęła ramiona:

— Nie puścili! Sasza!

Młody spojrzał na Sergieja stojącego z pepeszą przy drzwiach.

— Nie rozmawiaj ciotka z tym skurwysynem, tylko biedy naputasz.

Sergiej opuścił oczy, staruszka pobiegła za tamtym:

— Dokąd cię uganiają? Ludzie! Dokąd go uganiacie?

Dezerterzy poukładali się do snu. Minęła godzina dręczącej ciszy. Wasilewski szukał spojrzeniem oczu żołnierza. Zaprzeczył ruchem głowy.

— Dlaczego? Tam nikogo nie ma. Już byłem w tej sprawie, Pułkownik wie.

— *Nielzja.* Pułkownik sam zawoła jak zechce.

— Pułkownik nie wie, że czekam.

— On wszystko wie.

— Boże.

— Aleś ty nudny człowieku. Za grosz cierpliwości u ciebie nie ma. Jak u tych bab.

Po następnej godzinie otworzyły się drzwi. Pułkownik uniósł brwi:

— Wy jeszcze tutaj?

— Naczelnik powiedział, że bez zlecenia Enkawede nie wypisze przepustki.

— Przecież mu zlecam baraniej głowie. Ależ to biurokrata ten Szeliupugin. Powiedźcie mu żarłokowi, że pułkownik Tatian mu zleca. Niech zaraz wypisze. Nie traćcie czasu. On tam chrapie jeszcze w swoim fotelu.

Pobiegł z powrotem przez asfaltowy trakt. Zameldował się dysząc.

— Nie, naczelnik nie odszedł jeszcze. Usiądźcie, odpocznijcie. Zaraz was przyjmie.

Nie mógł usiedzieć. Stał przy drzwiach obok milicjanta.

— Proszę. Możecie wejść.

Naczelnik popijał piwo z butelki. Uśmiechnął się, wyciągnął rękę:

— Dawaj zlecenie. Za czterdzieści minut masz pociąg, zdążysz bez pośpiechu.

— Pułkownik Tatian rozkazał żebyście natychmiast wypisali przepustkę. Poleciał mi powtórzyć, że jesteście biurokrata, żarłokiem i śpiochem. Tak mi kazał powiedzieć. Dosłownie.

Naczelnik uderzył się po pasie na brzuchu. Śmiał się nie naturalnie głośno.

— Tatianowi zawsze żarty w głowie. Słowa u niego się nie liczą. Innych obraża i sam się nie obraża. Taka u niego natura gibka, jak u trzciny. Ale i uderzyć potrafi jak trzcina. Sam by mnie uderzył jak bym wypisał. Na piśmie musi dać, *podkładoczku, bez etawo nie wypiszem, nikak nie wypiszem synok*. Sam musi piórem ruszyć, *pieczat'* przystawić, wtedy i Szeliepugin podpisze. Nie wykręci się Tatian *matiernym słowom. Zakon i wsjo*.

Wyleciał przed dom. Z daleka zobaczył, że ciemno. Zwalił się ciałem na drzwi. Uderzył pięściami.

Powlókł się bez sił do ławki przy skwerze. Z czarnego nieba spadały pojedyncze suche płatki. Położył się na wznak, szeroko otworzył usta. Drobinę śniegu topniały przyjemnie na wyschniętym języku.

O świcie był przed drzwiami. Nie dopuszczono go. W poczekalni Tatiana, w wejściu i przed wejściem tłoczyli się ludzie. Żołnierze z obstawy poszturchiwali ich kolbami. Oberwańcy otwierali worki, drewniane walizy, pokazywali zawartość. Żołnierze nie chcieli patrzeć.

— Już Tatian sam osądzi.

— Osobiste szmaty. Przecież macie oczy. Zobacz! Zawszone koszule!

— Wszami nam oczu nie zamydlisz. Nie wszami spekulujesz, bracie.

Wpuszczano ich pojedynczo. Minęło kilka godzin nim wszedł ostatni. Wasilewski siedział na ławce przy drzwiach, znowu szukał spojrzeniem oczu Sergieja, ale Sergiej odwracał głowę. Niezadowolony mruknął:

— Łazi taki i łazi, naprzykrza się ludziom.

— Pułkownik Tatian wie.

— Właz, tylko nie gadaj. I słuchać już nadojeło.

Tatian uniósł zmęczone powieki. Nie prosił by podszedł.

— Ciągłe tutaj.

Wasilewski powiedział cicho:

— Szeliepugin prosi o podkładkę. Na piśmie.

— O podkładkę prosi?

— Tak, o zlecenie z Enkawede.

— A jak ja ci mogę wydać zlecenie? Na jakiej podstawie? Czy masz dowód żeś do nas przyjechał? Nie przyjechałeś. Ciebie tu nie ma, rozumiesz? Nie ma cię? Jak może wyjechać ktoś kogo nie ma? Jakim sposobem?

— Tumanian mnie przywiózł.

— Tumanian, ale nie my. *Zakawskaska Żelazna Daroga* cię przywiozła. Do nich musisz iść. Tylko do nich. I nie odstępuj. Przywieźli, muszą odprawić.

— Nie mogę już, nie mam sił.

— Asłanagaszwili niedaleko. *Naczelnik Zakawkaskoj Darogi*. Na bocznicy stoi. Od stacji na lewo.

Poszedł do stacji, a potem wzdłuż toru na lewo.

Stopy zapadały się w piasek. Zasłonił twarz krajem fufajki, wiatr zwiewał go z drogi, zwałił z nóg. Zaczekał aż kurzawa opadnie. Zasypało go. Gdy przestało dmuchać odsłonił oczy. Migotliwy, żółty pył opadał z powrotem na sfalowaną pustynię. Wrócił do toru, spróbował iść po podkładach. Skrócił krok. Po kilkudziesięciu metrach zabolaty kości pod kolanami. Przeskakiwał po dwa odstęp. Zmęczył się. Odpoczął. Znowu poszedł piaskiem, upadł na kolana. Wstał, rzucił się do przodu na siekący strumień, siedł na ślepo, zasłaniając twarz rękami. Położył się. Znowu czuł jak zasypuje go piasek. Leżał aż całkiem ucichło. Podniósł głowę, oparł ją na dłoniach. Ostrożnie otworzył oczy. Daleko, w żółtej mgłę zamajaczył wagon. Wy-skoczył na tor. Pobiegł, przeskakując po dwa odstęp. Wagon nie rozplynął się, czerniał coraz wyraźniej. Znow skrótł krok, skrzywił się z bólu, zwolnił. Przenosił stopę z progu na próg. Szedł pod słońce, wpatrzony w czarny wagon. Usłyszał ludzki głos, potem cienki śmiech kobiety. Zobaczył na środku pustyni parę starszków w białych wysokich czepkach. Kucharka i kucharz. Siedzieli na stopniu wagonu. Skubali drób. Pierze fruwało w powietrzu. Wirowało nad białymi czepkami.

— *Czestno gawariu. Pawiertie, wsiu nocz bab pachali.*

— *I gawariť nie pryliczno, Nikołaj Ignatiewicz.*

Zobaczyła go. Przesłoniła usta dłonią, nie wypuszczając oskubanego ptaka.

— Wy kto?

Wskazał ręką wagon, nie mógł mówić. Stary posadził go na stopniu, wetknął mu w palce manierkę.

— Pij jej Bogu. Wygląda jak by go wiatr spłodził z pustynią

Przełknął kilka łyków, zwilżył oczy.

— Ja do *naczelnika Zakawkazkiej Darogi*.

— Aslanagaszwili?

Skinął twierdząco.

— On w środku. Zaraz powiem: Wasze nazwisko?

— Wasilewski.

Po chwili wrócił:

— *Pażałsta!* Naczelnik prosi.

Otworzył drzwi. W dwóch kandelabrach płonęły świece, migotliwe kryształły skrzyły się iskrami światła, mrugały ciepło z mahoniowych ścian.

Zamknął drzwi. Przetarł but o nogawkę nim go postawił na dywanie. Bucharskie tkaniny przesłaniały okna. Zapatrzył się w długi stół, w srebra, porcelanę, owoce, wina. Nie wypuszczał klamki z rąk.

Przez drzwi z mahoniu wszedł Aslanagaszwili. Uśmiechał się, wysoki smagły Gruzin, w ubraniu z białej czesuczy. Podszedł energicznie, objął gościa ramieniem, poprowadził do stołu.

— Wszystko wiem i wy wszystko wiecie. Jak bardzo, jak szczerze my żalujemy. Ja znam Polskę, wiem, nie trzeba mi opowiadać. Znam zachód i znam pracę zachodniego człowieka. Tumanian musiał mi trzy razy powtarzać, że to prawda. Bylibyśmy uratowani. Ale oni nie wnikają w nasze potrzeby. Nie wolno i wsio. Chodź *w wozdach podnimis'*.

— Ujął butelkę dłonią o cienkiej kostce — jakiego się napijecie? Radzę to czerwone, półsłodkie, do kawy jedyne na świecie. Kawa to moja specjalność. Maszynka turecka, oryginalna. Staram się póki mogę żyć jak Europejczyk. Wiercie mi, nie zawsze tak u nas było. I miejmy nadzieję, nie na zawsze tak zostanie. Ile cukru? Dwie czy jedną?

— Ja chciałbym do Kafani. Tam czekają. Tatian...

— Przepustka?

— Tak.

— O to się nie martwicie.

Podszedł do telefonu. Nakręcił numer.

— Tatian? *Zdarowo*. Tatian. Tu Aslanagaszwili. Oczywiście. No, mam nadzieję. Właśnie rozmawiamy. Nigdy ci tego nie daruję. Przecież ci potwierdzam. Tylko proszę, bez żadnych kolejek.

Odłożył słuchawkę.

— Załatwione. Nie gniewajcie się Wasilewski. To w końcu i *zapretnajna zona i pogranpatasa*. Chcieli wiedzieć na pewno, że to wy a nie kto inny. Tyle ludzi się kręci. Zrozumcie, każdy odpowiada. Nie napijecie się kawy?

— Chciałbym zdążyć.

— Zdążycie, kawa was pokrzepi.

Podał mu cieniutką filiżankę, sobie nalał wina.

— Za Polskę, za wolną niezależną Polskę!

Odprowadził go do drzwi salonki.

— Tatian mi powiedział, że skierują was do armii. Bądźcie zdrowi, nie macie pojęcia jak bardzo żalujemy.

Zamknął za sobą klamkę. Przesłonił oczy, przywarł plecami do drzwi. Wiatr bił piachem do bólu. Poszedł pochylony, popychany wiatrem, potykał się padał na kolana, gramolił z piasku, naprzód, wzdłuż toru.

Była mroźna noc, gdy dowlókl się do ławki przy skwerze.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą zamglone gwiazdy. Usiadł, zszedł z asfaltu. Przeleżał resztę nocy na schodkach przed barakiem.

Rano był pierwszy. Tatian przyjął go pogodnie:

— No jak Wasilewski, załatwiliście?

Wasilewski uśmiechnął się.

— Czego się śmiejecie tak głupio!

— Rozmawiał z wami. Przy mnie telefonował.

— Ze mną rozmawiał? Człowieku!

— Wyraźnie mówił: Tatian.

— *Suma saszi!* Nina Andrejewna!

Weszła sekretarka.

— Dzwonił Aslanagaszwili?

— Ja nie przyjmowałam. Może Gawryło przyjmował.

— Gawryło! Dzwonił Aslanagaszwili?

Gawryło zaprzeczył, nie wstając zza biurka.

— Słyszeliście, nie? Jakies nieporozumienie. Musicie iść i załatwić. Oni sprowadzili, oni muszą odstawić. Nic na to nie poradzę. Nie gniewajcie się Wasilewski. I nie patrzcie tak na mnie. Nie moja wina.

Krzyknął ku drzwiom:

— *Sledujuszczyj!*

Wepchnięto następnego, głową do przodu. Żołnierz Sergiej pociągnął Wasilewskiego za rękaw, wyprowadził.

Poszedł ku stacji i piachem wzdłuż toru. Próbował liczyć progi. Płatały mu się liczby. Zaczynał od nowa, z uporem: raz, dwa, trzy, siedem. Uśmiechał się do siebie i znowu liczył: raz, dwa, sześć.

Grzmotnął pięścią o drzwi wagonu. Walił póki nie otworzyli. Naczelnik cofnął się przed nim do środka. Od razu podszedł do telefonu.

— To sadyzm! Znęcanie się nad człowiekiem!

Nakręcił numer.

— Tatian! Słuchaj Tatian, tak naprawdę nie można. Człowiek ledwo chodzi. To przecież *sajuznicy*! Człowiek! Nie, Tatian, *nie tak rabotajut sawietskije ludi*. O jednym pamiętasz, a o drugim nie pamiętasz. *Kto skazał*, kto powiedział i zapamiętać uczył: *Czełowiek eto samyj cennyj kapitał*! Kto Tatian? *Zabył ili nie zabył? Nie zabył! Wot i dumaju chto ty nie zabył*. Wstyd mi Tatian. I za siebie mi wstyd. Sam przeprosisz. Sam, ja już w oczy spojrzeć nie śmiem.

Odłożył słuchawkę.

— Napijcie się kawy? Może wino? No to idźcie. Zaraz załatwi. Nie gniewajcie się.

Zleciał ze stopni. Poleżał chwilę w piasku. Ukląkł. Podniósł się na nogi. Poszedł przed siebie. Wyciągniętymi rękami dotykał powietrza.

Odepchnął ludzi sprzed drzwi. Nie bronili się. Żołnierz zastąpił mu drogę:

— Ty co, zwariował?

— Powiedz, że od Naczelnika Zakaukaskiej Drogi, słyszysz? Żołnierz zniknął i zaraz wrócił:

— Pułkownik prosi.

Wszedł. Stał w drzwiach. Tatian wyskoczył zza biurka:

— Ty *Naczelnik Zakaukaskoj Darogi*! Ty?

— Powiedziałem, że od naczelnika.

— Kłamiesz!

— Nie kłamie.

— Kłamiesz sukinsynu!

— Nie kłamie.

— Chodź no tu. Chodź tutaj mówię!

Podszedł dwa kroki.

— Widzisz to słońce?

Powiodł oczami za jego ramieniem.

— Jak tu jutro będziesz, to już nie zobaczysz. *Isczezaj! Iszczazaj sju minutu! Won!*

Wyszedł na drogę. Nogi poniosły go ku morzu. Nie zatrzymał się. Wstępował w morze. Potknął się, zakołysał. Ukląkł. Wyciągnął dłonie do blasku przed sobą, mówił głośno, żarliwie:

— Boże, Boże, Boże mocny, Boże wielki. Ty któryś wyprowadził święty swój lud izraelski z niewoli egipskiej i babilońskiej, wyprowadźże mnie i mój naród z niewoli moskiewskiej!

Upadł twarzą na fale. Ubranie z waty szybko nasiąkało wodą.

Obudził się na brzegu. Kolejarz pochylał się nad nim. Potrząsał nim, gładził go po twarzy.

— Nie dobrze synku. Nie trzeba tak, nie wolno. Pan Bóg dał życie i Pan Bóg odbierze. Tylko on.

Zaprowadził go do stołówki. Wlewał mu po łyżce słoną, ciepłą ciecz. Zaprowadził go na stację. Nie odstępował na krok. Wszedł z nim do przedziału. Opowiadał ludziom, tłumaczył. Podniosły się nogi, wepchnięto go pod ławkę.

Obudził się w Baku. Ludzie wytłumaczyli mu. Musi jechać dookoła. Przez Tbilisi, Erywań, do Kafani. Z Alaty do Kafani nie można, tam mucha nie przeleci.

Mignął mu na dworcu Szelepugin. Szedł z dwoma kojcami krzyczącego drobiu. Przytknął palec do czoła:

— *Propuska chatiel! Durak!*

Poszedł do Ewakopunktu. Poznali go. Opowiedział. Nie mogli się nadziwić. Zaraz kazali mu iść do Naczalstwa. Niedaleko. Do Komendy Enkawede. Nie może taki bydlak Tatian znęcać się nad ludźmi.

Poszedł. Żołnierz wrzasnął mu nad uchem. Obszedł kolczaste druty. Zbliżył się do okienka. Opowiedział. Skośnooki wyciągnął rękę przez okno:

— *Nuka*, dokumenty?

Sięgnął za fufajkę. Przyskoczył inny, pchnął go w piersi ku drzwiom:

— Uciekaj! *Udiraj durak!*

Zaniosło go na stację, do wagonu, i do góry na półkę.

W Kafani wyrzucono go z pociągu. Zobaczył Voigta.

— Gdzie Jóźwiak? Gdzie mały?

— Pojechali do Alaty. Przed sześcioma dniami.

— Dlaczegoś ich puścił? Człowieku!

Przeraźliwy gwizd zagłuszył słowa. Spojrzeli za pociągiem. Ruszał ciężko w stronę Kaspijskiego Morza, enkawudziści wskoczyli na stopnie. Pociąg pomknął ku Alacie, wzbijając kurzawę piachu pod osłepłe niebo.

III

Po wojnie próbował odszukać Jóźwiaka. Napisał do Warszawy i do Moskwy. Przypomniawszy sobie kolegę ze szkoły, wysoką figurę. Poszedł, opowiedział mu. Kolega obiecał pomóc. Telefonował później miesiącami.

— Zrozum. Dwadzieścia lat czekały na męża i ojca. Czy resztę życia mają przeczekać na syna i brata?

Kolega poprosił go do siebie, do urzędu.

— Zrobiliśmy wszystko co w ludzkiej mocy. Sam telefonowałem do Moskwy. Przy tobie. Czy mam ci pokazać odpowiadź. Napisali czarno na białym: *Przepawszij bez wiesti.*

— Pokaż ten papier.

— Nie wierzysz mi?

— Ja dotąd nie wiem czy ten Gruzin Aslanagaszwili dzwonił wtedy do Tatiana, czy tylko tak kręcił tarczą. Dlatego proszę o papier, o dokument, o dowód!

Nie podali sobie rąk.

Pamięć ludzka szklany dzwon, raz uderzy i pęknie. Ukośnie na niebie grożą dzwony tym co nie żyją i nie umarli.

Jan ROJEWSKI

Pomoc Paczkową

- WSZECHSTRONNA
- SZYBKĄ
- SPRAWNĄ

DO POLSKI LUB ROSJI

Zapewnia na całym świecie

NAJWIĘKSZY DOM WYSYŁKOWY

TAZAB OF LONDON

AUSTRALIA
MELBOURNE, C.I.
327, Collins Str.,
Tel. Melbourne 1314

W. BRYTANIA
TAZAB HOUSE
LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175,

U.S.A.
NEW YORK,
36, Third Avenue,
Tel. ALgonquin
4-4160/1

Kraj

O polski "model" gospodarczy

Gospodarka polska przechodzi obecnie ostry kryzys. Niedawne posunięcia partii zmierzające do przywrócenia zachwianej równowagi przez drastyczne podniesienie cen mięsa i taryfy kolejowej, zapobiegły przerodzeniu się trudnej sytuacji rynkowej w katastrofę ale — rzecz oczywista — nie usunęły przyczyn niedomagań.

Przyczyny te tkwią głęboko w systemie gospodarowania praktykowanym w Polsce oraz w prowadzonej przez partię polityce gospodarczej. Niewątpliwie niektóre trudności były nieuniknione w kraju dźwigającym się ze zniszczeń wojennych i powszechnego zacofania struktury społeczno-gospodarczej. Ale znaczna, a może przeważająca, część obecnych kłopotów jest bezpośrednim wynikiem błędów, często błędów popełnionych świadomie, w imię narzuconych narodowi polskiemu doktryn (np. ruina rolnictwa i drobnej wytwórczości w latach 1949-1954).

Diagnoza choroby polskiej gospodarki jest w sytuacji takiego pomieszania elementów „obiektywnych” i „subiektywnych” rzeczą niełatwą. Niełatwe jest zapewne także sformułowanie programu reform, których realność uwarunkowana jest przecież nie tylko przesłankami ekonomicznymi, ale w dużej mierze realiami europejskiego układu sił. Żaden polski mąż stanu nie może np. proponować na serio powrotu do kapitalizmu, gdyby nawet — załóżmy — posunięcie takie było gwarancją fantastycznych korzyści gospodarczych.

Ale nawet w warunkach teraźniejszej, nadzorowanej przez Sowietów, Polski, kraju który wkroczył na drogę planowej gospodarki społecznej i przeprowadził szereg nieodwracalnych reform,

można wiele zrobić dla usprawnienia przemysłu, rolnictwa i handlu. Można wiele zrobić aby życie stało się łatwiejsze i lepsze.

Redakcja „Kultury” żywi głębokie przekonanie, że naprawa gospodarki polskiej jest warunkiem utrzymania znośnych stosunków politycznych w kraju. Bez niej nie da się przełamać powszechnej apatii, która rodząc bierność społeczeństwa oraz nerwowe napięcie w kierowniczych organach partii uniemożliwia dalszy postęp liberalizacji.

Reforma gospodarcza jest potrzebna — jeśli wolno tak sprawę postawić — obu stronom: społeczeństwu polskiemu i sprawującej nad nim kontrolę polityczną grupie politycznej. Dlatego też wydaje nam się, że są przesłanki na to aby taka reforma, a ściślej mówiąc szereg reform, doszła do skutku. Na przeszkodzie stoi tu głównie brak koncepcji i energii. Wszelkie obiektywne trudności (których nie brak zapewne) są do pokonania. Przykład Jugosławii, gdzie w niesłychanie trudnych warunkach przeprowadzono gruntowne zmiany w systemie gospodarczym i polityce ekonomicznej, wskazuje na szeroki wachlarz istniejących możliwości.

Cytując ten przykład nie chcemy przesądzać sprawy twierdząc, że jugosłowiańskie reformy przyniosłyby pożądane skutki w Polsce roku 1960-go. Problem ten nadaje się do dyskusji i może być rozstrzygnięty tylko przez rzeczoznawców. Ale nie mamy wątpliwości, że konieczne są zmiany i to zmiany daleko idące. Pogląd ten podziela chyba także prof. Oskar Lange, który na II Zjeździe Komunistów Polskich w czerwcu 1956 roku oświadczył w swym końcowym przemówieniu, że „łatanina tu nie wystarczy, potrzebne są zmiany zasadnicze”. (Stwierdzenie to było nader wiernym odzwierciedleniem opinii kilkuset zgromadzonych na zjeździe ekonomistów). Zresztą i kierownictwo partii zajęło dość podobne stanowisko. Pamiętamy jeszcze wystąpienie Władysława Gomułki na 8 Plenum KC PZPR. Obejmujący wówczas władzę Gomułka w nader dramatyczny sposób dał wyraz swemu niezadowoleniu ze stanu gospodarki. Jego krytycyzm dotyczył spraw zasadniczych i był zapowiedzią przełomu w polityce gospodarczej partii na wielu odcinkach. Jak dotąd zapowiedzi te zrealizowano częściowo (z dobrymi wynikami) na jednym tylko odcinku, w rolnictwie, o reszcie zapomniano.

Szeroka dyskusja, jaka rozwinęła się po 8 Plenum, na temat takich spraw jak kierunki rozwoju przemysłowego, system planowania i zarządzania, samodzielność przedsiębiorstw, ceny i płace, inicjatywa prywatna, wykazała olbrzymie zaintereso-

wanie społeczeństwa problematyką ekonomiczną. Była ona także manifestacją optymizmu: społeczeństwo wierzyło w skuteczność i możliwość reform i chciało się przyczynić do ich jak naj-sprawniejszego przeprowadzenia. W dyskusji wysunięto wiele propozycji o różnym ciężarze gatunkowym. Przez przeszło rok ferment intelektualny wśród polskich ekonomistów, planistów i działaczy gospodarczych budził nadzieje (nie tylko polskie!) na realizację nowych form, które łączyłyby socjalizm z racjonalnością gospodarczą. Nadzieje te zostały niestety zawiedzione.

Wydarzenia ostatnich miesięcy dowodzą, że partia zarzuciła całkowicie myśl o radykalnym zreformowaniu gospodarki. Wpatrzeni w międzyplanetarną przestrzeń, pociętą torami sputników gigantycznego sąsiada, kierownicy polskiej gospodarki utracili chęć do nowinkarstwa. Zamiast rzeczowych posunięć społeczeństwo doczekało się powrotu ludzi, o których wolałoby zapomnieć, Szyr — zamiast reformy cen i płac, Tokarski — zamiast samodzielności przedsiębiorstw, a Gede — na miejsce konsekwentnej polityki wobec prywatnego przemysłu i handlu. Trudno uwierzyć, że rozwiązuje to piętrzące się trudności gospodarcze.

Nie chcemy wchodzić w ocenę celowości ostatnich zmian personalnych. Nie o to przecież idzie. Jednakże trudno się pogodzić z faktem odkładania ad calendas graecas reform gospodarczych o tak wielkim znaczeniu dla kraju. Przewlekane sprawy może spowodować w tym wypadku tylko dalsze szkody. Okres „spieszenia się powoli” o którym tak przekonywująco mówił 3 lata temu Czesław Bobrowski, powinien już chyba należeć do przeszłości. Czas wreszcie zrobić coś konkretnego. Partia mogłaby wziąć tym razem przykład z „błagonadiożnych” Czechów, którzy znaleźli się nagle w czołówce reformatorów, odziedziczonego po Stalinie systemu gospodarczego.

Redakcja „Kultury” pragnie przyczynić się choćby w skromnej tylko mierze do powtórnego postawienia na porządku dziennym uspiętej dziś sprawy przebudowy „modelu gospodarczego Polski”. Możemy to zrobić jedynie przez ponowne otworzenie zakneblowanej przez cenzorów dyskusji nad stanem gospodarki polskiej i drogami jej uzdrowienia. Chcemy sprowokować do wypowiedzi wszystkich kompetentnych ekonomistów i działaczy gospodarczych: jakie są przyczyny obecnych trudności i co należy (i można) zrobić, aby je usunąć? Interesują nas poglądy dotyczące całości gospodarki oraz jej poszczególnych części. Nie precyzujemy zagadnień uważając, że lepiej pozostawić swobodę naszym dyskutantom: najważniejsze sprawy wyłaniają się z warunków rzeczywistości z nieubłaganą logiką.

Tematyka jest więc kolosalna: od spraw przedsiębiorstw poczynając kończąc na zagadnieniach ogólnie narodowego planowania i szeroko pojętej polityki gospodarczej.

Forma wypowiedzi: od monografii i artykułów programowych do krótkich notatek.

Zwracamy się z apelem do wszystkich, którzy czują się powołani do zabrania głosu w naszej ankiecie: piszcie. „Piszcie, piszcie, zawsze coś z tego zostanie” — można by rzec trawestując słynną maksymę. Ciekawsze wypowiedzi będą drukowane w „Kulturze”. Może się w końcu ktoś z decydujących czynników obudzi.

Redakcja przyjmuje wypowiedzi anonimowe.

CENTRALA WYSYŁKOWA

Paczki do Polski, U.S.S.R. i innych krajów. Powiększony katalog lekarstw — ceny konkurencyjne. Przesyłamy pieniądze do wyboru; w dolarach lub złotych — Żądajcie katalogów.

NASZA SPECJALNOŚĆ: sprawy emigracyjne, sprowadzanie krewnych, sprawy majątkowe — adoptacje dzieci, podróże. Obsługa szybka i gwarantowana.

ST. DZIAKIEWICZ AGENCY

860 So. Broad St. Trenton 10, N.J. U.S.A.

Tel. Export 4-9559

ANTOLOGIE W JĘZYKU UKRAIŃSKIM pt.:

ROZSTRILJANE WIDRODZENNJA

(ROZSTRZELANE ODRODZENIE)

Str. 980 w oprawie;

Cena dol. 6,-

można zamawiać u:

Eugene PEREJMA

4435 Parkinson, DETROIT 10, Mich., (USA)

Archiwum polityczne

Kłeska urodzaju

„...Winston zauważył, że charakterystycznym momentem światowej sceny politycznej jest kwestia „odcieni”. Po chwili dodał, że Anglia ma odcień różowy. Na to Stalin bez chwili wahania: „to jest tylko oznaka zdrowia”. Prezydent zakończył dyskusję na temat „odcieni” stwierdzeniem, że w wyniku tej wojny wszystkie kolory i odcienie zleją się w jedną tęczę, która reprezentuje symbol nadziei”.

„Wreszcie o w pół do drugiej w nocy udało mi się uciec do łóżka”.

Działo się w Teheranie, a scena wyjęta jest z pamiętników marszałka Lorda Alenbrooke'a.

Stalin i prezydent Roosevelt uciekli znacznie dalej niż do łóżka, ale problemu nie zabrali ze sobą. Zostawili go nam.

Czym się właściwie od siebie różnią owe materializmy — „dialektyczny” i „burżuazyjny?”

Arthur Schlesinger jr opisując swą niedawną podróż po Związku Sowieckim — cytuje pewnego zawiedzionego amerykańskiego turystę, który w jednym z moskiewskich biur Inturista wybuchnął z pasją: „Wysyłacie rakiety na księżyc, a nie umiecie załatwić mi biletu do Odessy!”.

W Ameryce wygląda wszystko zgoła inaczej. Rakiety do księżycy jakoś jeszcze nie dolatują, natomiast turyści podróżują w komfortie. Schlesinger słusznie zauważa, że gdyby Rosjanie, któregoś dnia doszli do wniosku, iż turystyka jest równie ważną dziedziną jak pociski raketowe — Inturist stałby się jednym z najlepszych biur podróży na świecie.

Analizując sytuację niejako z lotu ptaka, który patrzy na sprawy ludzkie z wysoka i bez zaangażowania, wypada stwierdzić — że materializm komunistyczny choć odrzuca metafizykę jest de facto znacznie bardziej „idealistyczny” niż

materializm, którego alfa i omega jest prywatna inicjatywa i prywatny zysk. Cel idealny komunistycznej materialistycznej filozofii stanowi źródło dynamizmu, z którym koegzystencja jest bardzo trudna. Nawet jeżeli się założy, że idealny cel komunizmu jest utopią — to niemniej należy stwierdzić, że spełnia on niezmiernie realną funkcję i w tym tkwi jego praktyczna wartość.

Philip Deane świetnie poinformowany waszyngtoński korespondent „The Observer” pisze, że rzecznicy Białego Domu na konferencjach prasowych przyznają, iż Rosjanie posiadają obecnie pociski międzykontynentalne o zasięgu ośmiu do dziewięciu tysięcy mil, o głowicach atomowych od pięciu megatonów wzwyż. Wywiad amerykański ocenia, że z końcem bieżącego roku Rosjanie będą dysponowali 200 do 300 tego typu ICBM. Eksperci przypuszczają, że w razie niespodziewanego ataku około 30 % z ogólnej sumy pocisków należy odliczyć na niewypały. Około 20 % nie wejdzie na właściwy tor. Sądzi się jednak, że około 112 do 168 ICBM w razie niespodziewanego ataku osiągnie swoje cele. Niewątpliwie wśród tych 168 celów będzie 50 baz strategicznego lotnictwa na terytorium Stanów Zjednoczonych.

A w tejże samej Moskwie bywają okresy kiedy nie można dostać sznurowadeł a i bilet do Odessy przedstawia często nielada problem. Owe sznurowadła i przysłowiowe żyletki, które giną również tajemniczo z pótek moskiewskich sklepów — są ulubionym tematem naszych antykomunistycznych „ekspertów” i propagandystów. Owe żyletki i sznurowadła stanowią mają symbol nędzy, niedoświadczenia i chaosu w zestawieniu z bogactwem dóbr konsumpcyjnych zachodniego świata.

Wszystko zależy co uważamy za ważniejsze — sznurowadła, żyletki, lodówki, samochody — czy pociski rakietowe. Bywają sytuacje, że nie można równocześnie produkować sepek pocisków o zasięgu 8 tysięcy mil oraz powodzi dóbr konsumpcyjnych. Trzeba wybierać a wybierając to znaczy planować.

W Ameryce w sferze gospodarczej o wszystkim lub niemal o wszystkim decyduje rynek. W rezultacie najzdolniejsi ludzie i najsprawniejsze zespoły zajmują się produkcją sznurowadeł, żyletek, telewizji, samochodów i sprzedawaniem biletów do takiej czy innej Odessy. W Rosji natomiast najzdolniejsi ludzie i najsprawniejsze zespoły fabrykują sputniki i pociski międzykontynentalne a trzeciorderny materiał ludzki sadza się za biurkami biur podróży.

To są wnioski do których doszedł i Schlesinger ale to nie jest cała „story”. Istota rzeczy nie leży w samym mechanizmie gospodarki rynkowej. W czasie wojny ta sama gospodarka amerykańska pracowała według hierarchii pierwszeństw (*priorities*) w pewnej analogii do dzisiejszego sowieckiego planowania. Nie cechy strukturalne odróżniają zasadniczo gospodarkę sowiecką od amerykańskiej lecz cel.

Na Zachodzie pisze się wiele o konieczności planowania. W wielkiej dyskusji na temat nacjonalizacji, którą toczyli przywódcy Labour Party przed i po wyborach — jako główny argument za nacjonalizacją wysuwano konieczność planowania. Zwolennicy nacjonalizacji sądzą bowiem, że tylko upaństwowienie głównych gałęzi przemysłów daje rządowi możliwość planowania gospodarczego na daleką metę. Nie ulega wątpliwości, że łatwiej jest planować w oparciu o przemysł znacjonalizowany, a jeszcze łatwiej w oparciu o przemysł totalnie upaństwowiony jak w Sowietach. Nie oznacza to jednak bynajmniej by w innych systemach gospodarczych planowanie było nieosiągalne.

Lecz co to znaczy planować? Planować to znaczy dążyć planowo do jakiegoś celu. Gdzie jest ten cel? Celu nie wymyślą ani ekonomiści ani planiści. Cel musi być zdefiniowany przez politykę. Nie można odwrócić tego porządku rzeczy. Najpierw trzeba mieć politykę, a dopiero później można mówić o planowaniu.

Fakt, że Ameryka pozwoliła wyprzedzić się Rosji w dziedzinie pocisków balistycznych — nie jest winą ani ekonomistów ani planistów. Jest to wyłącznie i w całości вина polityków amerykańskich.

Doświadczenia ostatnich lat 50-ciu zdają się wskazywać, że demokracje są zdolne jedynie do empirycznego, krótkofalowego planowania. Empiryk zwykle źle przewiduje, ponieważ nie interesuje go spekulacja tylko doświadczenie. A doświadczenie to są fakty dokonane. Klasycznego przykładu w tej dziedzinie dostarcza nam historia ostatniej wojny. Niczego nie przewidziano — niczego nie planowano a koncepcja zrodziła się dopiero w chwili gdy wojna była zagadnieniem praktycznym i empirycznie sprawdzalnym. Wówczas Anglosasi nie potrzebowali już przełamywać swego organicznego wstrętu do teoretyzowania i z całą energią poświęcać się mogli realnym konkretem. Trzeba było po prostu wygrać wojnę. Nie wojnę istniejącą na papierze w spekulacjach publicystów, lecz wojnę z arcy-prawdziwego zdarzenia.

Lecz dziś sytuacja jest znacznie bardziej złożona. Zachodni mężowie stanu za model koegzystencji przyjęli podzielone Niemcy. Wyobrażają sobie, że mogą istnieć obok siebie dwa światy w pokojowej i sąsiedzkiej harmonii. To byłoby możliwe gdyby obie strony nie miały żadnych uniwersalnych ambicji i podział świata uważały za czynnik stały. Ale Rosja nie ma polityki zagranicznej w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu. Uprawia politykę nie zagraniczną lecz światową. Innymi słowy swoimi celami polityczno-ideologicznymi obejmuje cały glob.

Amerykanie nie mają żadnych teorii systemu światowego. Prez. Eisenhower na jednej ze swych konferencji prasowych

zaznaczył wyraźnie: „Oni mają system — my mamy tylko *way of life* (modłę życia)”.

Kto mógł na Zachodzie wypracować teorię i program niekomunistycznego systemu światowego? Tylko socjaliści.

Co się stało z owym dynamicznym ruchem lewicowym na Zachodzie z lat trzydziestych — gdzie szukać tych rewolucyjnych intelektualistów, którzy walczyli w Hiszpanii? To wówczas Radek pisał: „W sercu burżuazyjnej Anglii, w Oxfordzie, gdzie kształcą się młodzież burżuazyjna i arystokratyczna — tworzy się grupa intelektualistów, którzy widzą swe zbawienie w połączeniu z proletariatem”.

Ukazała się w Anglii książka, która opisuje... *for whom the bell tolls*. Jest to studium Dr. Neal Wood pt. „Communism and the British Intellectuals”. Dziś jest oczywiste, że Stalin zlikwidował nie tylko Trockiego i jego zwolenników — nie tylko sowieckich intelektualistów, lecz zlikwidował również komunistycznych intelektualistów na Zachodzie. Nie zlikwidował ich fizycznie bo nie mógł, ale złamał im kręgosłup.

Prof. A. MacIntyre omawiając pracę Dr. Wooda — stwierdza, że brytyjska partia komunistyczna odegrała rolę pacyfikatora wszelkiego społecznego radykalizmu. Wielkie partie polityczne nie musiały się martwić problemem *angry young men* — buntowniczymi radykalnymi intelektualistami, bo partia komunistyczna wyręczała ich w działalności pacyfikacyjnej. Jednymi drzwiami wchodzili młodzi radykalni zapaleńcy, a drugimi drzwiami wychodzili „bywsi ludzie” wyjąłowieni, rozczerowani i raz na zawsze pozbawieni złudzeń. Choć może się to wydawać paradoksem niemniej jest faktem, że brytyjska partia komunistyczna odegrała rolę czynnika jak najbardziej antyrewolucyjnego i konserwatywnego.

W partii jest miejsce tylko dla zdyscyplinowanych, zruzynizowanych biurokratów. Dla intelektualistów miejsca nie ma. Nie są potrzebni. Program, ideologia, polityka — to wszystko jest importowane i gotowe. Intelektualista wstępujący do partii może być dogmatycznym wyznawcą i urzędnikiem ale absolutnie niczym więcej. Brytyjscy Kołakowscy i Harchowie przekonali się o tym na własnej skórze.

Ow problem lewicowych intelektualistów jest ogromnej wagi. Bo trzeba sobie powiedzieć, że bez intelektualistów nie ma socjalizmu. Ruch czysto robotniczy nie wychodzi nigdy poza ramy „trade-unionizmu”. Obserwując sytuację w Anglii można zaryzykować pogląd, że świadomość socjalistyczna wśród członków partii robotniczej jest wprost proporcjonalna do potencjału intelektualnego jakim partia dysponuje. Gdy ów potencjał intelektualny słabnie, horyzont ideologiczny mas robotniczych kurczy się do wymiarów związków zawodowych. Innymi słowy robotnicy czują się bardziej członkami „trade union'u” niż socjalistami.

Jeżeli dziś powtarza się na Zachodzie, że *socialism is dead* to jedną z kardynalnych przyczyn tego faktu jest uwiad intelektualnej lewicy. Bo „stamtąd” nikt nie wraca zdrowy. Silone kiedyś powiedział, że u dna, obecny konflikt jest sprawą pomiędzy komunistami, a byłymi komunistami. Ale trudno się tego dopatrzeć. W zimie 1957 roku rozmawiałem z bardzo uzdolnionym polskim komunistą — wówczas wyznawcą „rewizjonizmu”. Powiedział mi wtedy: „prawdziwymi marksistami są dziś tylko trockiści”. Istnieje w Anglii trockistowska Socialist Labour League. Po kryzysie budapeszteńskim spora garść partyjnych intelektualistów wyłądownała w tej organizacji. Ale wszystko to nie zmienia faktu, że intelektualiści, którzy przeszli przez młyny stalinizmu w większości wypadków zostali straceni dla sprawy socjalizmu. Orwell, Koestler, czy Weissberg — oddali ogromne zasługi sprawie antykomunizmu ale nie przyczynili się w niczym do budowy socjalizmu.

W niniejszym artykule splot powyższych zagadnień interesuje mnie nie w sensie ideologicznym, lecz ściśle politycznym. Problem jest następujący. Powtarzamy do znudzenia truizmy, że świat jest jeden, że technika komunikacyjna zredukowała odległości itd., itp. Politycznym wyrazem tej jedności współczesnego świata jest powszechnie odczuwana potrzeba internacjonalizmu. Przez internacjonalizm w tym kontekście rozumiem międzynarodowy system światowy. Komuniści mają taki system. Zachód natomiast ma tylko „modłę życia”.

Naszą sytuację vis à vis Sowietów można pojmować tylko dwojako. Albo można odrzucić wyzwanie komunizmu i wówczas należy go zlikwidować siłą — albo przyjąć to wyzwanie. Przyjmując jednak to wyzwanie musi się zaakceptować wysokość stawki. Stawką w tej grze nie jest obrona i utrzymanie status quo na pięciu kontynentach globu — tylko stawką jest cały świat. Komuniści nigdy tego nie taili.

System internacjonalny musi być oparty o pewną uniwersalną koncepcję. Dlatego socjalistom byłoby łatwiej wypracować zarys takiego systemu niż przedstawicielom innych kierunków politycznych. Niepozbawiony swoistej historycznej ironii jest fakt, że uniwersalna idea socjalizmu zrodzona na Zachodzie — obróciła się przeciwko nam. I nie mamy jej czym zastąpić.

Antykomunizm mógłby się stać przeciwwagą komunizmu tylko za cenę przekształcenia w faszyzm. Jedynie stotalizowana negacja może pretendować do rangi systemu. Antykomunizm pojmowany demokratycznie nie jest i nigdy nie powinien być niczym więcej jak poczuciem solidarności łączącej przeciwników komunizmu, a więc ludzi o różnych przekonaniach politycznych. Ale tak pojmowany antykomunizm nie stanie się oczywiście nigdy bazą międzynarodowego systemu. Antykomunizm jak każda negatywna doktryna — uwarunkowany jest istnieniem wroga. Gdyby Hitler zdołał spalić w piecach kremato-

ryjnych wszystkich Żydów — tym samym zlikwidowałby i antysemityzm. Analogicznie, gdyby komunizm zniknął z powierzchni naszej planety — antykomunizm straciłby rację bytu. Przywódcy polityczni, jeżeli nie chcieliby wówczas zrezygnować z dynamiki tej negatywnej idei, musieliby uciec się do metod orwellowskich — to znaczy do stworzenia fikcyjnej opozycji komunistycznej.

I to stanowi kardynalne niebezpieczeństwo wszystkich negatywnych idei. Każda zorganizowana masowa nienawiść nieuchronnie prowadzi do faszyzmu. Wiedzą o tym doskonale komuniści, którzy nienawiść do wroga klasowego — przemienili w cement totalitaryzmu. Koncepcja Stalina o zaostrzaniu się walki klasowej w miarę postępu budowy socjalizmu — była dosłownym plagiatem z Orwella. Chodziło w tym wypadku o teoretyczne zakonserwowanie wewnętrznego wroga co pozwalało kontynuować terror. Stalinizm bez „Goldsteina” jest równie nie do pomyslenia, jak hitlerizm bez antysemityzmu.

Każda prawicowa partia ma na jednym skrzydle potencjalnego Chamberlaina, a na drugim skrzydle potencjalnego McCarthy'ego. Pragmatyści i reprezentanci tzw. *common sense* tworzą centrum. Formułuje politykę i sprawuje rządy centrum. Jak długo sytuacja nie wybiega poza ramy normalnego, konserwatywnego rozeznania wszystko jest w porządku i ani potencjalny Chamberlain ani potencjalny McCarthy nie mają żadnej szansy zaprezentowania swych talentów.

W chwilach wielkiego kryzysu okazuje się jednak, że centrum nie ma odpowiedzi na problemy, których rzekomo nikt nie był w stanie przewidzieć. Wówczas na powierzchnię wypływa Chamberlain. Wczorajsi jego przeciwnicy i krytycy w obliczu grożącej katastrofy wołają: „dajcie mu szansę — niech pokaże co potrafi!”.

Gardło opinii społecznej potrafi przełknąć wiele — zwykle więcej niż się przypuszcza — ale to nie znaczy, że zdolne jest przełknąć wszystko. Agresorzy popełniają zwykle ten błąd, że pakiet zadań, który podają swej ofierze do przełknięcia jest zbyt wielki. Ten sam pakiet rozparcelowany na trzy porcje byłby może do strawienia.

I tak owo „coś”, którego nikt nie mógł i nie chciał przewidzieć staje się nagle faktem. Dzieje się to zwykle zdumiewająco powszednio i zwyczajnie. Gdy problem materializuje się w postaci namacalnego faktu — centrowi pragmatycy odyskują grunt pod nogami. W czasie wojny realizują dokładnie program, który można było i należało zrealizować przed wojną. Do tej pory zawsze tak bywało.

Chruszczow zbliża się do siedemdziesiątki. Nigdzie nie jest powiedziane, że jego następca zechce wywoływać ducha Camp David. Może dojść do napięcia sytuacji światowej w skali do tej pory nie notowanej. Jeżeli żądania sowieckie przekraczałyby znacznie możliwości Chamberlainów — poczucie kryzysu i gro-

żącej z godziny na godzinę katastrofy spowodowałyby stan wojny bez wojny. Wówczas smartwychstałby McCarthy w setkach wcieleń wietrząc szpiegów i dywersantów na każdym kroku — przeprowadzając czystki w ministerstwach, urzędach i redakcjach — głosząc nienawiść i dyscyplinę.

Mówiąc o wojnie mamy zawsze na myśli Sowiety. Ci, którzy sądzą, że wojny nie będzie, rozumują, że Rosja nie zaryzykuje katastrofy atomowej. Ci, którzy liczą się z wybuchem wojny wierzą, że Sowiety sprowokują jednak konflikt zbrojny. Jednakże tak jedni jak i drudzy zgodni są w opinii, że wszystko zależy od Rosji. W moim przekonaniu jest to pogląd błędny. Czy dojdzie czy nie dojdzie do wojny zależy będzie nie tylko od Rosji, ale i od Zachodu.

W świecie północno-atlantycznym w owej *North-Atlantic-Community* — robotnicy dają sobie coraz lepiej radę bez socjalizmu, a intelektualści nie są w stanie wydobyć się ze stanu komunistycznej fascynacji. Socjalizm demokratyczny w porównaniu z „nową wiarą” utracił historyczny dramatyzm, intelektualną atrakcyjność i nie wywołuje ani namiętnych pasji ani racjonalnych argumentów. Nikt nie pisze o socjalizmie — wszyscy piszą o komunizmie. Liche — średnie i najlepsze pióra. Co miesiąc ukazują się w druku setki studiów, esejów, rozpraw, zbiorowych opracowań. W tej powodzi jest mnóstwo propagandowej makulatury, ale są i książki znakomite, rozprawy doskonałe, artykuły, które się pamięta. Są dzieła rangi klasycznej jak „Rok 1984”, „Ciemność w Południe” czy „Zniewolony Umysł”. I to jest jednym z największych sukcesów komunizmu — ta mobilizacja intelektualistów i wciągnięcie ich w orbitę owej „siły fatalnej”.

Teoretycznie można by przyjąć, że z czasem z owego sporu ideologicznego wykrystalizuje się nowy prąd lewicowy. Ale na nic podobnego się nie zanosi. Komunizm obrabował socjalizm z energii intelektualnej — zużył go a nie wzbogacił.

Antykomuniści na Zachodzie dzielą się na dwie grupy. Pierwszą kategorią należy objąć propagandę i placówki badawcze. Do drugiej grupy zaliczymy pisarzy, publicystów, postępowych inteligentów różnej rangi i znaczenia, dla których ideałem byłby „Październik” w skali światowej.

Do tej drugiej kategorii należą najwybitniejsze jednostki i najlepsze pióra. Ale fascynacja owym *God that failed* nie pozwala tym ludziom dostrzec zasadniczego faktu. Na ewolucję systemu komunistycznego w imperium sowieckim można wpływać jedynie działaniem tutaj. Gdyby w świecie północno-atlantycznym rozwijały się dynamiczne, nowoczesne partie socjalistyczne, gdyby na arenie światowej szły z sobą o lepsze dwie formy socjalizmu — wówczas nadzieja na „Październik” w imperium sowieckim miałaby rzeczowe podstawy. Koegzystencja oznaczałaby wtedy ścieranie się dwóch uniwersalnych

koncepcji i każdy sukces socjalizmu zachodniego stanowiłby rzeczywistą klęskę socjalizmu wschodniego.

Wielkie syntezę są zawsze wynikiem zderzenia się i starcia formacji antagonistycznych. Ale Zachód nie jest gotowy do roli inicjatora i katalizatora przemian w bloku sowieckim.

Kapitalistycznemu czy burżuazyjnemu materializmowi brak jest teorii globalnej. Demokracja na wewnątrz, a kolonializm czy pseudo-kolonializm na zewnątrz nie są żadnym systemem międzynarodowym. Ów brak uniwersalizmu powoduje, że bogactwo zamiast stać się źródłem siły i dynamizmu — prowadzi do politycznej emerytury. John Steinbeck w liście otwartym do Adlai Stevensona pisał przed kilku tygodniami: „Potrafimy przeciwstawić się każdej klęsce rzuconej na nas przez Boga lub naturę — lecz nie umiemy przeciwstawić się klęsce bogactwa. Gdybym chciał zniszczyć jakiś naród dałbym mu nadmiar wszystkiego”. To jest fałszywe rozpoznanie. Bogactwo nie powoduje automatycznie słabości i rozkładu — tak jak nędra nie zawsze bywa matką dynamizmu i świętości. Steinbeck i dziesiątki intelektualistów amerykańskich, którzy myślą podobnie jak on, nie zdają sobie sprawy, że ocena „klęski urodzaju” zależy wyłącznie od perspektywy, w jakiej ją rozpatrujemy. Tylko w skali podwórkowej filozofii „demokracji konsumentów” Amerykanie są bogaci. Ten sam naród amerykański jako kandydat na przywódcę i realizatora nowego systemu światowego jest zaledwie na dorobku bez jednego dolara na zbędny luksus.

Amerykanom nie brak głębokich i krytycznych umysłów. Dylemat poruszony przez Steinbecka dostrzegł prof. Galbraith w swej książce „Affluent Society”, Kennan i wielu innych. Ale ci wszyscy krytycy są sami produktem *affluent society* i w swym rozumowaniu nie wychodzą poza ramy tradycyjnej amerykańskiej filozofii.

Jeżeli najbliższe dziesięć lat przyniesie dalsze umacnianie się sił prawicowych w świecie północno-atlantyckim i dalszy spadek intelektualnego potencjału lewicy — szanse znalezienia wyjścia z klęski bogactwa zmniejszą się proporcjonalnie. I wówczas albo znajdzie się Chamberlain, który „uratuje” pokój w nowym super-Monachium — albo zjawi się owa oczyszczająca katastrofa przepowiedziana przez proroków *affluent society*. Wtedy amerykańscy pragmatycy mając za sobą zjednoczony, zmobilizowany naród — dokonają dzieła, które należałoby dokonać dziś. Owa katastrofa nie musi być atomową apokalipsą musi być jednak kryzysem, który wstrząśnie fundamentami amerykańskiego tradycjonalizmu.

Przeciętny obywatel amerykański nie ma ani uniwersalistycznej ani imperialnej mentalności. Gdyby Amerykanie mieli za sobą przeszłość imperialną jak Francuzi, Anglicy czy Rosjanie — byłoby im łatwiej wyrobić w sobie mentalność narodu przywódczego. Ale tradycja amerykańska jest antyimperialna,

antykolonialna i izolacjonistyczna. Na dnie duszy Amerykanie pragną likwidacji „zimnej wojny”, odprężenia, które pozwoliłoby im powrócić nareszcie do domu. „Atomowi” lotnicy amerykańscy w bazach angielskich sądzą, że alarmy i pogotowia to wszystko jest maskarada potrzebna dyplomacji amerykańskiej (C. Sigal „The G.I. in Britain”). Ale przyjdzie moment, że Amerykanie zrozumieją swoją historyczną lekcję rosyjską. Problem jest tylko jakim kosztem?

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

O rewolucji węgierskiej pojawiło się ostatnio kilka nowych opracowań. Tibor Meray wydał książkę pt. „Thirteen days that shook the Kremlin: Imre Nagy and the Hungarian Revolution”. Pod auspicjami Kongresu Wolności Kultury ukazało się opracowanie pt. „The truth about the Nagy affair” z przedmową Alberta Camusa.

W Brukseli zaczął wychodzić bardzo dobrze redagowany kwartalnik pod dość ogólnikową nazwą „The Review”. Jest to organ niedawno założonego Instytutu Badawczego imienia Imre Nagya (*The Imre Nagy Institute For Political Research*).

Na marginesie warto zaznaczyć, że w bieżącym numerze cytowanego kwartalnika George Gömöri ogłosił piękny i doskonale udokumentowany szkic pt. „Polish Echoes of the Hungarian Revolution”.

Ale celem tej kronikarskiej notatki jest w pierwszym rzędzie chęć przestrzeżenia braci Węgrów przed fabrykowaniem niepotrzebnego mitu. Mam na myśli mit sueski. Suez — jak „deus ex machina” wypływa zarówno w książce Tibor Meray’a — jak w opracowaniu Edgar Morin’a (*The Review* Nr 2). Morin pisze dosłownie: „Gdyby nie afery sueskiej Stany Zjednoczone i cały świat zachodni mogłyby przeciwstawić się naciskowi Rosji. Wówczas sprawa neutralizacji Węgier wypłynęłaby na powierzchnię. Ale Anglia i Francja pochłonięte były wojskową interwencją a Stany Zjednoczone skupiły całą uwagę na Środkowym Wschodzie i Afryce... Tak oto Rosja miała wolną rękę w stosunku do Węgier”.

Rozważania sueskie kończy Morin uwagą, że możliwości socjalizmu demokratycznego nie mogą być oceniane w oderwaniu od sytuacji światowej, która w tym szczególnym wypadku zagrała przeciwko Węgrom.

Jest zrozumiałe, że Imre Nagy i ludzie skupieni koło niego na skutek wieloletniej izolacji i odcięcia nie orientowali się zupełnie w sytuacji międzynarodowej. To była epoka Dullesa i szumnych frazesów o „przeła-

manii" żelaznej kurtyny. Ludzie z nożem na gardle mają tendencję do interpretowania wolnościowych deklaracji dosłownie. Mamy w tej materii równie bolesne doświadczenia jak bracia Węgrzy. Ale o ile w pewnej mierze można zrozumieć i usprawiedliwić brak orientacji Imre Nagy oraz jego współpracowników — o tyle mitolodzy suescy przebywający na Zachodzie nie mają niczego na swoje usprawiedliwienie.

Epizod sueski nie miał absolutnie nic wspólnego z rewolucją węgierską i w niczym nie wpłynął ani na jej przebieg ani na jej wynik. Gdyby Suez nie było, mocarstwa zachodnie nie zaryzykowałyby również wojny w obronie bohaterskich powstańców węgierskich.

Nie należy się ośmieszać przypisując Zachodowi intencje, których on nigdy nie posiadał. Zachodnim historykom węgierski „mit sueski” wydaje się wręcz komiczny. C.M. Woodhouse (dyrektor *Royal Institute of Foreign Affairs*) omawiając książkę Tibora Meraya nie szczędił lekceważącej i gryzącej ironii. Píše, że Węgrom wydawało się, iż celem wojennym Anglii i Ameryki jest wyzwolenie przy równoczesnym zamrożeniu pretekstu rosyjskich i rumuńskich pod adresem Węgier. Swoją politykę opierali (Węgrzy) na przekonaniu, że jedynym celem zachodnich sojuszników jest dostarczenie im łatwego wyjścia z ich szaleństw a przede wszystkim wybawienie ich od komunizmu. I konkluzja: „Mocarstwa zachodnie jeżeli nie chciały ryzykować trzeciej wojny światowej nie mogły niczego uczynić dla powstańców węgierskich. Dla każdego człowieka na Zachodzie samo przypuszczenie, że taka cena (wojna światowa) mogłaby wchodzić w grę było absurdem. Ale Węgrom nie wydawało się to absurdalne”.

Po co narażać się na tego rodzaju komentarze ze strony historyków angielskich. W jakim celu usprawiedliwiać Zachód Suezem — kiedy na Zachodzie nikt nie chce ani usprawiedliwień ani rozgrzeszeń.

Kiedys napisałem w „Kulturze”, że przywódcy powstania warszawskiego przegrali dwukrotnie i w obu wypadkach na korzyść Rosji. Raz w roku 1944 a drugi raz w roku 1956. Rewolucji październikowej w Polsce brakło młodego pokolenia inteligentów, które beużytecznie pochłonęło powstanie. W październiku 1956 byliśmy rozumni nie tyle siłą ile anemią.

Suez z tym wszystkim nie ma nic wspólnego. Jeżeli jakiś wniosek można wysnuć z tych wydarzeń to chyba ten jeden: epoka narodowych powstań należy do przeszłości. Powstanie (przy sprzyjających warunkach) w krajach za „żelazną kurtyną” tylko wówczas miałoby szansę powodzenia gdyby objęło wszystkie kraje ujarzmione, a w każdym razie Polskę, Węgry Niemcy Wsch. i Czechosłowację. Tylko powstanie w tych wymiarach miałoby przed sobą perspektywę przekształcenia się w problem polityki światowej. Powstanie w jednym kraju to zawsze tylko lokalne „rozruchy” bez szansy i bez nadziei.

ENCOUNTER — KULTURA

„Encounter” — w swoim rodzaju doskonały miesięcznik, wydawany w Londynie przez Kongres Wolności Kultury, w numerze 76 zamieścił nowelę Abrama Terca pt. „Sąd Idzie” w przekładzie angielskim. Po ukazaniu się tego numeru w sprzedaży, kilku naszych Czytelników zwróciło się do mnie z zapytaniem dlaczego „Encounter” przedrukowując

Terca nie zaznaczył, że przekładu i przedruku dokonano za naszą zgodą z oryginału, który „Kultura” otrzymała z Rosji wraz z wszystkimi prawami.

Przekład Terca na łamach „Encountera” wzbudził wielkie zainteresowanie. „The Guardian” poświęcił mu dłuższy artykuł redakcyjny a E. Grankshaw omówił go w „The Observer”. Oczywiście zarówno „Guardian” jak i „Observer” cytowali wyłącznie „Encountera” jako odkrywcę Terca. O „Kulturze” ani słowa.

Napisałem uprzejmy list do redaktora „Encountera” i w następnym numerze 77 ukazała się notatka, że oryginał noweli Terca znajduje się w „Kulturze”, która posiada wszystkie prawa.

Cały ten epizod nie byłby wart notatki gdyby nie jego aspekt „emigracyjny”. Nikt mnie nie przekona, że drukując „Sąd Idzie” — uzyskawszy od nas uprzednio zezwolenie na przekład i przedruk — redaktorzy „Encountera”... zapomnieli wyjaśnić skąd w ogóle do Terca doszli. Są zbyt doświadczonymi fachowcami, by tak istotny szczegół mogli przeoczyć. Niczego nie przeoczyli, uważali natomiast, że powołując się na źródło emigracyjne poderwą zaufanie do autentyczności Terca. Oczywiście to może wyjaśniać ich postępowanie ale w żadnym wypadku nie może go usprawiedliwiać.

Nigdy nie wybielałem emigracji i nie sądzę by ktokolwiek zaryzykował tego rodzaju zarzut pod moim adresem. Niemniej, z czysto obiektywnego punktu widzenia, należy na marginesie tej sprawy powiedzieć co następuje:

Większość kontaktów z krajami „zakurtnymi” odbywa się przez emigrantów. Gdyby z Free Europe, Kongresu Wolności Kultury i dziesiątki innych instytucji usunąć jednego dnia emigrantów wschodnioeuropejskich — ten wielki „show-business” trzeba by tego samego dnia zamknąć. Wszystko co z tamtej strony przecieka na Zachód — przecieka kanałami emigracyjnymi. W bibliotece emigracyjnej „Kultury” ukazały się takie pozycje jak „Zniewolony Umysł”, „Cmentarze”, „Sąd Idzie” — nie licząc artykułów i utworów literackich autorów „zakurtnych”, które drukowaliśmy na łamach naszego miesięcznika. Żadne zachodnie pismo niczym podobnym nie może się pochwalić.

Każdemu wolno uważać kontakt z emigrantami za niewłaściwy, a powoływanie się na źródło emigracyjne za rzecz kompromitującą. Wszystko w porządku. Ale wówczas nie należy niczego brać od emigrantów. Jeżeli jednak ktoś chce kupować w sklepie emigracyjnym to musi pamiętać, że obowiązują go te same przepisy i obyczaje co gdzie indziej. *Is it clear?*

NIE TO SAMO

Wypada mi podjąć dyskusję z Józefem Mackiewiczem — w materii delikatnej. Znowu narażę się mocno naszym mandarynom antykomunistycznym — ale pocieszam się myślą, że w ich oczach nic mi już nie pomoże ani nie zaszkodzi.

W „Dodatku Tygodniowym” — „Ostatnich Wiadomości”, które nota bene Mackiewicz niezmiennie ożywił i wywindował do znacznej rangi, ukazał się artykuł pt. „Casus: Marek Hlasko”. Zastrzegam się na samym

wstępie, że nie zamierzam bynajmniej bronić Hłaski. Chodzi mi o problem znacznie ogólniejszej natury.

Mackiewicz cytuję idiotyczną wypowiedź Hłaski: „I do Londynu przyjadę ale w sowieckim czolgu”. O ile pamiętam chodziło w tym wypadku o Paryż — choćby z tego względu, że do Londynu jeszcze ciągle czołgiem dojechać byłoby raczej trudno. Ale mniejsza o szczegóły. Mackiewicz pisze, że powyższa wypowiedź nie przeszkodziła Hłasce w otrzymaniu nagrody „Akademii” londyńskich „Wiadomości”. I dodaje „choć wątpię wypada czy by został nagrodzony gdyby obiecywał, że wejdzie do Paryża na czele dywizji SS”. „Tymczasem” — cytuję dosłownie — „wydaje mi się, że komunizm jest co najmniej równie odpychający jak faszyzm”.

Równie odpychający — zgoda — ale nie równie dyskwalifikujący. Jest nie do pomyślenia by — powiedzmy — Koestler miał w świecie zachodnim tę samą pozycję, gdyby był nie ex-komunistą lecz ex-oficerem SS. Mackiewicz sądzi, że to „uprzywilejowanie” byłych komunistów jest przejawem moralnego „appeasement”. Liczymy na ewolucyjne przemiany komunizmu i dlatego klepiemy oportunistycznie po plecach ex-komunistów a psy wieszamy na ex-faszystach. A przecież — jedni totaliści i drudzy totaliści. Obozy koncentracyjne, masowe egzekucje, ludobójstwo — mają na sumieniu tak jedni jak i drudzy. To prawda. Niemniej obiektywnie należy stwierdzić, że zachodzi zasadnicza różnica pomiędzy hitleryzmem a komunizmem. Nie ma istotnej różnicy pomiędzy Himmlerem a Berią — ale jest istotna różnica pomiędzy „Kapitałem” a „Mein Kampf”.

Komunizm głosi wiele zasad słuszych, zaczerpniętych bezpośrednio z Chrześcijaństwa i faktu tego nie zmienia Katyń, tak jak stosy Inkwizycji nie zmieniają na jotę posłania Ewangelii o miłości bliźniego. Podobnie jak komuniści, i socjaliści pragną zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka i sprawiedliwszego ustroju społecznego. Różnice pomiędzy socjalizmem a komunizmem choć są zasadnicze — nie przekreślają wspólnej genealogii obu ruchów. Dlatego komunizm nie dyskwalifikuje moralnie pod warunkiem, że się go porzuci. Agentów Bezpieki dyskwalifikował nie komunizm, ale zbrodnie jakie popełnili. Komunista, który nie popełnił zbrodni czy nadużyć — może zawsze przejść na naszą stronę z podniesioną głową.

Hitleryzm dyskwalifikuje moralnie *per se* — tak jak dyskwalifikuje przynależność do bandy rozbójniczej. Hitleryzm nigdy nie był żadną ideologią — był tylko nacjonalistyczną, zbrodniczą polityką przemocy.

Ponieważ hitleryzm nie był ideologią — od hitleryzmu nie można odejść. Przynależność do SS można tylko odpokutować w więzieniu. Zapewniam p. Mackiewicza, że dopóki na Zachodzie istnieć będzie demokracja — dopóty istnieć będzie zasadnicze rozróżnienie pomiędzy hitleryzmem a komunizmem — mimo, że jako demokraci jesteśmy przeciwnikami tak faszyzmu jak i komunizmu. Ale być przeciwnikiem to nie to samo co identyfikować dwa zjawiska całkowicie różne.

FRUSTRACJA NA KREDYT

Słowa „frustracja” używam głównie by zirytować naszych purystów. Znakomity *Słownik angielsko-polski*, Tom I, opracowany przez Kazimierza

Bulasa i Francis J. Whitfielda — a wydany przez Fundację Kościuszkowską, wśród wielu znaczeń słowa „frustrate” podaje między innymi i następujące *frustrate one's opponents* — zgutować zawód swoim przeciwnikom. Otóż to jest właśnie moim zadaniem.

Ale wpraw kilka uwag wstępnych. Wydaje mi się, że socjologia emigracji traktowana nawet po amatorsku jest w pewnym sensie fascynującym badaniem, ponieważ obfituje w morze nietypowości. Jakąkolwiek przyjęlibyśmy teorię podbudowaną dobrze ugruntowanymi prawidłowościami — zawsze będzie można znaleźć serię wypadków, które zaprzeczają tak teorii jak i prawidłowościom.

Zgodnie z ogólnie przyjętą teorią o asymilacji — młody człowiek, który opuścił kraj pięcioletnim chłopcem — w wieku lat 25 winien być naturalizowanym i w pełni zaaklimatyzowanym obywatelem kraju osiedlenia.

Często tak bywa — ale bynajmniej nie zawsze. Znałem w Londynie młodzieńca w podobnej sytuacji. Był ukończonym (brytyjskim) inżynierem, żonatym, na posadzie. Czegoż jeszcze wymagać od życia? A jednak któregoś dnia młodzieniak spakował manatki i pojechał do Polski. Piszę „pojechał” — bo trudno mówić o powrocie w stosunku do kogoś, kto opuścił Kraj kilkunastu lat wcześniej. Co skłoniło pana X do wyłamania się z reguły? Pan X poza tym, że jest inżynierem pisze wiersze. Po kilku latach pracy doszedł do wniosku, że ślęczenie nad deską kreślarską nudzi go niewymownie. Postanowił zerwać z inżynierią i poświęcić się w całości literaturze. I oto stary Kraj zaofiarował mu możliwości, którymi przybrana ojczyzna nie dysponuje.

Ktoś powie — nie bez racji — że inżynier pisujący (dobre) wiersze to sytuacja już nie tyle nietypowa co całkowicie wyjątkowa. Zgoda. Ale w mojej opinii nietypowość tej sytuacji nie polega na tym, że inżynier pisze wiersze. Mieliśmy wybitnych pisarzy, którzy z wykształcenia byli lekarzami, urzędnikami kolejowymi itd. Ale Boy, gdy porzucił medycynę, nie musiał emigrować do innego kraju by uprawiać zawód pisarski. A młody człowiek o którym mowa — by zmienić swój zawód musiał wyemigrować. Dlaczego? Między innymi dla tego — że w Anglii poeta nie ma żadnych szans utrzymania się z pióra. Wbrew teoriom o asymilacji należy stwierdzić co następuje: Specyficzna struktura angielskiego rynku wydawniczego, literackiego i czytelniczego oddziałuje na młodych ludzi polskiego pochodzenia (literacko zaangażowanych) — polonizująco.

Ale ktoś może powie — i tym razem nie bez racji — że młodzi ludzie literacko zaangażowani — to jest problem nie nadający się do socjologicznych uogólnień.

Przypatrzmy się więc inżynierom, którzy nigdy w życiu nie tylko nie napisali ale nawet nie przeczytali żadnego wiersza poza gimnazjalną lekturą.

W Londynie powstają tzw. gminy polskie. Przed kilku miesiącami na moim rodzinnym Chiswick'u powstała również taka gmina. We władzach organizacyjnych naszej gminy zasiada m.in. znany mi osobiście inżynier, który studia ukończył w Anglii. Ów pan — na rządowym stanowisku — przez ubiegłe 10 lat niezmiennie skrupulatnie unikał styku z emigracyjnymi organizacjami. Nie należał nawet do Stowarzyszenia Kombatantów. Przyjął w pierwszym terminie obywatelstwo brytyjskie i chciał się zakorzenić.

I do pewnego stopnia istotnie to mu się powiodło. Ale ów stopień zakorzenienia — po trzynastu latach pobytu w Anglii okazuje się niewystarczający. Jego kontakty towarzyskie z Anglikami są nikłe, a już dziś trudno się ludzić, że to kiedykolwiek zmieni się na lepsze. Panowie tego pokolenia minęli czterdziestkę i czują pewne osamotnienie oraz niejasny niedosyt życiowy. Ten sam inżynier gdybym mu 6 czy 8 lat temu zaproponował organizowanie polskiej gminy — byłby mnie wykił. A dziś chodzi gorliwie na posiedzenia zarządu — organizuje lokalne polskie imprezy i jest bardzo zadowolony ze swej nowej roli ojca polskiej gminy.

Kto mógł przewidzieć, że obumieraniu centralnych instytucji emigracyjnych towarzyszyć będzie rozkwit terenowych, lokalnych organizacji, które po latach przygarną powracającą falę.

I jeszcze inny przykład z tej samej serii, sercu memu najbliższy.

Wszyscy którzy mówią i piszą o „frustracji” emigracyjnej — wskazują na malejące nakłady pism emigracyjnych. „Frustranci” emigracyjni zawodzą melancholijnie: „wszystko się kurczy, upada, rozsypuje. Jedni wymierają, drudzy się wynaradawiają i wkrótce nic z nas nie pozostanie jeno ten cichy żal i oczywiście Rada Trzech”.

Frustracja leży u podstaw neo-kolaboracjonizmu na emigracji — co zresztą stanowi temat odrębny (zwłaszcza wielu młodych rozumuje po tych liniach. Ponieważ na emigracji wszystko skazane jest na zagładę przezorniej będzie nie zamykać sobie możliwości takiej czy innej współpracy z instytucjami krajowymi. Kolaborantstwo w tych wypadkach polega na tym, że trzeba być antyemigracyjnym emigrantem, by być dobrze widzianym po tamtej stronie „żelaznego płotu”).

Ale mówiliśmy o pismach i nakładach. Byłoby w pewnym sensie naturalne gdyby po 20 latach nakłady pism emigracyjnych malały. Każdy socjolog dodałby w tym miejscu, że zjawisko to było z góry do przewidzenia. A jednak i w tej dziedzinie życia emigracyjnego są wyjątki, które jaskrawo przeczą regule.

Co roku w styczniu robimy bilans prenumerat „Kultury”. Otóż upoważniony jestem do stwierdzenia, że styczeń 1960 w porównaniu ze styczniem 1959 wykazuje wzrost prenumerat. Nie tylko stałe prenumeraty zostały odnowione szybciej niż w latach poprzednich, ale przybyło sporo nowych. Nakład „Kultury” — jak dotąd nie wykazywał nigdy tendencji zmniejszających, ale były lata w których utrzymywał się na tym samym poziomie.

Czym należy to wytłumaczyć? Najłatwiej byłoby ten niewątpliwý sukces zdyskontować redakcyjnie. Powiedzieć sobie: robimy dobre pismo i ludzie chętnie nas czytają. Jest oczywiście, że „Kultura” jest dobrze redagowana bo inaczej nie szłaby tak jak idzie. Ale to nie jest wszystko. Gdyby na emigracji było tak źle jak głoszą „frustranci” — prenumeraty nawet najlepiej redagowanego pisma musiałyby maleć. Ale i to jeszcze nie jest wszystko. Fakt, że „Kultura” rozwija się dowodzi, że nasze pismo jest potrzebne i spełnia istotne a nie wymaginowane zadanie. I tylko to jest ważne w tej całej sprawie.

Michał Karpowicz

Dnia 7 listopada ub.r. zmarł w Cambridge, Mass., w siedemdziesiątym drugim roku życia Michał Karpowicz, profesor historii i literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Harvardzkim i wybitny działacz kulturalny rosyjskiej emigracji.

Z nazwiskiem jego zetknąłem się na dobre lat temu bez mała dziesięć, na wiosnę 1950 r.

O możliwości zaproszenia mnie do Harvardu na organizującą się tam polonistykę dowiedziałem się po raz pierwszy od prof. Lednickiego, który proponował Karpowiczowi moją kandydaturę. Z góry zdecydowany zaproszenie takie, jeśli przyjdzie, przyjąć, myślałem jednak o nim z trochę mieszanymi uczuciami. Tyle się człowiek nasłuchał tatarskich wieści o Ameryce w ogóle, a amerykańskim życiu uniwersyteckim w szczególności. List Karpowicza jak gdyby napisany był dla rozproszenia tych wątpliwości. Nie było w nim nic oficjalnego. Był to wcale obszerny prywatny list, informujący o warunkach pracy w Harvardzie, z którego wiało ciepłem, ludzkością, taktem. O ileż łatwiej po takim liście było wybierać się w podróż do Ameryki.

Zainteresowałem się wtedy bliżej autorem listu, znanym mi uprzednio tylko z dorywczo przeglądanych zeszytów *Nowego Żurnalu*, ale o którym poza tym nie wiele co wiedziałem. Co to za historyk? Bardzo poważny i wybitny — odpowiadano mi. Co ogłosił? Okazało się, że niewiele: niewielki podręcznik *Imperial Russia* (1932), dział o historii gospodarczej Rosji w opracowanym z dwoma innymi współautorami tomie *Economic History of Europe* (1937), garść artykułów głównie z dziedziny historii kulturalnej Rosji XIX w. — to było wszystko. Jak można, dziwiłem się, z tak niewielkim dorobkiem zdobyć w świecie naukowym poważną pozycję.

Szybko po przyjeździe przekonałem się, że moi informatorzy mieli rację. Karpowicz, mimo że ogłosił mało, wyrobił sobie w świecie naukowym bardzo poważną pozycję. Zawdzięczał ją swoim wyjątkowym wartościom osobistym i w szczególności talentowi doskonałego wykładowcy i pedagoga.

Z pochodzenia był ćwierć-Polakiem. Przypomniałem mu kiedyś, że w latach siedemdziesiątych XVIII wieku jego imiennik ks. Michał Karpowicz, popularny swego czasu kaznodzieja, bronił w Wilnie dzieła Komisji Edukacji Narodowej. Komisja Edukacyjna nie była dobrze widziana wśród duchowieństwa, zwłaszcza na Litwie, i ks. Karpowicz, angażując się w jej obronę, złożył dowody i dużej niezależności sądu, i odwagi cywilnej. Skłonny jestem przypuszczać, choć nie mam na to żadnych dowodów, że dziadek prof. Karpowicza pochodził z tej samej rodziny.

Dziadek ten był powstańcem 1863 r., zesłanym na Kaukaz. Zenił się dwa razy. Pierwsza żona była Polką i dzieci z nią zrodzone uważały się za Polaków. Dzieci te i ich dzieci po wybuchu rewolucji bolszewickiej wyemigrowały wszystkie z Rosji do Polski. Drugą żoną była prawosławna Gruzinka. Karpowicz z niej zrodzeni, m.in. i ojciec Michała Karpowicza, uważali się już wszyscy za Rosjan.

Prof. Karpowicz obcy był wszelkim uprzedzeniom narodowościowym i z temperamentu, i z przekonań. Ale w jego stosunku do Polski było coś więcej niż zasada *fair play* liberała, wolnościowca, dobrego Europejczyka. Były i żywe sentymenty, wywodzące się z tradycji rodzinnej. Lubił wspominać swego dziadka powstańca. Nie mówił, ale swobodnie czytał po polsku i w polskiej literaturze historycznej, dotyczącej czasów nowszych, był dobrze zorientowany. W swoich wykładach historycznych sprawy polskie poruszał zawsze z wielkim taktem i zrozumieniem polskiego punktu widzenia. Cieszył się, kiedy mógł dostać dla swego pisma jakiś artykuł na temat polski. Energicznie zabiegał o stworzenie w Harvardzie katedry polonistyki.

Życie nie układało mu się prosto. Był jeszcze gimnazystą, kiedy ogarnęła go rewolucja 1905 r. Działalność rewolucyjną z ramienia eserów przeplącił dwukrotnym aresztem i wygnaniem z rodzinnego Kaukazu. Wygnanie w Rosji carskiej miało inny wydźwięk niż w dzisiejszej. Wygnaniec z Tyflisu mógł się zapisać na wydział historyczny Uniwersytetu Moskiewskiego i mógł potem wyjechać na rok studiów do Paryża. Ukończył studia tuż przed wojną z tytułem „kandydata”. Doktoratu nigdy nie zrobił. Za to już w Ameryce dostał doktorat honoris causa. Profesorowie jego, aby umożliwić młodemu, doskonale zapowiadającemu się historykowi dalszą pracę naukową, wystawiali mu się o nieabsorbującą posadę w moskiewskim Muzeum Historycznym, która była w gruncie rzeczy stypendium na pracę naukową. Pozostał na niej do r. 1916.

Po przewrocie lutowym Rząd Tymczasowy Kierenskiego mianował swoim ambasadorem w Waszyngtonie Borysa Bachmietiewa, dobrego znajomego Karpowicza jeszcze z lat tyfliskich. Bachmietiew zabrał go jako swego sekretarza do Ameryki. Jako urzędnik tej emigracyjnej już ambasady był w Paryżu w czasie konferencji pokojowej. Po zamknięciu ambasady w r. 1922 przeniósł się do New Yorku. Brał żywy udział w rosyjskim życiu emigracyjnym. Obdarzony darem słowa dał się już wtedy poznać ze swoich odczytów.

W środku roku akademickiego 1926-27 profesor historii Rosji w Harvardzie Robert H. Lord, któremu nb. winniśmy szczególną wdzięczność jako gorącemu przyjacielowi Polski, autorowi cennej monografii *The Second Partition of Poland* i doradcy Wilsona w sprawach polskich na paryskiej Konferencji Pokojowej — postanowił nagle porzucić katedrę i zostać księdzem. Z inicjatywy znakomitego historyka harwardzkiego Archibalda Cary Coolidge'a, który znał Karpowicza jeszcze z Waszyngtonu, zaproponowano mu przyjazd do Harvardu na semestr dla kontynuowania przerwanych wykładów. Okazał się doskonałym wykładowcą i został już w Harvardzie na stałe. A z czasem jego działalność w uniwersytecie objęła też i sławistykę.

Do r. 1947 istniała w Harvardzie jednoosobowa katedra sławistyki. Pierwszym jej profesorem w Harvardzie i w ogóle w Ameryce był pochodzący z Polski Leo Wiener. Po nim objął katedrę S.H. Cross. Po jego śmierci uniwersytet postanowił rozbudować katedrę w obszerny, wieloosobowy wydział sławistyki, obejmujący swoim programem wszystkie ważniejsze kultury słowiańskie. Reorganizację tę powierzono Karpowiczowi. Odtąd, aż do przejścia na emeryturę w r. 1957, dzielił swój czas między historię i sławistykę. Do wykładów i seminariów z nowszej historii Rosji przybyły teraz wykłady z nowszej literatury rosyjskiej, w szczególności bardzo popularny kurs historii literatury rosyjskiej XIX w. dla studentów młodszych lat.

Ten przeskok w historię literatury był dla Karpowicza czymś łatwym i naturalnym. Z zainteresowań swoich był przede wszystkim historykiem prądów ideowych, a te z natury rzeczy o literaturę ocierają się blisko. Poza tym miał do literatury żywy stosunek i był w niej świetnie odczytany.

Do końca działalności profesorskiej był jednak na katedrze przede wszystkim historykiem. Tu był nie tylko świetnym i popularnym wykładowcą, ale też i wychowawcą całego pokolenia historyków Rosji. Zaden z historyków Rosji na Zachodzie nie może się z nim mierzyć płodnością działalności pedagogicznej. Mówiło się o nim, iż książki jego piszą za niego jego uczniowie. Z seminarium jego wyszedł cały szereg tegich studiów z nowszej historii Rosji. I nikt z historyków Rosji w Ameryce nie mógłby się pochwalić taką ilością uczniów na katedrach, od Atlantyku do Pacyfiku. Istnieje dziś w Ameryce

coś w rodzaju szkoły historycznej Karpowicza. Jeśli zainteresowania historyków Rosji w Ameryce koncentrują się przede wszystkim na czasach nowszych, i tu przede wszystkim na dziejach prądów umysłowych, to jest w tym w dużej mierze odbicie zainteresowań naukowych Karpowicza.

Był przez swoich uczniów bardzo lubiany i szanowany, i kiedy siedział na emeryturę, uczniowie ci poświęcili mu książkę zbiorową *Russian Thought and Politics* (omówił ją w nrze 123-124 *Kultury* jeden z jej współautorów M.K. Dziewanowski, który też dedykował Karpowiczowi swoją książkę *The Communist Party of Poland*). Ceniono go za wiedzę, za to, że umiał studentów zainteresować swoim przedmiotem i pokierować ich pracą naukową. Ceniono i lubiano za to, jakim był, przede wszystkim za wielką prostotę obyczajów, która jest dana tylko ludziom o dużej kulturze duchowej. Nawiązywano z nim kontakt tym łatwiej, że do końca życia pozostał młody. Żywo reagował na nowe podniety i umiał się cieszyć życiem: książką, koncertem, rozmową. Był zawsze ciekaw ludzi. Lubił podróżować. Już ciężko chory, mimo energicznych sprzeciwów lekarza wybrał się w poźegnalną podróż do Europy.

Miał ambitne plany pisarskie. Razem z G. Vernadskym planował wielką dziesięciotomową historię Rosji: Vernadsky w sześciu tomach miał ją opracować do osiemnastego wieku włącznie, on w czterech dalsze dzieje, wiek XIX i czasy najnowsze. Vernadsky zdołał po dziś dzień urzeczywistnić ten plan w dwóch trzecich, Karpowicz nigdy nie wyszedł poza zbieranie materiałów. Kiedy go poznałem, nad tymi wielkimi planami wyraźnie położył już krzyżyk. W gabinecie, który po nim odziedziczyłem, stały okazałe pudła z notatkami. Stały pokryte kurzem. I, co najwymowniejsze, w rozmowach ani razu o temat ten nie zahaczył.

Dlaczego tak się stało? Wiele się na to złożyło przyczyn. Obok obowiązków naukowych i administracyjnych pochłaniała czas jeszcze praca nad redagowaniem *Nowego Żurnalu* i uczestnictwo w różnych emigracyjnych imprezach rosyjskich. Poza tym miał bardzo żywe i wielostronne zainteresowania kulturalne. Na stole u niego znaleźć można było to biografię Liszta, to *Mimesis* Auerbacha, to nową książkę o malarstwie renesansowym, to *La Chute* Camusa. Świetny wykładowca, był często zapraszany na odczyty i rzadko zaproszenie odrzucał. Jak długo mu zdrowie dopisywało, był też często w rozjazdach. Nade wszystko zaś zadecydowało to, że pisanie nie lubił. Pamiętam jak po wielokrotnych urgensach w ciągu kilku godzin w ostatnim momencie podyktował sekretarce artykuł, który obiecał do jakiejś książki zbiorowej. I w tej podyktowanej postaci artykuł był od razu gotów do druku. Talent urodzonego prelegenta i wprawa doświadczonego wykładowcy pozwalały Karpowiczowi komponować gotowe rozprawy pod dyktando.

Uczniowie jego, orientując się zarówno w tym jego talencie jak i we wstępie do pióra, postanowili własnym przemysłem stworzyć książkę z najbliższego jego sercu i szczególnie popularnego w uniwersytecie kursu o prądach kulturalnych w dziejach nowożytnej Rosji, *Intellectual History of Modern Russia*. Tuż przed jego przejściem na emeryturę cały ten kurs nagrano na taśmę, po czym tekst został z taśmy przepisany. Powstał w ten sposób okazały maszynopis, który dano mu do opracowania. Przygotować go do druku już nie zdążył. Są plany wydania tej książki w opracowaniu kogoś z jego uczniów. Jest więc nadzieja, że pozostanie po nim książka, która by dała miarę jego klasy jako historyka.

Wojna położyła kres poważnym rosyjskim periodykom emigracyjnym w Europie. Przestały wychodzić w Paryżu *Sowremiennyje Zapiski*. Kiedy w 1941 r. postanowiono stworzyć taki periodyk w Ameryce, Karpowicz był predestynowany na jego redaktora. Bliskich związków z emigracją nigdy nie zerwał, a równocześnie trzymał się *au-dessus de la mêlée*, z daleka od emigracyjnych rozgrywek politycznych, cieszył się dużym szacunkiem tak jako uczony, jak i dla swoich zalet charakteru, znany był jako człowiek zrównoważony i o dużym zmyśle odpowiedzialności za słowo drukowane. W redagowaniu *Nowego Żurnalu* włożył dużo serca i pracy. Ogłaszał też w tym kwartalniku regularnie swoje „komentarze”: były to albo uwagi na tematy aktualne, albo też polemiki z poglądami tych współpracowników pisma, które uważał za ryzykowne czy niefortunne. Był zdania, że pismo emigracyjne tego typu co *Nowy Żurnal* musi być eklektyczne. Liberał z krwi i kości dawał się swoim współpracownikom swobodnie wypowiedzieć, jakkolwiek w granicach, których, jak to mogłem stwierdzić, surowo przestrzegał nawet wobec najbardziej cenionych przez siebie piór. Ale uważał też za swój obowiązek dać wyraz w druku czy swoim zastrzeżeniom, czy sprzeciwom.

Kultura mało miała równie gorliwych czytelników jak on. W lekturze pisma znajdowały upust jego sympatie propolskie. Ale czytał je też niejako zawodowo: jako redaktor analogicznego pisma emigracyjnego. W ostatniej dekadzie miesiąca, po nadejściu numeru, zawsze można było spodziewać się jego telefonów: to pytał o jakiś kolokwializm, którego nie rozumiał, to szło mu o informacje na temat autora, który go zaciekał, to po prostu chciał się podzielić wrażeniami. Pochłaniał od razu cały zeszyt i czasem wprawiał mnie w zakłopotanie, kiedy się okazywało, że ja tego czy innego artykułu jeszcze nie zdążyłem przeczytać. Zabawne ale i naprowadzające na melancholijne refleksje były jego uwagi na temat analogii pewnych procesów w emigracji rosyjskiej i polskiej, której dzieje śledził z *Kroniki Londyńczyka*. Szczególnie cenił Mieroszewskiego za jego niezależność myślenia i nieliczenie się z emigracyjnymi

tabu. Nieraz mi mówił, że zazdrości *Kulturze* jej żywości, wyuczucia aktualności, szerokiej rozpiętości problematyki.

Sądzę, że należy mu się w *Kulturze* kilka słów pośmiertnego wspomnienia.

Wiktor WEINTRAUB

Z kroniki odwilży

Istota rzeczy tkwi w pierwszych paru zdaniach szkicu Edwarda Crankshawa „The Great Thaw” („Krushchev's Russia”, Penguin Special, 1959): „Najważniejsze to zrozumieć że odwilż, o której słyszeliśmy tyle kilka lat temu, trwa nadal. To znaczy że atmosfera, nastroje i materialne warunki życia są dzisiaj w Związku Sowieckim uderzająco odmienne od tego co się działo pod rządami Stalina — do tego stopnia, że nie podobna uwierzyć by mógł nastąpić kiedykolwiek nawrót do przeszłości. Życie w każdej dziedzinie zmieniło się na lepsze i zmienia się nadal na lepsze, niezależnie od powrotnych zahamowań to tu to tam, które dały o sobie szczególnie znać w literaturze i dramacie: nie jest ono jedynie lepsze pod względem poziomu; jest różne w gatunku”.

Crankshaw odtwarza dokładnie epizod, który świadczy że nawet „przykręcenie śruby” nie wywołuje już u pisarzy sowieckich „odruchu warunkowego” wyniesionego z epoki stalinowskiej. W październiku 1956 roku Jewtuszenko ogłosił na łamach „Oktiabra” wiersz, którego jedna strofa brzmi mniej więcej tak: „To prawda że były zmiany; ale za przemówieniami /toczy się jakaś mroczna gra./ Mówimy i mówimy o rzeczach przemilczanych wczoraj; / nie wspominamy ani słowem o rzeczach które robiliśmy sami”. Równocześnie „Nowy Mir” zaczął drukować „Nie samym chlebem” Dudincewa. Władze uderzyły na alarm. W grudniu 1956 Mołotow objął nadzór nad „dyscypliną ideologiczną”, a Chruszczow kazał wyrzucić dwustu studentów z Uniwersytetu Moskiewskiego, gdzie najgłośniejsze i najnamiętniejsze windowano powieść Dudincewa na piedestał „literatury wielkich prawd” przeciwstawionej „literaturze wielkiego kłamstwa”. Partia sądziła że udało jej się zapanować nad sytuacją, gdy nieoczekiwanie na początku 1957 roku część pisarzy zorganizowała coś w rodzaju biernej konspiracji znanej pod nazwą Czynu Milczenia.

Na zwołanym w Moskwie zebraniu, które według starych zwyczajów miało przy akompaniamencie „samokrytyki” zatwierdzić „dobrowolnie” usztywnienie linii, wielu wybitnych

pisarzy nie zjawili się w ogóle; spory zaś odłam obecnych zastosował taktykę bądź nie zabierania głosu, bądź „kajania się” w najwyższym stopniu powierzchownego i wymijającego. Był to wypadek bez precedensu, a przecież przez trzy miesiące zaskoczone i osłupiałe Władze nie były w stanie wydusić z siebie żadnej reakcji. Dopiero w kwietniu Jewtuszenko został usunięty z Komsomołu. I rzecz nie do wiary, pozwolono mu wystąpić z kontratakami w „Nowym Mirze”: „Jakie to straszne nigdy niczego się nie nauczyć, / żądać dla siebie prawa sądenia, / oskarżać młodych buntowników o czystych sercach / o nieczyste zamiary. / Nie ma cnoty w gorliwości podejrzeń. / Ślepi sędziowie nie służą ludowi. / O ileż gorzej jest uznać przez omyłkę w pośpiechu / przyjaciela za wroga niż wroga za przyjaciela”.

W maju wmieszał się do sprawy sam Chruszczow. Rzeczą charakterystyczną, wybrał sobie jako głównego sojusznika wśród intelektualistów nie członka partii, lecz bezpartyjnego pisarza Sobolewa, byłego carskiego oficera kawalerii, w którym z dawnych czasów przetrwało widocznie uczucie zgrozy na widok wszelkiej niesubordynacji. Na majowym posiedzeniu Związku Pisarzy w Moskwie Sobolew zrobił przejrzyście aluzję do Czynu Milczenia: „Wszyscy wiemy że w muzyce głucha pauza może wyrazić więcej myśli i uczucia, niż sama melodia. Wasze milczenie jest niebezpieczne!”. 19 maja Chruszczow zaprosił pisarzy moskiewskich na *garden party* do swojej willi pod Moskwą. W swobodnej pogawędce (jeśli można ją nazwać „swobodną”), metodą „łagodnej perswazji”, przypomniał im że istnieje coś takiego jak siła i że jeśli odmówią wyrównania szeregów, zostanie ona użyta. Większa część jego monologu poświęcona była cierpliwemu tłumaczeniu zebranym, że zasada supremacji partii nad sztuką jest nienaruszalna. Ale wystarczyła dygresja na temat Węgier, by „tołkująca” dobrotnie dłoń zacisnęła się w gniewną pięść. Podkreślił że można było uniknąć wielu nieszczeń na Węgrzech, gdyby nie agitacja kliki pisarzy w Budapeszcie, „narzędzi międzynarodowej reakcji”. Rząd węgierski powinien był, jego zdaniem, wystrzelać paru wodzirejów owej kliki i w ten sposób zdusić zło w zarodku. Skończył zapewnieniem że jeśli w Związku Sowieckim powstałaby analogiczna sytuacja, on, Chruszczow, nie zawałałby się przed podjęciem takiej właśnie decyzji. „Moja ręka nie zadrżałaby ani na chwilę”.

Pogrożka Chruszczowa, pominięta później w drukowanym tekście oracji, zrobiła na obecnych wstrząsające wrażenie. Tym większe, że skierowana była głównie i imiennie pod adresem kobiety, znanej poetki Margerity Aliger, która od paru miesięcy znajdowała się pod ostrzałem prasy partyjnej i nie zdradzała skłonności do kapitulacji. „Nie zamierzam ukrywać — powiedział gospodarz *garden party* — że w kwestiach dotyczących partyjności w literaturze stanowisko bezpartyjnego pisarza So-

dzą w ogromnych nakładach i zapełniają jak cegły półki bibliotek wiejskich, chcą i zawsze chcieli podobać się przede wszystkim młodemu czytelnikowi. Jest w tym zapewne trochę kokieterii wieku, a trochę asekuracyjnego mrugnięcia okiem w stronę pomostu ku potomności. Najniespodziewaniej w świecie, młodzi czytelnicy sowieccy przeszli obronną ręką przez szkołę Komsomołu. Latem 1953 roku Olga Bergholtz czytała swoje poezje w Leningradzie przed audytorium złożonym z młodzieży uniwersyteckiej. Kiedy skończyła, rozległy się okrzyki: „Prze-czytajcie nam jakieś wiersze liryczne!“. Gdyż wbrew pozorom ta młodzież — sceptyczna, ironiczna a nawet odrobinę cyniczna według doniesień podróżników zagranicznych — szuka czegoś co prócz religii daje tylko sztuka. Crankshaw notuje że hasło „nie samym chlebem“, które tak podniecało w roku 1956 studentów Uniwersytetu Moskiewskiego, zamieniło się teraz w hasło „nie samymi sputnikami“. Ta zmiana wyraża postęp, ale w obu wypadkach dochodzi do głosu to samo niejasne i niezaspokojone pragnienie. „Zastanawiam się czasem — powiedział młody rozmówca w Moskwie korespondentowi *Observera* — czy zamiast wysłać sputniki, nie powinniśmy szukać czegoś więcej tu na ziemi“. I dodał: „Chcemy człowieka który potrafi rozniecić w nas *wiarę*“.

Młodzież literacka jest, sądząc z relacji przyjezdnych z Rosji, jeszcze bardziej zaskakująca. Rusycysta rzymski Ripellino, który często odwiedza Moskwę, opowiadał mi o młodych pisarzach sowieckich śledzących uważnie wszystko co ukazuje się na Zachodzie i warte jest śledzenia, czytających Prousta, Joyce'a i Kafkę, wdrożonych w najsztudniejszą dyskusję literacką. Inny sławista włoski pokazywał mi tomiki młodych poetów sowieckich przywiezione z Rosji; w wielu z nich dopisane były ręcznie strofy usunięte przez cenzurę, ale nie to jest najważniejsze: autorzy upoważnili go do ogłoszenia pełnych tekstów zagranicą... Minęło zaledwie kilka lat od epoki Wielkiego Strachu: siedem od śmierci Stalina, cztery od Dwudziestego Zjazdu i raportu Chruszczowa.

W takim kontekście należy czytać opowiadanie Abrama Terca „Sąd idzie“. Ze wszystkiego co o nim napisano najtrafniejszy (z wyjątkiem powierzchownej uwagi o Pasternaku) wydaje się sąd „The Guardian“ w artykule wstępnym z 30 grudnia ub.r.: „Utwór Terca jest *implicite* wrogi ustrojowi sowieckiemu, lecz w subtelny i niepodejrzany sposób. Najbardziej uderzającą rzeczą w noweli jest może jej forma literacka; ma ona tyle mniej więcej wspólnego z jałowymi kanonami socrealizmu, co twórczość James Joyce'a z książkami Howarda Springa. Jest złożona, subtelna i inteligentna; i rozkoszuje się w najbardziej niesocjalistyczny sposób swoją własną inteligencją. Od żalonych prostactw ery Żdanowa dzieli ją cały świat wyrafinowania i rozczarowania. Ale byłoby błędem widzieć w Tercu sowiecki odpowiednik *Angry Young*

bolewa jest mi, jako sekretarzowi Centralnego Komitetu KPZR, znacznie bliższe niż stanowisko członka partii, towarzyszy Aliger, która stanęła na fałszywym gruncie i trwa w swej niewłaściwej postawie wobec krytyki i błędu“.

Margerita Aliger zemdląca usłyszawszy te słowa, i musiano ją wynieść z ogrodu. Opowiadano potem w Moskwie, że Szepiłow pocieszał ją iż Chruszczow „zawsze groźniej szceka niż gryzie“.

Mimo to bunt długo jeszcze nie wygasł. Margerita Aliger „pokajała się“ dopiero w październiku i sformułowała swą wypowiedź w ten sposób, że nie wiadomo było czy kpi czy zgina naprawdę kark w szczerzej „samokrytyce“.

W sierpniu, gdy „przyjacielska pogawędka“ Chruszczowa ukazała się po raz pierwszy drukiem w okrojonej formie, Erenburg użył w „Inostrannoj Literaturze“ Stendhala jako parawanu dla swej tyrady przeciw tyranii: „Co się liczy to nie osobowość tyrana, lecz istota tyranii. Tyran może być inteligentny lub głupi, dobry lub zły — ale w każdym wypadku jest równocześnie wszechwładny i bezsilny. Drży na myśl o spiskach; jest otoczony pochlebami; jest oszukiwany. Pęcznieją więzienia; tchórzliwi hipokryci szepczą po kątach; i milczenie staje się tak całkowite, że zamiera niemal bicie serca. Nawet jeśli król jest święty, jego rząd niszczy sztukę — nie dlatego że obejmuje zakazem przedmiot malarstwa, ale dlatego że miazdzy dusze artystów. Nawet gdyby ministrowie byli najszlachetniejszymi ludźmi pod słońcem, pochlebstwo i służalczość będą nadal rosnać i kwitnąć. Wina tkwi w społeczeństwie, które żąda obłudy, karą ściga prawdę i dławi uczucia w imię paru konwencji“.

Jeśli tak w cztery miesiące po majowym kazaniu Chruszczowa pisał Erenburg, to można być pewnym że jego zaszyfrowany szkic o Stendhalu nie wymagał zbytniej odwagi. Autor „Odwilży“ należy do ludzi, którzy mają zwyczaj pędzić na pomoc tylko dostatecznie silnym.

Przytoczony epizod ukazuje mechanizm odwilży: ma ona w sobie coś z walki podjazdowej, składa się z nagłych ataków i powolnych, kluczających odwrótów. Nowa i cenna jest tu ustawiczna *płynność* sytuacji: siedmiomilowy krok naprzód w porównaniu z zastępną ciszą grobu nad którą czuwał Żdanow, i z „martwymi duszami z ulicy Worowskiego“ o których na Drugim Zjeździe pisarzy sowieckich w roku 1954 mówił Szolochow.



Aby ta walka podjazdowa mogła trwać, musi posiadać rezerwy w postaci posiłków i tyłów. Obraz należy zatem uzupełnić młodzieżą — zarówno czytającą jak literacką.

Pierwsza jest może nawet ważniejsza od drugiej. Pisarze starszego i średniego pokolenia, nawet jeśli ich książki wycho-

Man'a. Brak tu ludowego oburzenia wobec niesprawiedliwości społeczeństwa sowieckiego; nie widać proletariackich wiorów na tym wrażliwym ramieniu. Byłoby równie błędne patrzeć nań jak na drugie wydanie Pasternaka. Gdyż Pasternak, mimo swego „zaawansowanego” stylu, jest w rzeczywistości wspaniałym przeżytkiem pogrzebanej Europy, która dojrzałość osiągnęła przed rokiem 1914: Terc należy całkowicie do szóstego dziesiątka lat naszego wieku”.

Tymczasem jednak Terc i anonimowy autor szkicu „Co to jest realizm socjalistyczny?” wysyłają swoje prace do druku zagranicę, lub chowają je do szuflady. A odwilż *ujawniana w publikacjach sowieckich* jest dziełem pisarza starszego pokolenia i trzyma się form literackich bardziej tradycyjnych, oraz problemów bardziej „ludowych, społecznych i narodowych”.



Opowiadanie Nikołaja Zdanowa „Powrót do domu ojczystego” było ostro atakowane w prasie sowieckiej.

Wysoki urzędnik moskiewski Warygin wraca na wiadomość o śmierci matki do swojej wsi rodzinnej. Znajduje w niej biedę, marazm pełen rezygnacji, skargi na „daleką Moskwę”. Obrósł jednak w dyrektorskim fotelu ministerstwa tłuszczeniem psychicznym, nabawił się tego typowego dla biurokratów zwycięskiej rewolucji stępienia dawnej wrażliwości społecznej, które o wszystkim co się dzieje za rogatkami stolicy każe myśleć z podszytą instynktownym wstrętem i niechętną podstępem sumienia obojętnością. Pochowawszy więc matkę na wiejskim cmentarzyku i zdrzemnąwszy się w jej nędznej chacie, wsiada z ulgą do wagonu sypialnego który powiezie go do Moskwy. Jutro zasiądzie znowu za biurkiem, w wygodnym fotelu, i zapomni o skargach i niedolach swej rodzinnej wsi. A wizyta „syna ludu który tak wysoko zaszedł” nie pozostawi tam skąd niegdyś wyszedł żadnego śladu.

Czytając to opowiadanie, wsłuchując się w motyw „daleko ot Moskwy”, odnosi się wrażenie że odżyły w nim dziewiętnastowieczne rosyjskie obrazki i „oczerki”, pełne goryczy obywatelskiej i ukrytego buntu społecznego. Ale u Zdanowa bohater nie jest już arystokratycznym czy szlacheckim „czynownikiem” przejeżdżającym „trojką” przez zapadłą wieś i zmuszonym w niej nocą do popasu, lecz chłopskim synem wracającym na krótko do własnego domu rodzinnego. Swoją problematyką „Powrót do domu ojczystego” nawiązuje w prostej linii do pierwszej jaskółki odwilży, jaką w roku 1954 był dramat Leonida Zorina „Goście”.

Warto przypomnieć treść sztuki Zorina. Do małego nadwołżańskiego miasta prowincjonalnego przyjeżdża w odwiedziny do swoich starych rodziców czterdziestopięcioletni dygnitarz z Moskwy Kirpiczew, który szybko okazuje się biurokratycznym

i bezdusznym niegodziwcem. Kirpiczew-ojciec, pogrobowiec starej gwardii leninowskiej, wyrzuca go z oburzeniem z domu. W konflikcie między ojcem a synem bierze również udział dwóch młodych chłopców — synów moskiewskiego kacyka z pierwszego małżeństwa. Jeden, wychowany przez ojca typowy moskiewski złoty młodzieniec, staje po stronie Kirpiczewa-juniora i wraca z nim do Moskwy; drugi, wychowany przez dziadków miły i dobry chłopiec, staje po stronie Kirpiczewa-seniora i zostaje z nim nad Wołgą.

Różnica między tymi dwiema wersjami sowieckiej ekskursji gubernialnej jest jednak wyraźna. Zorin pozostawiał w roku 1954 furtkę: był nią sojusz starej gwardii rewolucyjnej z nieskażoną częścią młodego pokolenia ponad głowami wychowanków Stalina. Zdanow dzisiaj nie dba już o żadną furtkę: w zakończeniu jego noweli rzeczy wracają do poprzedniego stanu — Warygin na swój dyrektorski fotel, jego wieś rodzinna do dawnej biedy i gorzkich żalów pod adresem dalekiej Moskwy. Nie wynika to, jak sądzę, wyłącznie z większej tu niż w „Gościach” dozy sceptycyzmu społecznego. Różnica jest przede wszystkim pisarska, i dlatego właśnie lektura „Powrotu do domu ojczystego” wywołuje skojarzenia z dziewiętnastowiecznymi „oczerkami” rosyjskimi. Zorin, w pierzyszej fazie odwilży, zatrzymał się między realizmem a socrealizmem, który od pisarza wymaga zawsze i wszędzie „akcentu pozytywnego”. Zdanow, w obecnym stadium odwilży, ograniczył się do czysto realistycznej notatki, która ma tylko budzić w czytelniku pewne uczucia i nie miesza się do jego wniosków. Ważność tego krótkiego utworu przekracza znacznie jego znikomą wartość literacką.



Sergiej Woronin, redaktor naczelny miesięcznika leningradzkiego „Newa”, urodził się w roku 1913 w Ljubinie pod Jarosławem. Dzieciństwo i młodość spędził w Leningradzie. Pracował w fabryce jako tokarz i równocześnie studiował w leningradzkim Instytucie Górniczym. Przerwawszy studia, przemierzył wzdłuż i wszerz Związek Sowiecki jako członek ekipy geologicznej. Podczas wojny brał udział w budowie dróg pod Stalingradem w okresie obrony miasta. Jest autorem tomu nowel „Spotkania” oraz powieści „Nasza ziemia”.

W wrześniowym numerze „Nęwy” Woronin ogłosił opowiadanie pt. „W rodzinnych stronach”. Inwalida wojenny Iwan Kasimow odwiedza w parę lat po wojnie swoją wieś rodzinną. Przyjeżdża z wizytą do ciotki: matka umarła mu w czasie wojny a żona, przekonana że poległ, znalazła sobie nowego męża i wyjechała gdzieś na Północ. Kasimow dowiaduje się ze zdumieniem, że wkrótce po wojnie wrócił do domu przyjaciel jego młodości, Wasilij Nikitin; ze zdumieniem, gdyż to Nikitin właśnie jako „własowiec” w mundurze niemieckim

eskortował go niegdyś na Kreszczatiku w Kijowie za druty obozu jenieckiego.

Punkt kulminacyjny noweli stanowi rozmowa dwóch dawnych przyjaciół. „Dostałem się do niewoli — opowiada Wasilij. — Zawieźli mnie do Oświęcimia. Bili tam, Iwan, głodem męczyli... A tu jeszcze nasi, którzy przeszli do Niemców. Gazety nam przynosili. A w gazetach nie ma już Rosji. Wszystko pod Niemcem. Wszystko przepadło. A oni powiadają: zdrowy z ciebie chłop, czemu masz darmo ginąć kiedy wszystko przepadło? No i nie wytrzymałem. A ilu tam w komorach gazowych zginęło, gdybyś wiedział...”. Po tej rozmowie Kasimow, „wdrapawszy się na pagórek, obejrzał się za siebie. I zamarł. Wszędzie przed nim, gdziekolwiek sięgał wzrok, rozpościerała się wspaniała w swoim uspokojeniu ziemia, pokryta zielenią, tonącą w słońcu, z błękitną wodą, z zamyślonym lasem, z wijącą się wśród pól nieskończoną drogą. I tą drogą, opuściwszy leżące i zgarbiwszy plecy, jechał wolno na koniu Wasilij. — No już niech tam — myślał Iwan, idąc do domu. — Nie słodkie ma życie. Zadręcza się codziennie. Gdzież gorsza kara... Do ostatniej godziny będzie się męczył, nawet gdyby się przyznał... A co by było z dziećmi. Dowiedzą się jakiego mają ojca... bieda!”. I nie denuncjuje go. W drodze na stację rozmyśla: „Tak, ileż to już lat upłynęło od zakończenia wojny, a trwa ona jeszcze ciągle w życiu. Nie ma zgody między mną i Wasilim. I żal mi go i jest mi obcy...”. Finał noweli brzmi tak: „Droga zagłębiała się wciąż bardziej w las. Ścisnęły ją już teraz wysokie omszone sosny. Stały nieporuszone i cisza zdawała się dzięki nim zastygła na wieki. Drobną sadzonką wydobywała się gęsto z ziemi, nie zostawiając przejścia”.

„Literaturnaja Gazeta” z 27 października wystąpiła przeciw opowiadaniu Woronina w artykule zatytułowanym „W imieniu żołnierzy”. Opisał „ruch własowski” i przyznał, że po odkupieniu zbrodni jego b. członkowie mogą aspirować do odzyskania praw obywatelskich, autor artykułu, niejaki Smirnow, pisze: „Wszystko to nie powinno jednak oznaczać, że z powodu „przedawnienia” przebaczymy zdradę w naszych sercach, że puszczamy w niepamięć złamanie przysięgi, lub zrewidowaliśmy nasz sąd o „ruchu własowskim”. Tylko pogardę, oburzenie i gwałtowny protest może w nas, uczestnikach wojny, wywołać próba mówienia w słodkawym tonie chrześcijańskiego wszechprzebaczenia o dziejach podstępnego manewru wroga, wylewania sentymentalnych łez nad „twardą dolą” własowskiego żołnierza, który ukrył swą zdradę ojczyzny”. Woronin oskarżony jest dalej o sprzyjanie „szczodrej i wszystko godzącej Naturze która obojętnie przyjmuje zarówno Dobro jak Zło”, o hołdowanie „biblijno-tolstojowskim zasadom”, o mimowolne może „wystrzelenie kuli przeciw najświętszym podwalinom partii, narodu i komunizmu”.

Na „obsuźdzeniu” noweli, zwołanym przez organizację

partyjną pisarzy leningradzkich 10 listopada, nie szczędzono jej słów potępienia, ale zbyt gwałtowne wypadki przeciw autorowi nie spotkały się z aprobatą części zebranych. Zainteresowany nie przyznał się do błędu i „odrzucał całkowicie krytykę swego opowiadania”. „Izwestja” z 21 listopada doniosła, że tendencja do „wszechprzebaczenia” przybrała w społeczeństwie niepożądane rozmiary.

Nie od razu czytelnik zagraniczny znajdzie klucz do tego skandalu. Wczytawszy się jednak uważniej w spowiedź Nikitina, wyłowi z niej osobliwe zdanie: „A w gazetach nie ma już Rosji”. W każdej wojnie żołnierze dostają się do niewoli, ale nawet jeśli są obywatelami małych krajów, nie tak łatwo dopuszczają do siebie myśl, że ich ojczyzna przestała istnieć. A coś dopiero, gdy są obywatelami wielkiego mocarstwa! To zdanie nie najlepiej świadczy o trwałości ustroju w dwadzieścia pięć lat po rewolucji. A przecież jest prawdziwe i realistyczne: z takim przekonaniem setki tysięcy żołnierzy sowieckich przechodziły w pierwszych miesiącach wojny rosyjsko-niemieckiej na stronę najeźdźców. Wolno także przypuszczać, że jeśli Kasimow okazał pobłażliwość wobec zbrodni swego przyjaciela a w całej Rosji tendencja do „wszechprzebaczenia” przybrała niepożądane rozmiary, to nie za sprawą przypływu „słodkawo chrześcijańskich” uczuć; znacznie bliższe rzeczywistości byłoby wytłumaczenie i jednego i drugiego *epoką*, w której Nikitin i jemu podobni weszli na drogę zdrady: większość z nich wierzyła, że zdradza tylko Stalina.

„Droga zagłębiała się wciąż bardziej w las. Ścisnęły ją już teraz wysokie omszone sosny. Stały nieporuszone i cisza zdawała się dzięki nim zastygła na wieki. Drobną sadzonką wydobywała się gęsto z ziemi, nie zostawiając przejścia”. Być może odwilż, ostatecznie zjawisko Natury, jest szczególnie bliska tej trochę tołstojowsko-pasternakowskiej „historii naturalnej”, której dalekie echo można dosłyszeć w znaczącym finale noweli Woronina.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Antysemityzm w kraju bez Żydów

W Niemczech nie ma Żydów. Istniejąca garstka ludzi jest ziarnkiem w morzu niemieckiego piachu. Nic więc dziwnego, że wielu ludziom w Niemczech i zagranicą wydawało się, że

stary niemiecki antysemityzm minął bezpowrotnie. Ale w wilię Bożego Narodzenia 1959 roku dowiedzieliśmy się, że w tym kraju bez Żydów wciąż jeszcze istnieje psychoza antyżydowska. Sprofanowana swastyką synagoga w Kolonii stała się znów symbolem i początkiem długiego łańcucha wybrków antysemickich i neonazistowskich. Rząd, prasa, partie polityczne i radio stanęły nagle w obliczu zagadnienia, które jakoby zniknęło w ciągu lat powojennych spośród wielu prądów społeczno-politycznych. Nie tylko rząd w Bonn, ale i każdy porządny Niemiec, który ma czyste sumienie i ręce, stanął przed zagadką. „Jak to, antysemityzm u nas, po tym wszystkim co się tu wydarzyło? — pytano się dość beznadziejnie — ależ to niemożliwe, to chyba albo żart chuligański, albo prowokacja komunistów”. Później zaczęto się tu i ówdzie zastanawiać głębiej nad złowieszczymi symptomami, zwłaszcza kiedy fala malowania swastyk i haseł „Juden raus!” rozplynęła się po całych niemal Niemczech i (o zgrozo!) nie zatrzymała się nawet przed „bastionem wolności” zachodnim Berlinem.

Zachodni mieszcuch, karmiony od lat sieczką brukowej prasy, wie, że na wschodzie mieszkają dzikusy — antysemita. Mogą też jakieś półgłówki szykanować Żydów w Anglii, Francji, czy nawet w Ameryce, ale nikt tego nie bierze poważnie, za to ekscesy antysemickie w Niemczech nie mogą i nie uchodzą płazem w oczach opinii międzynarodowej. Zbyt duża jest hipoteka ludobójstwa, ciążyąca na narodzie, aby w roku 1960 mogło być inaczej. Ale właśnie to nakłada na obserwatora stosunków niemieckich obowiązek zajrzenia w głąb duszy niemieckiej i wyciągnięcia z niej na światło dzienne możliwe wszystkich elementów i motywów, które by pozwoliły dojść do mniej albo więcej trafnej oceny fenomenu obecnej fali neoantysemityzmu.

Garść wspomnień

Niemiecka inwazja na Polskę i Europę w 1939 roku skojarzyła się u mnie na zawsze z pewnym przeżyciem. Wojna przetoczyła się gdzieś daleko i małe miasteczko ani od niej nie ucierpiało ani jej nie widziało. Aż nagle pewnego dnia przyjechali ludzie w zielonych mundurach i oto na dziurawym trotuarze stał duży, zdrowy, rudy człowiek w mundurze. Stał rozkraczony z pistoletem, a na bucie miał kawałki ludzkiego mózgu. Tuż obok leżał trup człowieka — Żyda. „Durny Juśko” czy „Durny Berek” już nie pamiętam jak ześmy go razem z dziećmi żydowskimi przeżywali, był naprawdę niezbyt mądry. Trochę handlował, trochę zebrał, był chudy i oberwany i chyba najczęściej głodny. Przynosił nam do domu bułki i kiedy dostawał od matki garnuszek gorącej kawy wypijał ją mocnymi haustami, mlaskając jak wygłodniały pies. A okruszynki chleba

zbierał zgrabiętymi nieraz od zimna palcami jakoś gospodarnie, uważnie, nie marnując ani jednej.

W kilka lat później w Berlinie, w szary listopadowy czy grudniowy dzień, akurat w ten dzień kiedy Hitler wypowiadał wojnę Ameryce i kiedy na Unter den Linden rudziły szeregi SA, a stolica imperium zachłystywała się coraz to nowymi podbojami, znalazłem się z kolegą w jakimś bogatym mieszkaniu, w eleganckiej dzielnicy Tiergartenu. Mieszkanie, jak się okazało, należało do jakiegoś wyższego oficera Wehrmachtu, a gospodynią była ładna, wysportowana blondynka z brązowymi oczyma, o imieniu Ariadna, może córka a może kochanka oficera. Drugą gospodynią była Kathrina brzydsza ale ciekawsza. Ariadna była Niemką, Kathrina Żydówką. Tańczyliśmy przy angielskiej muzyce (do dobrego tonu wśród burżuazji niemieckiej, zorientowanej opozycyjnie, należało w czasie wojny przede wszystkim snobowanie się na angielski sposób bycia). Piliśmy oficerny koniak.

Kathrina ukrywała się u przyjaciółki ale raz latem nie wytrzymała i postanowiła, że koniecznie musi obejrzeć Kurfuerstendamm.

Nie pamiętam dlaczego ale uparła się, że musi mieć żółtą gwiazdę ze złowieszczym znakiem. Prawdopodobnie był to odruch wrodzonego zmysłu do porządku, odpowiadający jej całkowicie niemieckiej mentalności. Siedząc w kawiarni zaślaniała swe piętno, zresztą bardzo kunsztownie, zabraną z domu wiązką kwiatów. Dookoła jacyś żołnierze urlopowicze opowiadali jędrne kawały frontowe, samotne kobiety sęczyły melancholijnie lurę zwaną kawą, a my we trójkę baliśmy się, my dwoje o Kathrinę, ona o nas, a każde z osobna za siebie. Od tego czasu dziewczyna nie chodziła więcej do kawiarni, dopiero w 1945 roku wyjrzała na świat.

Niemcy, u których mieszkałem, nie mieli papierów „aryjskich”. Pochodzili z bogatej niegdyś rodziny berlińskich bankierów. Pan domu z wykształcenia prawnik, z zawodu ekonomista, pracował jako tragarz w jakiejś firmie. Żona umierała mu na oczach z potwornego lęku przed komorami gazowymi. Tylko matka staruszka nie mogła pojąć nowych czasów i pokazywała sublokatorom cesarski patent wojskowy z pierwszej wojny światowej, że syn jej taki to a taki „Oberleutnant” pułku berlińskiego otrzymuje za dzielną walkę pochwałę od cesarza i „Eisernes Kreuz”. Była dumna z patriotyzmu swego syna i w tej dumie umiała. Zmarła również synowa. On przetrwał wszystko, ale wolności nie wytrzymał. Kiedy miał wyjechać do rodziny w Ameryce otrut się cyankali.

Znowu minęło wiele lat. W pewien ciepły wieczór, latem 1956 roku, kiedy wieści ze wschodu stawały się coraz bardziej niepokojące a zarazem radosne, odprowadzałem moją późniejszą żonę do domu. Po drodze w jednym z wielu cienistych parków berlińskich grupka chuliganów uwzięła się na naszą psinę.

A że prośby i perswazje (niedaleko była ulica i auta) nie dawały skutku, trzeba było użyć kilku ostrzejszych słów.

Nie tutejszy akcent zdradził nasze cudzoziemskie pochodzenie i oto z ust szczeniaka-watażki padły znamienne słowa. Zapamiętałem je dość dobrze i mogę dokładnie odtworzyć: „Die Roste in Auschwitz waren wohl zu breit und ihr seid durchgerutscht”. (Widać że ruszty w Oświęcimiu były dla was zbyt szerokie, żeście przez nie przelecieli). Chuligan liczył, jak się okazało przy wylegitymowaniu przez zawezwaną policję, 17 lat. W chwili zakończenia wojny był więc 6-letnim brzdącem. Ktoś go więc nauczył nienawiści do Żydów, ktoś go w międzyczasie „uświadomił”. Ale kto? Zafrapowała mnie ta historia i chciałem ją rozwiązać, chciałem dojść od nitki do kłębka. Niestety, w 1956 roku, miejscowym władzom policyjnym, organizacjom młodzieżowym w klubie amerykańskim, do którego jak ustaliłem ów szczeniak chodził co wieczór bawiąc się i słuchając pogadanek o demokracji i wolności — wypadek ten wydawał się tak „nietypowy”, że machnęły nań ręką. Zacząłem wtedy poszukiwania à la Sherlock Holmes, a raczej zaczęła je moja Irena, na własną rękę. Ale poza tym, że chodził do szkoły zawodowej i że bałaganił się w bandzie na pół chuli-gańskiej, nie ustaliliśmy niczego. Ani wpływu domu rodzicielskiego, ani pochodzenia społecznego, ani środowiska kolegów. Jedynym, zresztą drugorzędnym, elementem było stwierdzenie nazwiska o brzmieniu czyste słowiańskim, polskim lub czeskim. Było to o tyle ważne, że socjologicznie Niemcy pochodzenia słowiańskiego, szczególnie ze sfer urzędniczych i drobno burżuazyjnych, padali najczęściej ofiarą psychozy rasizmu usiłując wykazać swój „rodowód teutoński”. Ale to było wszystko.

Wycieczka w historię

Niemcy są narodem skrupulatnym i lubującym się we wszelkiego rodzaju dokumentacjach. Nic dziwnego więc, że również sprawy Żydów są w literaturze politycznej Niemiec bardzo obficie uwzględnione i gdyby chcieć sporządzić bibliografię wszystkich pozycji na ten temat, nie starczyłoby całego numeru „Kultury”. Mówię przy tym o książkach lub drobniejszych przyczynkach statystyczno-socjologicznych lub demograficznych pomijając zupełnie dział literatury czysto nazistowskiej, którą trzeba by liczyć na wagony. Nigdy się tą sprawą nie zajmowałem, ale pisząc ten szkic zajrzałem trochę do bibliotek i przeraziłem się ogromem tomów i stron. Nic dziwnego, że rozdział ten nie pretenduje do skrótu analizy historii Żydów w Niemczech, a jest po prostu krótkim wyliczeniem najbardziej znamienitych wydarzeń, dat i faktów.

Żydzi przywędrowali do Niemiec wraz z Rzymianami, najprawdopodobniej w 4 wieku po narodzeniu Chrystusa. Wskazuje

na to dekret cesarza Konstantyna „de decurionibus Agrippinensibus”. Ustawa ta pochodzi z roku 321 i zarządza między innymi, że Żydzi mają prawo do wykonywania funkcji administracyjnych w Kolonii. Wynikałoby z tego, że w tej metropolii nadreńskiej, gdzie z górą półtora tysiąca lat później dwóch młodych Niemców namazało czarną farbą znak swastyki i hasło „Precz z Żydami”, zaczęła się wędrówka Żydów do Niemiec i po Niemczech, ich wpływy i ich gehenna. Z innych miast ówczesnej prowincji rzymskiej najwcześniej pierwszych Żydów ujrzają zdaje się Trewir (Trier), Wormacja (Worms) Moguncja (Mainz) Ratyzbona (Regensburg), a później w drugim tysiącleciu Akwizgran (Aachen), Duerren, Duisburg, Frankfurt, Augsburg, Norymberga, a z czasem i miasta leżące na północny wschód od „limes”, którą była granica trzech rzek Ren, Men i Dunaj. Jak zdołałem niedawno wyczytać we „Frankfurter Allgemeine”, która choć w aryjsko-demokratycznej szacie próbuje ze zmiennym szczęściem kontynuować tradycje słynnej „zażydzonej” starej „Frankfurter Zeitung”, Wormacja ma szczególne miejsce w historii Żydów niemieckich. Tam bowiem zbudowano bodaj że w roku 1034 jedną z pierwszych synagog i tam też znajduje się najstarszy i największy cmentarz żydowski w Europie. Hitlerowcy zniszczyli zresztą tę synagogę w czasie osławionej „Kristallnacht” w 1938 roku.

W Wormacji, w tamtejszej akademii żydowskiej uczył się u sławnych rabinów jeden z największych myślicieli i komentatorów biblij i oraz Talmudu, rabin „Raszi”, którego pełne nazwisko brzmi Rabi Szlomo ben Izaak z Troyes. Nic dziwnego, że Wormacja stała się dla wielu pokoleń żydowskich drugą Jerozolimą i że po dziś dzień przyjeżdżają tam pielgrzymki wierzących. Dzisiaj, jak piszą dzienniki niemieckie, w Wormacji nie ma ani jednego Żyda.

Liczbę Żydów zamieszkujących miasta niemieckie we wczesnym średniowieczu trudno ustalić. Historycy kłócą się na ten temat po dziś dzień. Wiadomo tylko, że pierwsze masowe pogromy i straszliwe zbrodnie przyszły wraz z wyprawami krzyżowymi. Tępiono Żydów wówczas bez miłosierdzia. Następna fala prześladowań wezbrała na nowo, kiedy w latach 1348-1349 w Niemczech wybuchła epidemia czarnej ospy i jako winnych tego nieszczęścia zaczęto mordować Żydów. Wtedy też nastąpił wielki exodus Żydów niemieckich na wschód. Kiedy zaś przyszła wojna religijna i stronnicy Luthra chcieli pozyskać Żydów, z nikłymi zresztą skutkami, również i kościół protestancki stał się ich wrogiem. Wiek XV i XVI to epoka masowego wyganiania Żydów ze wszystkich prawie miast niemieckich. Kiedy się czyta stare kroniki o niesłychanych karach za związki małżeńskie, a nawet przelotne miłości chrześcijan z Żydami lub Żydówkami, że się Żydów znaczy żółtymi łatami, to widać, że Hitler i Himmler mieli z czego czerpać pełnymi rękami.

Akcja prześladowcza w średniowieczu doprowadziła do zupełnego niemal wyniszczenia wszystkich gmin żydowskich.

Powrót Żydów na zgłiszczą kwitnącego dawniej życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego następuje przez Hamburg z bogatych gmin w Amsterdamie i Roterdamie na początku XVII stulecia. Rewolucja społeczna na Ukrainie za hetmana Bohdana Chmielnickiego, której szlaki znaczone były również krwią żydowską — mniej z powodów religijnych, jak w okresie wypraw krzyżowych, a raczej z racji stosunków społecznych — przyczyniła się do nowej wędrówki Żydów na Zachód. Królowie Prusy wieku XVIII a za nimi władcy westfalscy na początku wieku XIX zrównują Żydów z prawami nie Żydów. Szczególnie edykt w Prusiech z roku 1812 stanowi wielki krok naprzód w duchu liberalizmu, gdyż daje im prawa wybierania i wybieralności. Nie odbywa się to bez zgrzytów ale w porównaniu z innymi państwami niemieckimi jak np. Bawaria, Prusy wydają się niesłychanie postępowe. Prawda, że w roku 1849 następuje zwrot w kierunku obostrzenia ustawodawstwa w duchu antyżydowskim, ale w latach sześćdziesiątych ub. stulecia ograniczenia ta niemal że zupełnie znikają. Lata poprzedzające pierwszą wojnę światową, okres samej wojny i czasy powojenne, to epoka wielkiego napływu Żydów wschodnio-europejskich do Niemiec i nawiasem mówiąc początek ostrego konfliktu między Żydami „zachodnimi” a „wschodnimi”, który trwa po dziś dzień, mimo zgrozy czasów hitlerowskich.

Na krótko przed dojściem Hitlera do władzy, statystyki niemieckie rejestrowały 650 tysięcy Żydów w Niemczech. Wówczas to propaganda Goebbelsa i Streichera ukuła termin o rzekomych rządach Żydów, o bogaceniu się ich kosztem spauperyzowanego narodu niemieckiego, o zażydzeniu kultury niemieckiej i o dominowaniu w wolnych zawodach. Było to kłamstwo, ale kłamstwo padło na grunt bardzo żyzny, przygotowany nie tylko przez Hitlera i jego ideowych zwolenników. Tragedia Żydów niemieckich ma genezę wcześniejszą aniżeli data powstania NSDAP. Przypada ona właśnie na okres tych czasów, które zwykło się oglądać przez okulary rzekomej „prosperity” Żydów niemieckich.

Prawdziwe źródła antysemityzmu

Szukając dróg antysemityzmu niemieckiego, trzeba się zaopuścić na dziwaczne ścieżki fenomenu społeczno-socjologicznego który się określa w języku niemieckim przymiotnikiem „voelkisch” i który jest niezwykle trudny do oddania po polsku. Bo ani przymiotnik „ludowy”, ani też synonim „narodowy” ni też określenie „narodowo-radykalny” nie odpowiada w zupełności, i nie wyczerpuje tego dziwnego słowa, które w Niemczech stało się początkiem zła, po dziś dzień grasującego

w umysłach i sercach wielu Niemców. Umówmy się jednak, że prąd ten zwany po niemiecku „voelkisch” będziemy nazywali „ruchem narodowym”. Korzenie tego kierunku sięgają do okresu kształtowania się ogólnie narodowej świadomości niemieckiej, do romantyzmu w literaturze niemieckiej, do wojen wyzwoleńczych i jak słusznie zauważa „enfant terrible” katolickiego „Rheinischer Merkur” Paul Wenger, że szukając ojców duchowych współczesnych antysemitów sięgać trzeba do epoki „wielkich Niemców” w rodzaju Arndta, szanowanego „ojca gimnastyki” Jahna a w ślad za tym do ideologów tzw. „Alldeutschtum” z okresu Niemiec kaiserowskich. Bo właśnie z tej mieszaniny poetyckich porywów z nietzscheańskiego „nadczłowieka”, z szukania niemieckiego „Geistu” wypelzło to, co doprowadziło do zagłady Żydów.

Ludzka pamięć sięga zwykle tak daleko jak żyjące w danym okresie generacje mogą sięgnąć wstecz do swych przeżyć i wspomnień. Tak też jest z antysemityzmem, przy czym ogrom zbrodni hitlerowskich przesłania widoczność. W istocie ruch antyżydowski ma swe podłoże w końcu XIX stulecia i jest związany zarówno z powstającym po zwycięstwie nad Francją nacjonalizmem i szowinizmem niemieckim, jak też z postępującą szybko industrializacją i prosperity. Zaczątkiem ruchu antysemitckiego jest pruski Berlin, w którym po roku 1871 formują się nowe prądy polityczne. Tu powstaje pierwsza *Antisemiten Liga* i tu w roku 1879 zostaje ukuty przez Wilhelma Marra, nawiasem mówiąc człowieka pochodzącego ze środowiska żydowskiego, po raz pierwszy termin: antysemityzm. Jednym z najbardziej żarliwych i wojujących antysemitów był „Hof und Domprediger”, czyli „kaznodzieja przy dworze i katedrze”, duchowny ewangelicki Adolf Stoecker. Jakoś niedawno wpadła mi do rąk książka długoletniego redaktora petersburskiej gazety „Birżewyja Wjedomosti”, Proppera, który w dwudziestych latach pisząc swe wspomnienia przytoczył kapitalną rozmowę ze Stoeckerem. Propper jechał w 1881 roku z Petersburga do Berlina i gdzieś koło Królewca do trzeciej klasy wsiadł mężczyzna, Niemiec, lat około 40 lub 45, z wyglądu duchowny. Obecni w przedziale wysłuchali takiego oto monologu: „Tutaj czuje się nareszcie Niemcy bez krzywonosych. Przyszedłem tutaj z pierwszej klasy i byłem również w klasie drugiej. Kogo tam widziałem? — Żydów i jeszcze raz Żydów. Byliście w teatrach berlińskich? Gdzie siedzi „der deutsche Mann”? — Na galerii. O łóżach i parterze nie ma co myśleć. Znajdują się one w dożywotniej dzierżawie dzieci Izraela. W czyich rękach znajdują się najlepsze mieszkania? — Kogo się widzi na ulicach, w bogatych powozach i kolasach? — Orient, Orient i jeszcze raz Orient. A gdzie spotkamy „den deutschen Mann”? — w piwiarniach przy szklance ciekusza. Oto wszystko co nam nowi władcy Niemiec pozostawiają. Tak daleko być jednak nie może. Żydzi mają swoją *Alliance Israellite Universelle*. Rów-

niez my musimy skonsolidować się w jedynym związku i rozbić zuchwałego przybysza w puch. Ja jadę do Neu-Ruppin. Tam są jeszcze mężczyźni, „echte Maenner”. Stamtąd — proszę pamiętać o moich słowach — rozejdzie się głos na cały świat”. Wsiadając w Frankfurcie nad Menem nieznajomy mówca wręczył Propperowi wizytówkę. Nazwisko brzmiało: „Dr Adolf Stoecker, Hof und Dom Prediger Berlin”. Założył on później partię chrześcijańsko-społeczną, która jeśli chodzi o program antysemityzmu była pierwowzorem późniejszej NSDAP Adolfa Hitlera.

Nie należy zapominać, że propagandzie hasel antyżydowskich i wywołania psychozy antysemickiej walne usługi oddali wybitni naukowcy niemieccy, że wspomnę tu tylko o jednym z ojców historiografii niemieckiej Treitschke, filozofie Edwarde von Hartmann i wielu innych. Lata 1882-1890 to okres w którym na terenie Prus i poza Prusami odbyło się wiele kongresów antysemickich.

Były to czasy, w których Żydzi niemieccy odgrywali poważną rolę w życiu gospodarczym, naukowym, artystycznym a nawet i w polityce. Dali oni kilku generałów np. Loewenfeld czy Leipziger, ministrów jak Friedberg, Falk lub Gossler i, nie zapominając o Karolu Marxie i Fryderyku Lassalle, należy wspomnieć, że jeden z twórców niemieckiej partii konserwatywnej Stahl był pochodzenia żydowskiego, a do czołowych przywódców liberałów niemieckich należeli tacy politycy-Żydzi jak Lasker, czy Bamberger. Już na długo przed wojną światową szowinistyczna prawica niemiecka rozmaitych odcieni „ruchu narodowego” ukuła zresztą w walce przeciwko liberalizmowi termin „Judenliberalismus” którego używano jak straszaka podobnie jak gdzie indziej i o kilka dziesięcioleci później pojęcia „zydokomuna”.

Udział wybitnych jednostek pochodzenia żydowskiego w życiu społecznym Niemiec przedwojennych był dla gospodarki i kultury niemieckiej niezwykle owocny. Ale miało to również swoje następstwa. Przedsiębiorca i kupiec niemiecki, którego irytowała inicjatywa twórców pierwszych wielkich domów towarowych w Berlinie, zacietrzewiony i zaściankowy dziennikarz, który nie sięgał do wyżyn dziennikarstwa tworzonego codziennie w wielkich gazetach liberalnych jak „Frankfurter Zeitung” czy „Vossische Zeitung”, a za nimi motłoch niemiecki zaczęli bić na alarm, że Żydzi zalewają Niemcy, że się rządzą w tym kraju, że nie pozwalają się rozwinąć „duszy niemieckiej”.

Republika Weimarska bywa często traktowana jako ziemia obiecana narodu żydowskiego, ale czy nie jest to przypadkowo wielka przesada? Wydaje mi się, że nawet Żydzi, szczególnie z kół intelektualnych skłonni są pod wpływem bardzo swoistych przeżyć, kontaktów i ich sytuacji społecznej przeceniać szanse, które żydostwo miało wówczas w pierwszych Niemczech demokratycznych. Niewątpliwie, że w Republice Weimarskiej istniała

pewna warstwa Żydów zresztą niezbyt liczna, która należała do elity duchowej Niemiec. Wystarczy wspomnieć takie nazwiska jak Max Reinhardt i Leopold Jessner w życiu teatralnym, Theodor Wolff i Georg Bernhard w dziennikarstwie, Wertheim, Tietz, Zuntz, Feliks Deutsch w ekonomice, Albert Einstein August von Wassermann, Otto Warburg, Fritz Haber w nauce, Bruno Walter, Leo Blech, Otto Klemperer w muzyce, Max Libermann w malarstwie, Rathenau w polityce, aby ocenić w pełni wkład Żydów niemieckich do rozwoju nowoczesnych Niemiec.

Ale jak wygląda druga strona bilansu tej niby wspaniałej epoki? — Nędza powojenna, kyzys i inflacja zrujnowały egzystencję wielotysięcznej rzeszy burżuazji i proletariatu żydowskiego. Przegrana wojna, trudności gospodarcze wzmogły nie tylko czysto narodowe i szowinistyczne czynniki przy stosowaniu selekcji, udzielaniu protekcji i rozdawaniu urzędów i dyplomów. Zasadzone w okresie przed pierwszą wojną światową ziarna antysemityzmu zaczęły kiełkować na dobre. Właśnie już w Republice Weimarskiej, oczywiście nie w oficjalnej polityce rządów ale w codziennym życiu społecznym. Nawet partie polityczne centrowe i liberalne nie paliły się do otwierania drzwi kiedy chodziło o ludzi pochodzenia żydowskiego. A rozmaite grupy prawicowe, które wywodziły się z dawnego „ruchu narodowego” i konkurowały początkowo owocnie ze słabą wówczas jeszcze NSDAP Hitlera, Goebbelsa i Goeringa, wypisywały jawnie na swoich sztandarach hasła antysemickie.

Nic dziwnego więc, że w roku 1932, a więc na rok przed dojściem do władzy Hitlera, pośród wielkich bogaczy w Niemczech nie było ani jednego Żyda z majątkiem przewyższającym 50 milionów marek. Bank Rotszylda musiał się złączyć z bankiem Goldschmidta w Frankfurcie, przy czym fużja ta nie miała 50 milionów podczas gdy domy bankowe niemieckie rozporządzały wielokrotnie wyższymi sumami. Hamburski dom bankowy Warburga posiadał wówczas niewiele więcej niż 20 milionów kapitału. Mit krzewiony wśród kołtunerii niemieckiej w owym czasie o rzekomej władzy kapitału żydowskiego był po prostu kłamstwem. To samo zresztą można powiedzieć o procentowym udziale Żydów w życiu artystycznym. Były wprawdzie wybitne jednostki, dzięki którym teatr niemiecki zasłynął na cały świat, ale na 543 reżyserów w teatrach pruskich było zaledwie 63 Żydów.

A weźmy wreszcie ogólną liczbę Żydów w Niemczech przedhitlerowskich. 650 tysięcy Żydów pośród 60 milionowego narodu było, abstrahując od samego podnoszenia tej kwestii, niewspółmiernie z ogromem kłamstw propagandy rasistowskiej.

Mimo tego wszystkiego, społeczeństwo niemieckie dało się jeśli nie w olbrzymiej większości, to prawdopodobnie w bardzo szerokim zakresie zasugerować hasłom antysemickim. Z jaką gorliwością do tego dzieła przystąpili nie tylko ludzie z gestapo

i SS ale ze wszystkich niemal dziedzin życia społecznego ówczesnych Niemiec, wykazują dobitnie dokumenty zebrane skrupulatnie w trzech grubych tomiskach przez Leona Poljakowa i Józefa Wulfa. (*Das Dritte Reich und die Juden, Das Dritte Reich und seine Diener, Das Dritte Reich und seine Denker*. Arani Verlag, Berlin 1955-1959). W książkach tych zebrana jest moc wstrząsających dokumentów upadku człowieczeństwa, cynizmu, amoralności i bestialstwa, działającego z precyzją światła skonstruowanej maszyny. Kiedy się wertuje w tych księgach zbrodni i śmierci, narzuca się mimo woli pytanie, czy w narodzie, który przeszedł przez tego rodzaju doświadczenia pierwiastki antysemityzmu mogły nagle zniknąć po katastrofie Niemiec hitlerowskich? W sprawie tej, dla Niemców-demokratów niewątpliwie bardzo bolesnej, trzeba być jednak realistą i trudno wymagać aby następna generacja była czysta od tych wpływów i naleciałości. Mówiąc krótko i wężlowato w Niemczech będzie musiało wymrzeć co najmniej jedno pokolenie aby, oczywiście przy pomyślnych warunkach polityczno-społecznych, widmo antysemityzmu przestało być zjawiskiem powtarzalnym.

Dlatego jest i będzie potrzebna jasna i niedwuznaczna postawa ludzi sprawujących władzę, aktywność partii politycznych a przede wszystkim opinii publicznej i wpływy domu rodzicielskiego i szkoły.

Obecna sytuacja

Żydzi są dziś w Niemczech właściwie nieobecni. Nieliczna grupka tych, którzy przeżyli, to ludzie zgrzybiali, najczęściej chorzy, wielokrotnie złamani psychicznie. Jest jeszcze kilka tysięcy młodych, przedsiębiorczych Żydów, którzy w pierwszych latach powojennych uciekli z Polski, Ukrainy, Białorusi i Rosji, rzadziej „prysnęli” z Armii Czerwonej lub z dyplomatycznych i handlowych przedstawicielstw państw komunistycznych, bardzo nieliczni wreszcie reemigranci z Ameryki a nawet z Izraela. Niektórzy spośród uchodźców z Polski urządzili się znakomicie i swoją przedsiębiorczością przyczynili się niewątpliwie w jakimś stopniu do dźwignięcia gospodarki niemieckiej z ruin, a nawet maczali palce w tzw. niemieckim „cudzie gospodarczym”. Pomiędzy starymi Żydami niemieckimi a kilkunastutysięczną społecznością nowych „Ostjuden” nie ma żadnych więzów duchowych. Nawet religijnie nie łączy ich żadna spójnia, gdyż element, który napłynął z Europy Wschodniej to ludzie, którzy z judaizmem mają mało wspólnego, a jeszcze mniej oczywiście z kulturą i mentalnością Żydów niemieckich. Są to ludzie, którzy byli w lesie, w partyzantce lub w szeregach Armii Czerwonej czy w Wojsku Polskim pod dowództwem Świerczewskiego i Popławskiego, albo wyszli z obozów koncentracyjnych. Są więc odporni, w miarę obrotu,

twardzi i konsekwentni. Ponieważ osiedlili się w kilku skupiskach, jak Berlin, Monachium i Frankfurt nad Menem ponieważ nie zapomnieli tego co było i stoją mocno przy swoich prawach, a z drugiej strony językowo i umysłowo są jak najoczywiściej cudzoziemcami, stanowią w pewnym ograniczonym do ich otoczenia i kontaktów stopniu pożywkę dla antysemityzmu.

W wielu miejscowościach, gdzie w ostatnich tygodniach malowano swastyki i wypisywano hasło „precz z Żydami”, młodzi Niemcy, którzy dopuścili się tych ekscesów na oczy nie widzieli Żyda. Gdzież tkwią wobec tego przesłanki wybrków antysemickich? — Przecież rząd Adenauera znajduje się w jak najlepszych stosunkach z Izraelem, kupuje nawet broń od Ben Guriona, przecież w ciągu 15 lat od zakończenia wojny podkreślał niejednokrotnie swoje filosemickie stanowisko, przecież w Berlinie, Hamburgu, Frankfurcie, Kolonii, Monachium, w Stuttgarcie, a nawet w pomniejszych miastach odbywają się co rokuszumne dni bratania się z Żydami. Niemcy adenauerskie zadały sobie wiele trudu aby zdjąć z narodu niemieckiego piętno antysemitów. Cieszono się zresztą powszechnie kiedy wieści o wybrkach antysemickich w Polsce lub innych krajach Europy Wschodniej, szykany władz komunistycznych w państwach demokracji ludowej stosowane wobec Żydów zbiegały się w czasie z wielkimi gestami filosemickimi ze strony czynników oficjalnych w Bonn. Ale właśnie ten filosemityzm który był naprawdę nieudawany, bo ludzie którzy organizowali i dalej organizują kongresy, zjazdy i posiedzenia prożydowskie, czynili i czynią to niewątpliwie z pobudek nie tylko taktycznych ale i z motywów czysto ludzkich i szlachetnych, cała ta fala stosowanego z góry filosemityzmu doprowadziła w konsekwencji do bardzo specyficznej sytuacji. Demokratyczna elita dzisiejszych Niemiec przestała się troszczyć o to, co się dzieje w dołach społeczeństwa, gdzie tymczasem zaczął kielkować neoantysemityzm.

Patrząc z punktu widzenia umysłowości przeciętnego Niemca obarczonego posępną spuścizną przesądów i przekonani antyżydowskich, w manifestowaniu filosemityzmu politycy zachodnio niemieccy niewątpliwie przeholowali. Upajając się widomymi sukcesami w dziele zbliżenia z Izraelem i w ogóle zadośćuczynienia w sensie duchowym i materialnym — jeśli w ogóle można mówić o jakimkolwiek zadośćuczynieniu — krzywd wyrządzonych narodowi żydowskiemu, zapomnieli zupełnie o przeciętnym zjadaczu chleba, który nie czytając dostojnych mów, wysublimowanych esejów literackich, grzązał dalej w swoim światku starych uprzedzeń i nawyków. Błędy te dały się odczuć przede wszystkim w szkolnictwie, gdzie w wielu wypadkach wydawnictwa i autorzy podręczników najnowszej historii Niemiec, zaczęli od trzech lat wypieniać z rozdziałów

traktujących historię hitlerizmu wszelkie dla ucha dziecka niemieckiego nieprzyjemne fakty, a zwłaszcza komentarze.

Inną sprawą stały się odszkodowania płacone zresztą dość sumiennie ofiarom żydowskim terroru hitlerowskiego. Kołtun niemiecki któremu prasa, partie, kościół, szkoła, związki zawodowe nie wbiły w łeb, o co chodzi, uwierzył plotce, że Żydzi otrzymują grube miliony i to zupełnie bezprawnie, bo i tak już dorobili się grubych dolarów w Ameryce przebywając na emigracji. Symbolem tej plotki stał się „żart” kursujący w Berlinie, że „Wiedergutmachung” co po niemiecku znaczy „odszkodowanie” jest w gruncie rzeczy niczym innym jak tylko „Wiederjudmachung”, co oznacza mniej więcej „ponowne zażydzenie”.

Ale i to jeszcze nie wyjaśnia w pełni fenomenu współczesnej fali antysemityzmu, choć jest niewątpliwie głównym podłożem tej akcji.

Dochodzą do tego elementy uboczne. Jednym z nich jest jałowość życia panującego w organizacjach młodzieżowych. Trzeba zważyć, że sprawcami nieomal, że wszystkich ekscesów antyżydowskich byli przedstawiciele młodej generacji w wieku od lat 16 do 20-paru. Z informacji zasięgniętych od ludzi, którzy znali tych młodzieńców wynika, że wpadli oni na trop antysemityzmu ulegając urokowi literatury nazistowskiej, książek pochodzących spod pióra wspomnianych kół „narodowych” sprzed pierwszej wojny światowej i z pierwszych dziesięcioleci naszego wieku. Było tam wszystko: i mit o duszy i charakterze niemieckim „dzieła” Rosenberga, pisanina Matyldy Ludendorff i inne szmiry narodowe. Chłopcy ci nie mieścili się jednak w istniejących organizacjach młodzieżowych i przytaczają często argument, że są one zbyt ugodowe lub że po prostu tracą myśkę. Abstrahując od konkluzji którą wyciągnęli ze swych opinii, należy stwierdzić bezstronnie, że kryje się w tym niestety poważna doza prawdy. Zorganizowana politycznie młodzież niemiecka to bardzo często młodzi ludzie ze starczymi sercami i umysłami. Dwa przykłady: młodzież w CDU powzięła na swoim ostatnim zjeździe uchwały, które są bardziej konserwatywne i nieprzejednane w sensie zarówno polityki zagranicznej jak i społecznej niż to czyni kierownictwo partii z Adenauerem na czele. A młodzież socjaldemokratyczna? — Większość z niej jest bardziej dogmatyczna w sprawach marksistowskich niż kierownictwo partii SPD. Jest to zagadnienie niesłychanie poważne i trzeba nader pilnie obserwować co z tych konfliktów wśród młodej generacji pewnego dnia się wykluje.

Inna strona zagadnienia to pochodne sytuacji międzynarodowej. Jest tu cały szereg najrozmaitszych spraw. Wymienię tylko najważniejsze. Oficjalna polityka rządu bońskiego była i jest bardziej proizraelska niż proarabska. Nie można tego powiedzieć ani o opinii publicznej a już zupełnie nie o olbrzymiej większości prasy codziennej i periodycznej. Większość redakcji

niemieckich publikując od czasu do czasu laurki z pochwałami dla Izraela stoi jak najwyraźniej po stronie Arabów. Odcienie tego kierunku są bardzo rozmaite od jak najwyraźniejszych sympatii dla Nassera i jego dyktatury aż po zaangażowanie się po stronie wojny wyzwolenczej Algierii. Tego rodzaju rozdzźwięk między polityką oficjalną a opinią prasową musi mieć jakiś wpływ zarówno w wydźwięku antyzachodnim jak też w sensie negatywnego stosunku do polityki Izraela.

Dopóki trwała zimna wojna między wschodem a zachodem morze nienawiści kierowało się przeciwko Rosji Sowieckiej. W ten sposób można było jakoś umiejscowić i skanalizować wszelkie prądy polityczno-społeczne prawicy niemieckiej. Od kiedy jednak polityka wyzwolenia została w Waszyngtonie wprowadzie po cichu ale jak najwidoczniej pogrzebana, a jej miejsce zajęło hasło o koegzystencji, wszelkie rzeczki i potoki nacjonalistyczne w Niemczech zaczęły sobie łączyć nowe koryta z dala od głównego nurtu polityki Adenauera. Najbardziej zapalne i skłonne są oczywiście młodzieżowe środowiska nacjonalistyczne, które wyciągają na swój sposób wnioski ze „zdrady Zachodu” wobec Niemiec i ich postulatów odzyskania kraju na wschód od Łaby i na wschód od Odry-Nysy. Do pewnego stopnia odegrały w tym niewątpliwie jakąś rolę rewizjonistycznie usposobione i żerujące na nacjonalizmie najrozmaitsze ziomkostwa wysiedleńców niemieckich zza Odry i z Sudetów.

W końcu pozostaje do wyjaśnienia kardynalna sprawa demokracji niemieckiej, a mianowicie stosunek czynników oficjalnych, opinii publicznej, partii politycznych i społeczeństwa w ogóle do nazizmu i miejsca które zajmują w układzie sił politycznych byli hitlerowcy. Że w tej dziedzinie rzeczy układają się nie najlepiej, że rząd w Bonn okazał z tych czy innych pobudek wiele, niewątpliwie zbyt wiele pobłażliwości w stosunku do ciemnych sił najnowszej historii Niemiec, nie ulega wątpliwości. Ale jaki jest rzeczywisty wpływ b. nazistów na politykę niemiecką, jaki jest ich udział w rządzeniu krajem, ile ma racji propaganda komunistyczna?

A przede wszystkim czy istniejące jawnie lub w ukryciu grupy b. nazistów sprowokowały świadomie ekscesy antyżydowskie aby przy pomocy antysemityzmu stworzyć nową martyrologię „patriotów” i znaleźć twardszy grunt pod nogami dezawuuując z jednej strony rząd Adenauera i odwołując się z drugiej strony do najciemniejszych instynktów narodu niemieckiego? Choć odpowiedź na te pytania jest do pewnej miary ściśle związana z tematem antysemityzmu to jednak zahacza ona o całą serię innych problemów socjologicznych, wewnętrzno-politycznych, jak i zagranicznych i wymaga dlatego odrębnego ujęcia.

Jeszcze o Oberlaenderze

Dużo jest przyczyn dla których postanowiłem jeszcze raz powrócić do tej sprawy. Przede wszystkim poczuwam się do obowiązku zapoznania czytelników „Kultury” z niektórymi, najistotniejszymi bodaj, odgłosami na mój artykuł, poza tym pragnę dorzucić pewne informacje, uzyskane w międzyczasie.

Radio Warszawa podało 19 stycznia anonimowy komentarz „Obserwatora” następującej treści:

Ukazująca się w Paryżu w języku polskim „Kultura” nieraz występowała na szkodę interesów polskich w najszerszym tego słowa znaczeniu. Tak stało się i obecnie. „Kultura”, mianowicie, zamieściła artykuł pt. „Sprawa dr. Oberlaendera” napisany przez Borysa Lewickiego nacjonalistycznego działacza ukraińskiego, bliskiego współpracownika Bandery. Lewicki, jak można się od razu domysleć, bierze w obronę obecnego ministra zachodnio-niemieckiego Oberlaendera, byłego aktywnego hitlerowca, odpowiedzialnego za wymordowanie intelektualistów polskich we Lwowie. Jest to jednak obrona szczególnego rodzaju. Autor artykułu usiłuje za wszelką cenę wybielić osławionego batalion ukraiński Nachtigall, którego dowódcą był Oberlaender. Lewicki w sposób długi i zawiły stara się udowodnić, że batalion ten nie miał nic wspólnego z wypadkami po wkroczeniu Niemców do Lwowa oraz że składał się z idealistów o najlepszych intencjach. Nie trudno jest pojąć myśl przewodnią takiego rozumowania. Skoro udałoby się zrehabilitować batalion Nachtigall, to automatycznie zostałby oczyszczony jego szef także, Oberlaender. Zresztą, sam autor artykułu zarzuca Oberlaenderowi nieprzekonywującą obronę, zaś w innym miejscu stwierdza, że trudno zrekonstruować fakty z tego okresu z braku dokumentów. Wydaje się nie być przypadkiem, że tak skonstruowana obrona Oberlaendera wyszła z kół nacjonalistów ukraińskich, których bazą właśnie są Niemcy Zachodnie. W związku z całą tą sprawą banderowcy tam skupieni poczuli się w niebezpieczeństwie. Ich główny przywódca, Stefan Bandera, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Oczywiście również Oberlaender obawia się świadectwa naocznych świadków jego działalności. Ponieważ nacjonałści ukraińscy pozostają w sytuacji zależnej — oni więc pierwsi występują z obroną własną oraz ministra bońskiego, wysuwając równocześnie rady jak ma się bronić sam oskarżony. Artykuł jest równocześnie niedwuznacznym zapewnieniem, że nacjonałści ukraińscy nie będą szkodziли swym zachodnio-niemieckim mocodawcom. Natomiast opublikowanie takiego artykułu w ukazującej się w języku polskim w Paryżu „Kulturze”, nawet w formie wolnej tribuny, włącza ją do tych kół, które za wszelką cenę pragną zrehabilitować Oberlaendera oraz jego działalność w czasie okupacji.

Można by zapytać, gdzie była elementarna uczciwość autora tego komentarza, skoro nazwał mnie banderowcem a mój

artykuł obroną doktora Oberlaendera? Pewne koła wschodnio-europejskie sądzą, że za pomocą misternie skonstruowanych legend można osiągnąć pewne cele polityczne. A tymczasem kłamliwe zarzuty wzmacniają jedynie pozycję oskarżonego czy winnego, a przesłaniają winy prawdziwe.

Komentator radia Warszawa i inni publicyści nie szkodzą więc osobom w rodzaju Oberlaendera, lecz szkodzą tym postępowym siłom na Zachodzie, które pragną, by hitleryzm nigdy więcej nie odrodził się. Ale może właśnie te demokratyczne siły w zachodniej Europie spędzają sen z powiek tych panów?

Profesorów polskich we Lwowie zamordowali hitlerowcy. Wykonać rozkaz Fuehrera mógł każdy hitlerowiec łącznie z Oberlaenderem. Jeżeli podałem fakty to tylko gwoli prawdzie. Hitleryzm historia skazała raz na zawsze. Nie służy jednak sprawiedliwości ten Polak z Warszawy, który zbrodnię Stalina i Berii pragnie przerzucić na Hitlera.

Z przykrością muszę stwierdzić, że ukraińska prasa emigracyjna zachowuje nadal milczenie w sprawie mordu profesorów we Lwowie. Jedynie „Suczasa Ukraina” zamieściła niedawno artykuł p. Stachiwa w którym zarzucono mi, że niepotrzebnie wymieniłem nazwisko Romana Szuchewicza, ukraińskiego komendanta Nachtigallu dając w ten sposób nowy argument dla antyukraińskiej propagandy radzieckiej. Nazwisko to opublikowano już dawniej w wielu łatwo dostępnych pracach, ja je tylko zacytowałem. Ale widocznie, by przeciwko mnie zmobilizować nacjonalistyczną ulicę, każdy chwyt wydaje się p. Stachiwowi dozwolony. Przyczyny dlaczego on w sprawie lwowskich mordów milczy są dla mnie zrozumiałe.

Ze strony innych ukraińskich kół, związanych jeszcze w czasie wojny z dr. Oberlaenderem spotkałem się także z atakiem w formie akcji, podjętej wśród tutejszych kół niemieckich.

Ukraiński profesor — czytelnik zrozumie z czasem dlaczego nie podaję na razie jego nazwiska — kolportuje w kołach niemieckich opinię, że już sam fakt drukowania przez Ukraińca artykułu w „polskiej gazecie” wystarczy, by być skompromitowanym. Ten człowiek z cenzurem profesorskim — hitlerowskie kontakty oszczędziły mu losu jego polskich kolegów we Lwowie — nie widzi rosnącej fali sympatii postępowej części społeczeństwa niemieckiego dla Polaków, ale stawia na zanikający i skazany na zupełnie wyschnięcie krzepki ongiś nurt polakozłczości. Jego lojalna i wierna przeszłości dusza nie posiada się z oburzenia, że Ukraińiec mieszkający w Monachium odważa się na łamach „polskiej gazety” krytykować niemieckiego ministra za to, że był hitlerowcem i dotąd nie potępił zbrodni Hitlera łącznie z zamordowaniem lwowskich profesorów. W przeciwieństwie do radia Warszawa, ukraiński profesor z Monachium uważa, że moim artykułem w „Kulturze” pomogłem sprawie bolszewików...

Oczywiście, że te stanowiska nie mają nic wspólnego z opinią większości społeczeństwa ukraińskiego. My wiemy, że polska tragedia tamtych lat i lat późniejszych, jest również naszą tragedią. Wielu spośród moich rodaków dziękowało mi za moją próbę uczciwego spojrzenia na tę bolesną sprawę.

Pragnę również podkreślić z radością, że niemieckie koła demokratyczne zareagowały na mój artykuł z całą sympatią. Trzeba dodać, że przychylna opinia pochodzi nie tylko z kół socjal-demokratycznych lecz i *chrześcijańskiej demokracji*. Szeręg posłów i działaczy tej partii domaga się ustąpienia Oberlaendera.

Jak wiadomo, w Holandii działa tzw. „Międzynarodowa Komisja dla sprawy Oberlaendera”. (Pisze o niej „Kultura” na innym miejscu). Holenderska „instytucja” również czyta „Kulturę” zareagowała więc na mój artykuł. Oto co napisano do mnie stamtąd:

„Jeżeli dobrze pamiętam był w czasie wojny dowódcą brygady SS Schoenfeld, przez jakiś czas Befehlshaber Policji Bezpieczeństwa i SD w Holandii. Będę badał czy tu chodzi o tę samą osobę. Wtedy moglibyśmy z Holandii odciążyć Oberlaendera od zarzutu „oprawcy Lwowa”, wysuwając tezę: nie Oberlaender a Schoenfeld. Podjęłaby to prasa zagraniczna i wina Oberlaendera doprowadzona-by została do rzeczywistych proporcji: antypolskie artykuły w gazetach. Możemy łatwo domysleć się kto jeszcze z państwowego aparatu w Bonn będzie w przyszłości zaatakowany jeżeli wypadek Oberlaendera będzie sukcesem sowieckim. Nawet argumenty możemy przewidzieć”.

A oto moja odpowiedź z dnia 29 stycznia 1960 na powyższy list:

„Mój artykuł w „Kulturze” napisałem z całkiem innych motywów. Chciałem się przyczynić do wyjaśnienia prawdy, uczyniłem to nie z uwagi na Oberlaendera, lecz wstrząśnięty wielką tragedią, która się wtedy we Lwowie rozegrała...”. „Zarówno Rosjanie jak i dr Oberlaender robią z tej sprawy piłkę do gry. Podkreślam, także Oberlaender, dlatego, że tylko ciasny umysł może uwierzyć, że gdy Oberlaender był we Lwowie nie padł ani jeden strzał. Z waszego listu widzę, że i wy również nie odcinacie się od zbrodni tamtych czasów i brak wam zrozumienia dla lwowskiej tragedii”.

Kończąc, pragnę podać do wiadomości czytelników, że po opublikowaniu mojego artykułu otrzymałem z różnych stron informacje z danymi o przebiegu lwowskiego mordu. Dane te potwierdzają jeden fakt, że wszystkie masakry od zajęcia Lwowa przez Niemców aż do sierpnia 1941 roku, to znaczy aż do przejęcia tych terenów przez władze cywilne, dokonane były przez „Einsatzkommando Galizien”. Rekonstruując fakty i zestawiając otrzymane wiadomości, mogę stwierdzić, że do „Einsatzkommando Galizien” przydzielonych było również w roli tłumaczy i sił pomocniczych pięciu Ukraińców, którzy współpra-

cowali z Gestapo w Krakowie jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej. Dwa nazwiska spośród pięciu podano mi jako całkiem pewne: były adiutant pułkownika Bisanza, niejaki Moroz i inż. B. Czuczkwicz. Co do pierwszego mam pewność z własnych obserwacji. Moroz zginął, natomiast Czuczkwicz żyje na emigracji i odpowiedzialne koła ukraińskie powinny nań wpłynąć, by jako najlepiej poinformowany, zechciał sprawę wyjaśnić. Tym bardziej, że Czuczkwicz przypuszczalnie nikogo nie mordował, a tylko był świadkiem.

Artykuł o dr. Oberlaenderze napisałem na prośbę moich przyjaciół z postępowych kół ukraińskich, polskich, żydowskich i niemieckich, zgodnie z tym co wiem i z najlepszą wolą. Przyjaciele są mi wdzięczni. Okazało się jednak, że prawda ma również swoich zaciętych wrogów.

Sprawa lwowska jest ciągle jeszcze otwarta. Próbowałem ją wyjaśnić ze swej strony. Liczę, że wszyscy którymkolwiek w tej sprawie jest wiadome, pomogą w tej pracy.

Borys LEWICKYJ

Oberlaender z perspektywy Berlina

Gdyby politykę w Bonn mierzono miarką berlińską to minister Oberlaender byłby już dawno ustąpił z zajmowanego stanowiska. Tutejszej opinii publicznej, która od lat znajduje się pod ostrzałem propagandy komunistycznej, czystość zasad i praktyki demokracji zachodnio-niemieckiej leży bardziej na sercu niż menadżerom targów międzypartyjnych i polityki personalnej w Bonn. Kiedy studenci i profesorowie uniwersytetu i politechniki zachodniego Berlina urządzili wiec protestacyjny przeciwko wybuchom antysemickim, wielu studentów niosło plakaty i transparenty z hasłami „Precz z Oberlaenderem”. Byłoby błędem mniemać, że chodziło tu o akcję kierowaną ze wschodu lub o jakiegś elementu kryptokomunistyczne. Dla zdrowego rdzenia młodzieży uniwersyteckiej, dla większości profesorów i, jak się wydaje, również dla przeciętnego zjadacza chleba pozostawanie Oberlaendera na stolku ministerialnym jest ciemną plamą na rządzie Konrada Adenauera.

Kiedy Oberlaender oświadczył w wywiadzie prasowym 13 stycznia, że nie zależy mu na tece ministra, i że gotów jest ustąpić po zakończeniu prac Międzynarodowej Komisji, badającej wysunięte przeciwko niemu zarzuty, słowa te zostały przyjęte przez społeczeństwo Berlina z zadowoleniem.

Dala temu wyraz prawie cała prasa zachodnio-berlińska. Tymczasem jednak sprawy komplikują się gdyż w łonie wspomnianej komisji powstał wyraźny konflikt, który stawia ukończenie prac śledczych i wydanie odpowiedniego werdyktu pod znakiem zapytania.

Rzućmy okiem na genezę wspomnianej komisji. Powstała ona na skutek inicjatywy niemieckiej grupy w *Union des Resistants pour une Europe Unie* (URPE), organizacji jednoczącej członków ruchu oporu przeciwko hitleryzmowi i znajdującej się w konflikcie z Międzynarodową Federacją b. działaczy podziemnych, która jest całkowicie pod wpływami komunistycznymi. Komisja ta została powołana do życia 3 listopada 1959 roku i rozpoczęła działalność 28 listopada 1959 r. Z inicjatywą ze strony niemieckiej wystąpił szef niemieckiej grupy URPE, Wolfgang Mueller, zbliżony, jak się zdaje, do kół partii Adenauera. Komisja składa się wyłącznie z cudzoziemców. Niemcy nie weszli do niej, aby nie mówiono, że rezultaty śledztwa zostały tendencyjnie naświetlone. Przewodniczącym komisji został znany działacz holenderskiego ruchu oporu, K.R. van Staal. Inni członkowie komisji to sędzia szwajcarski Kurt Schock, belgijski profesor Flor Peeters, prezydent Związku b. Działaczy Ruchu Oporu w Norwegii Hans Copellen i przewodniczący duńskiego parlamentu Olle Bjoern Kraft. Sekretarzem komisji wybrano holenderskiego dziennikarza Joop Zwart'a, również znanego w międzynarodowych kręgach ruchu oporu. Postronnemu sprawozdawcy wydaje się jednak, że całą tę niezwykle ważną imprezę zorganizowano w sposób bardzo dyktancki, a nawet niepoważny. Niezrozumiała jest też decyzja holenderskiego ministerstwa spraw zagranicznych, które — jak doniósł korespondent „Sueddeutsche Zeitung” z Hagi 11 stycznia — w porozumieniu z ministerstwem sprawiedliwości odmówiło wiz dla świadków, których chciano zaprosić z Polski, Związku Sowieckiego i Niemiec Wschodnich. Podważono tym oczywiście działalność komisji.

W końcu stycznia wybuchły nieporozumienia w niemieckiej sekcji URPE. Dwóch członków organizacji, a mianowicie posłowie do Bundestagu Franzel (SPD) i Boehm (CDU) oświadczyli, że cała działalność komisji stała się farszą, gdyż postanowiono z góry wybielić Oberlaendera, zwięzając całą sprawę do wypadków lwowskich a nie uwzględniając całkowicie jego roli w powstaniu i w rozwoju ideologii nazistowskiej. Natomiast przewodniczący sekcji niemieckiej, Mueller, stanął na stanowisku, że komisja miała się zająć jedynie i wyłącznie ustaleniem jak dalece Oberlaender jest odpowiedzialny za zbrodnie, które miały miejsce po wkroczeniu armii niemieckiej do Lwowa. Mimo to Boehm i Franzel postanowili zrezygnować z członkostwa URPE. Wprowadziło to zamęt wśród członków komisji. Ponadto liberalna prasa norweska i duńska, jak np. pisma „Dagbladet” lub „Information” rozwinęły akcję przeciwko udziałowi przedstawicieli ruchu oporu obydwu krajów skandynawskich w pracach komisji. Wziąwszy razem wszystkie te perypetie można już dziś z wielkim prawdopodobieństwem wyrazić przypuszczenie, że działalność komisji w sprawie afery Oberlaendera skończy się fiaskiem. Nawet gdyby większość członków komisji zakończyła prace w przewidzianym terminie i opublikowała zapowiedzianą „Białą Księgę”, której wydaniem ma się zająć

Franz Fackler, piastujący jakiś urząd w magistracie w Monachium, to efekt kilkumiesięcznych wysiłków będzie równy zeru.

W Niemczech Zachodnich panuje zupełna dezorientacja właśnie w dziedzinie aspektów nie związanych bezpośrednio z osobą Oberlaendera. Wyrazem tego był np. artykuł publicysty katolickiego tygodnika (Rheinischer Merkur) Wengera, który nie rozumiejąc w pełni zagadnienia skłonny jest do przyjęcia tezy, że mordy popełnione we Lwowie były rezultatem waśni narodowych. Z drugiej strony Wenger wysunął również aspekt ideologicznego ojcostwa Oberlaendera w tym przedmiocie jako ówczesnego eksperta nazistowskiego w sprawach narodowych.

Pozycja Oberlaendera staje się z każdym dniem coraz bardziej słabsza i powoli odsuwają się od niego nawet te koła i czynniki CDU, które go dotychczas popierały lub co najmniej tolerowały. Bardzo znamienne jest oświadczenie posła CDU barona von Gutttenberga: „jest mi jakoś niewyraźnie kiedy zdaję sobie z tego sprawę, że pan Oberlaender jest niemieckim ministrem”. A trzeba wiedzieć, że stosunki pomiędzy obydwoma politykami były jeszcze do niedawna bardzo zażyłe. Z ciekawą inicjatywą załatwienia afery Oberlaendera w sensie personalnym wystąpił 29 stycznia w hamburskim tygodniku polityczno-społecznym „Die Zeit” jego wydawca, a zarazem poseł z ramienia CDU w parlamencie w Bonn, Gerd Buccerius. Wykazał on, że Oberlaender jest aktywistą tego pokroju, który chce odgrywać doniosłą rolę w każdych warunkach i przy wszystkich reżymach. Stąd też brał on udział w puczu hitlerowskim w Monachium w 1923 roku, aby się później urządzić w Republice Weimarskiej, a w kilka lat potem stać się znowu zagorzałym hitlerowcem. Ta cecha charakteru Oberlaendera sprawiła, że po roku 1945 kręcił się najpierw dookoła ruchu „moralnego uzbrojenia w Caux, grawitował do liberalnej partii FDP, przygłąną następnie do partii wysiedleńców BHE, aż w końcu znalazł się w CDU. Jako jedyny plus na konto „aktywisty” autor artykułu zalicza to, że jako minister spraw wysiedleńców włączył on „10-milionową” rzeszę uchodźców do gospodarki niemieckiej i tym samym pozbawił jej roli „instrumentu walki o powrót do ojczyzny drogą przemocy”.

Mimo to, Buccerius, choć kolega partyjny Oberlaendera w obecnym parlamencie bońskim, oświadcza niedwuznacznie: „nie, ten Oberlaender nie śmie należeć do gabinetu republiki federalnej. Kanclerz i frakcja CDU winni go odesłać do domu, przy czym należałoby mu udzielić urlopu do 1 maja 1960 roku, gdyż tego dnia skończy 55 lat i uzyska prawo do emerytury”.

W międzyczasie komunistyczny wschód nie zasypia gruszek w popiele. Główną rolę w aferze Oberlaendera grają komuniści w Niemczech Wschodnich. Atak rozpoczął się w formie nieźle zorganizowanej konferencji prasowej pod przewodnictwem członka Politbiura SED, profesora Alberta Nordena, 22 października ub. roku. 2 lutego 1960 w Berlinie wschodnim wręczono miejscowym i zagranicznym dziennikarzom tzw. „brunatną księgę” pod tytułem „Prawda o Oberlaenderze”. Jest to zbiór dokumentów i fotokopii dotyczących aktywności Oberlaendera jako członka partii hitlerowskiej, jej działacza a przede wszystkim ideologa. Krucho zaczyna być ze stroną dokumentacyjną jeśli chodzi o wypadki lwowskie, gdyż autorzy zbioru dokumentów obejmującego 190 stron usiłują przeforsować obok praw-

dy również inne cele i zadania. Chcą oni bowiem udowodnić, że za zbrodnie popełnione w więzieniach lwowskich przez NKWD są rzekomo odpowiedzialni Ukraińcy z batalionu „Nachtigall”. W tym celu zebrali zeznania od rozmaitych świadków, przeważnie od Żydów, Polaków i Ukraińców mieszkających dziś we Lwowie lub w Polsce, a nawet w Izraelu. Pośród innych wypowiedzi znajduje się również oświadczenie p. Bartłojew, złożone rzekomo korespondentowi wschodnio-berlińskiego pisma komunistycznego „Neues Deutschland” i według którego naukowcy polscy zostali zgładzeni przez „niemieckich faszystów” a mianowicie członków tzw. batalionu „Nachtigall”. Jest to oczywisty nonsens albo po prostu nieporozumienie. Natomiast profesor Sokolnicki który jak się okazuje, mimo swoich 83 lat wciąż jeszcze jest profesorem na Politechnice Lwowskiej wypowiada się w oświadczeniu (opublikowanym w formie facsimile) napisanym po niemiecku w tym sensie, że odpowiedzialność za morderstwo popełnione na profesorze Bartlu i na innych kolegach z politechniki spada na gestapowców, co się pokrywa z tezami artykułu Borysa Lewickiego w „Kulturze”. W zbiorze dokumentów znajdują się jednak zeznania sugerujące raczej przyjęcie twierdzeń propagandy sowieckiej i wschodnio-niemieckiej o odpowiedzialności nacjonalistów ukraińskich.

BEO

P.S.: — W kilkanaście dni po napisaniu powyższych uwag pisma niemieckie przyniosły nowe głosy i wiadomości w sprawie Oberlaendera. Stąd też powstała konieczność uzupełnienia kroniki garścią dodatkowych informacji.

Na posiedzeniu frakcji zachodnio-niemieckiej partii CDU, sprawującej rząd w Bonn, w dniu 9 lutego powołano partyjny Sąd Honorowy, który ma się zająć zbadaniem przeszłości politycznej ministra Oberlaendera. Sąd składa się z pięciu polityków chrześcijańsko-demokratycznych nie wchodzących do gabinetu Adenauera. Seniorem jest poseł CDU, znany bankier i przemysłowiec, a jak twierdzą poinformowani, bliski przyjaciel kancelarza Adenauera, Pferdenges.

W związku z tym dzienniki niemieckie przewidują, że działająca w Hadze komisja URPE podejmie w krótkie decyzję o likwidacji rozpoczętych prac badawczych. Do połowy lutego pogłoski te nie znalazły jednak oficjalnego potwierdzenia z kół wspomnianej komisji.

W niemilkącej dyskusji wokół afery Oberlaendera i wypadków lwowskich należy zanotować wypowiedzi niemieckiego historyka prof. Michaela Freunda i publicysty Paula Wengera. Obydwaj autorzy, Freund na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, zaś Wenger we współredagowanym przezeń katolickim tygodniku „Rheinischer Merkur” — analizują dość obiektywnie zarzuty skierowane przeciwko Oberlaenderowi, starając się utrzymać linię podziału, którą zastosował Borys Lewicki w artykule ogłoszonym w „Kulturze” (Wenger referuje nawet pracę Lewickiego i cytuje z niej końcowy fragment) pomiędzy poszczególnymi elementami oskarżeń wysuniętych przez komunistów, choć wydaje się, że pragną oni zepchnąć winę na Ukraińców, zaś w całości wywodów zdradzają kompletną ignorację, lub świadomie nie dostrzegają istoty zarzutów które zmierzają do zakłócenia stosunków polsko-ukraińskich i rozdmuchania roli kolaborantów ukraińskich z obozu skrajnych nacjonalistów do takich

rozmiarów, które skompromitowałyby cały naród ukraiński i jego niekomunistyczną elitę polityków i działaczy społecznych. U Wengera główną rolę odgrywa, zdaje się, reprezentowana przez niego od dawna koncepcja osiągnięcia kompromisu niemiecko-polskiego kosztem terytorialnego zepchnięcia Ukraińców na Wschód i kompleks zasadniczej niechęci do Ukrainy.

Jeśli chodzi o merytoryczne strony rozwiązania afery ministra Oberlaendera, to zarówno Freund jak i Wenger są zgodni, że Sąd Honorowy CDU nie jest instytucją, która mogłaby wydać końcowy werdykt w tej sprawie. Obydwaj wypowiadają się również zdecydowanie przeciwko zwolnieniu Oberlaendera ze stanowiska ministra w obecnej chwili, gdyż tego rodzaju decyzja musiałaby wzbudzić podejrzenie, że Niemcy Zachodnie uległy się groźby gruntownego zbadania zarzutów. Profesor Freund proponuje aby powołać specjalną komisję niemiecką lub międzynarodową z udziałem niezależnych ekspertów oraz historyków, na wzór brytyjskiej Royal Commission. W innym wypadku sprawą tą musiałaby się zająć specjalna komisja parlamentarna niemieckiego Bundestagu. Wenger nie precyzuje swych propozycji, ale wysuwa tezę, że „wypadki lwowskie” ze względu na związane z nimi problemy moralne, wymagają aby je wyświetlono drogą „oficjalnego śledztwa karno-prawnego i politycznego”. W związku z tym obserwatorowi dyskusyj niemieckich wydaje się, że pierwsza propozycja profesora Freunda zasługuje na szczególną uwagę i poparcie, mianowicie propozycja utworzenia Międzynarodowej Komisji rzeczoznawców. Do takiej komisji musieliby wejść również przedstawiciele Polaków, Żydów i Ukraińców o nieskazitelnym autorytecie moralnym i politycznym.

BEO

AMERYKA-ECHO

*Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem*

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych

— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.

Psiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio
U. S. A.

Najnowsza historia Polski

Dodatek do adiutanta

Dopiero z czerwcowego numeru „Kultury” dowiedziałem się, że w Polsce nakładem MON wydano w r. 1959 publikację pt. „Byłem adiutantem Generała Andersa” pióra J. Klimkowskiego. Po jej przeczytaniu pragnę ze swej strony dodać parę słów komentarza do tej „historii” Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR i Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie, spreparowanej przez swoistego zaiste polskiego „Xenofonta”. Nie zamierzam zabierać głosu na temat ocen wydarzeń, oraz głównych osób, odgrywających w nich czołową rolę, gdyż metoda narracji autora stoi na takim poziomie, że w pełni podzielał zdanie J. Czapskiego, że w podobne socrealistyczne historie, przygotowane na zamówienie społeczne (prawdopodobnie jeszcze w okresie Rokossowskiego) nie uwierzą nie tylko naiwni komuniści, lecz również winne, czy niewinne kucharki warszawskie „przy maglu”.

Niemniej nawiążę do paru zdań z książki Klimkowskiego, jakie znalazłem na str. 103, gdyż odnoszą się one bezpośrednio do mnie. Cytuję je dosłownie:

„Toteż zaraz po mojej rozmowie z adiutantem mjr. Macielińskiego i jednym z członków komendy ZWZ Telmanem — zostałem aresztowany. O tym, że zostałem zadenuncjowany przez Telmana, dowiedziałem się już w Moskwie od władz NKWD, a następnie od płk. Bąkiewicza w sztabie naszej armii w Buzułuku, gdyż Telman będąc w tej miejscowości opowiadał o powyższej historii”.

Cały incydent dotyczy pojawienia się Klimkowskiego we Lwowie we wrześniu 1940 jako zagranicznego kuriera ZWZ, oraz późniejszego jego aresztowania. Zarzut jaki stawia pod moim adresem jest świadomym oszczerstwem z jego strony, przy czym, przytoczony cytat zawiera co najmniej dwa kłamstwa redakcyjne. Bo Klimkowski stykał się zbyt często i na zbyt poufalej stopie z NKWD, by dobrze wiedzieć, że organi-

zacja ta — poza gronem swoich ścisłych współpracowników — nie ujawnia nigdy osobom postronnym, czy trzecim swoich denuncjantów, czy konfidentów. Skąd więc niby to nagle zaufanie „śledowateli” moskiewskiego NKWD do Klimkowskiego, idące aż tak daleko, że informują go na śledztwie szczegółowo o tym kto go zadenuncjował? Część druga oszczerstwa zbudowana jest na równie „mocnych” podstawach. Bo nie odpowiada zupełnie prawdzie, aby Klimkowski mógł słyszeć o mojej „denuncjacji” od płk. Bąkiewicza, gdyż ja sam „będąc w tej miejscowości (w Buzułuku) opowiadałem o powyższej historii”.

Bo primo, gdybym nawet kiedykolwiek zadenuncjował Klimkowskiego, czy kogokolwiek innego z pracy konspiracyjnej, to sama logika takiego czynu dyktuje, że wówczas nie opowiadałbym o tym z własnej woli płk. Bąkiewiczowi, Szefowi Oddziału II. Wie natomiast dobrze autor tego oszczerstwa, że należałem do osób, które właśnie płk. Bąkiewicz obdarzał raczej dość dużym osobistym zaufaniem przez cały czas wspólnej znajomości i pracy. Jestem też pewny, że zaufanie takie byłoby automatycznie wykluczone, gdybym kogokolwiek z pracy konspiracyjnej denuncjował, a później jeszcze o tym jemu opowiadał cynicznie.

Secundo: nigdy w moim życiu nie byłem w Buzułuku, gdyż przez cały czas pobytu tam Dowództwa PSZ w ZSSR przebywałem wciąż jeszcze w sowieckim łagrze. (Republika Komi, okręg Kotłas, Uściług, Syktykwar).

OKRĘG LWOWSKI ZWZ Z ROKU 1940

Teraz pragnę dodać parę szczegółów do historii lwowskiego ZWZ. Otóż wczesnym latem 1940, kiedy wydarzyło się w lwowskim okręgu ZWZ kilka dość zagadkowych aresztowań (również i Pstrokońskiego oraz Klimkowskiego) i kiedy grono osób pracujących w adiutanturze ZWZ poczęło podejrzewać wprost komendanta okręgu, Macielińskiego, (Kornela, lub Reja) o ścisłą współpracę z NKWD, najpierw Piotr Gyurkowich, a po nim ja zdecydowałem się na podróż do Rumunii celem uprzedzenia tamtejszego ośrodka o brudnej robocie „Kornela”. Próby te podejmowaliśmy w tajemnicy przed Macielińskim, lecz niestety wiedział o nich adiutant Macielińskiego, por. Leszek Niemczycki. Jeśli idzie o mnie to zostałem aresztowany 29 września 1940, w pociągu kolejowym w pobliżu Chodorowa, przez agentów NKWD, jadących bodajże w sąsiednim przedziale kolejowym. Po 1-dniowym pobycie w lwowskim więzieniu i przelotnym przejeździe poprzez Kijów odwieziono mnie zrazu na Łubiankę, a później przeniesiono do Lefortowskiej „tury” w Moskwie. Tam też gdzieś, do początków czerwca 1941 prowadzono śledztwo rozmaitymi dozwołonymi i niedozwołonymi metodami, chcąc wydobyc ode mnie przyznanie się w jakim celu i dokąd jechałem pociągiem w mo-

mencie mego aresztowania? Końcowym rezultatem mego śledztwa był wydany bez rozprawy sądowej wyrok śmierci, odczytany mi później w celi bodaj przez przedstawicieli administracji więziennej. W tejże celi spędziłem około 3 tygodni i zachodziłem w głowę przez cały ten dość długi okres czasu (jak na skazanego) dlaczego nie wykonują ostatecznie wyroku, skoro go już raz wydali? Dopiero gdzieś w 3 dekadzie czerwca 1941 sytuacja w pewnym stopniu się wyjaśniła, gdyż miałem w celi ponowną, nieoczekiwaną wizytę przedstawiciela administracji więziennej, który tym razem powiadomił mnie, iż wyrok śmierci zamieniono mi na 10 lat pobytu w „isprawielnym łagrze”. Ostatecznie w istotnych pobudkach tej „Łaski Pańskiej” ze strony NKWD zorientowałem się dopiero przy formowaniu kolejnego transportu polskich więźniów, których w dalszym ciągu, w lipcu 1941, a więc już nawet po ataku niemieckim na Rosję, uważano za „niebezpieczny element” dla ZSSR i wysyłano na północ do obozów. W łagrze trzymano mnie aż do dnia 4 grudnia 1941 i to mimo zwolnienia do tego czasu 99 % wszystkich przebywających tam wówczas Polaków. W chwili mego wyjścia z łagru pozostali tam w dalszym ciągu jeszcze b. prof. Uniwersytetu Wileńskiego dr Stanisław Swianiewicz, oraz pp. Gancewicz (z Wilna) i Wieroński (ze Lwowa). Podróż moja z dalekiego łagru północnego republiki Komi do wojska polskiego trwała, przy moim ówczesnym zdrowiu, a zwłaszcza w warunkach transportowych Rosji z zimy 1941 na 1942, około 3 miesięcy, gdyż dopiero z początkiem marca 1942 dotarłem do Dział-Abad, gdzie zostałem wcielony do jednego z pułków 5 dywizji.

Tak więc w sumie moje śledztwo, droga do wyroku śmierci, oraz mocno w czasie opóźnione zwolnienie mnie z „poprawczego obozu”, nie odbywało się w tak idyllicznych warunkach jak opisuje to Klimkowski w swej książce o sobie samym. Bo w przeciwieństwie do niego — tak samo zresztą jak miało to miejsce z przytłaczającą większością Polaków w Rosji — z gmachu Lefortowa „nie wyszedłem w towarzystwie uśmiechającego się życliwie majora wojsk NKWD, Pawła Mazura”, ani też przez tego ostatniego „nie zostałem luksusowo ulokowany w wielkim hotelu 'Metropol', gdzie zatrzymywali się normalnie cudzoziemcy, a zwłaszcza korespondenci wszelkiego rodzaju pism zagranicznych” (str. 107). Nigdy też „nie podjękował towarzyszącemu mi oficerowi za opiekę, a on przy pożegnaniu nie zapowiedział swojej wizyty, aby oprowadzać mnie po stolicy i pokazywać historyczne zabytki” (str. 108). Przez długi jeszcze czas nie znalazłem się „sam w pokoju, z radosną świadomością wolności” i pewnością „że byłem panem swych ruchów i zajęć” (str. 108).

A co najważniejsza nigdy nie byłem zdania, że właśnie „jest to chyba szczyt marzeń każdego więźnia” (str. 108). Wręcz przeciwnie byłem zawsze święcie przekonany, że szczytem marzeń każdego politycznego więźnia w jakimkolwiek więzieniu, jest — czy też powinno być — przede wszystkim wew-

nętrzne poczucie uczciwie spełnionego, a dobrowolnie na siebie podjętego obowiązku.

PONOWNE SPOTKANIA I DUŻE ZDZIWIENIE

Po moim wcieleniu do wojska w Dział-Abad, mimo upływu dość długiego okresu czasu od chwili opuszczenia przeze mnie Lwowa, pragnąłem w dalszym ciągu powiadomić polskie czynniki, kierujące z zagranicy pracą konspiracyjną w kraju, o niewątpliwiej zdradzie Macielińskiego i jego adiutanta Niemczyckiego. W tym celu złożyłem odpowiedni meldunek pisemny, w rezultacie którego w kilka tygodni później zostałem wezwany do Sztabu PSZ w ZSSR w Jangi-Jul. Tak więc dopiero gdzieś w maju 1942 przyjechałem w ogóle po raz pierwszy do Dowództwa PSZ w ZSSR. Tam też zetknąłem się po raz trzeci w moim życiu z Klimkowskim i ku mojemu niewymiernemu zdumieniu dowiedziałem jak ważne zajmował on wówczas stanowisko w Sztabie.

Piszę wyraźnie o 3-cim z kolei w moim życiu spotkaniu się z Klimkowskim i o moim niewymiernym zdumieniu z powodu jego odpowiedzialnego stanowiska w Sztabie, ponieważ od czasu pierwszej rozmowy z nim we Lwowie do chwili przybycia mego do Jangi-Jul zetknąłem się z nim w międzyczasie po raz drugi w dość swoistych okolicznościach. Otóż podczas mego śledztwa w Lefortowie doszło do II-go spotkania, kiedy to urządzono tzw. „oczną stawkę”, czy konfrontację, podczas której wprowadzono Klimkowskiego na kilkanaście minut na salę w ciągu jednego z moich nocnych przesłuchań, a следователь zadawał nam po kolei krótkie zapytania: „Czy się w ogóle znamy?”, „Czyśmy się spotkali we wrześniu 1940 we Lwowie?”, „Czyśmy byli członkami ZWZ?”, „Jaką organizacją był ZWZ?”, „Czy była to organizacja antysowiecka?” i wreszcie „Czy Klimkowski przyjechał z Rumunii jako kurier zagraniczny ZWZ do Lwowa i w jakiej misji?” Podczas gdy Klimkowski wszystkie te zapytania potwierdzał z całą gotowością i usłużnością i począł mnie z miejsca sypać bez najmniejszych ogródek, wahań, czy walki wewnętrznej, ja pytańom tym bądź kategorycznie przeczyłem, bądź odmawiałem konkretnej odpowiedzi, zasłaniając się nieznaną poruszonych spraw. Stanowisko takie zajmowałem i w czasie samej konfrontacji i podczas całego śledztwa, zgodnie z zasadami wszelkiej uczciwie pojętej pracy konspiracyjnej.

Rzecz jasna, że po moim przyjeździe do Jangi-Jul nie ukrywałem w tajemnicy i nie trzymałem w zanadrzu mego zdumienia wobec ówczesnego stanowiska Klimkowskiego w Sztabie, lecz przeciwnie opowiedziałem nowym zupełnie kolegom i znajomym o tym epizodzie śledczym. Zwracałem też od razu i płk. Bakiewiczowi uwagę na nieuniknione konsekwencje ścisłej współpracy Klimkowskiego z władzami NKWD

podczas mego śledztwa w Moskwie. Oczywiście, nie mogłem poprzeć moich ostrzeżeń niczym innym, jak tylko własnymi przeżyciami więziennymi, a te okazały się zrazu mieć zbyt mały ciężar gatunkowy. Z jednej strony, byłem w Sztapie bliżej nikomu nieznanym podporucznikiem rezerwy i bodaj jedyną osobą w Jangi-Jul, którą Klimkowski sypał na śledztwie. Z drugiej strony, Dowódca PSZ na tle dawnej znajomości i współpracy z Klimkowskim przed wojną miał do niego „do czasu” dość duże zaufanie. Dawał wiarę opowiadaniom Klimkowskiego początkowo zresztą również i ambasador Kot wysyłając w dniu 22 września 1941 do gen. Sikorskiego depeszę „prosząc po cichutku o awans dla Klimkowskiego... gdyż zniósł on więzienie i maltretowanie wzorowo”. (*Listy z Rosji* do gen. Sikorskiego, str. 99).

Jest więc rzeczą zupełnie zrozumiałą — nawet i dzisiaj, że w takich warunkach nie wiele osób brało od razu „na serio” moje opowiadania o tym, jak wcześniej rozpoczęła się ścisła współpraca Klimkowskiego z NKWD, szczególnie, że rozmaitych podobnych wzajemnych obwiniań było dosłownie bez liku w tamtych czasach, a bieżące zadania i aktualne kłopoty, związane bezpośrednio z tworzącym się wojskiem i polską ludnością cywilną, napływającą masowo ze wszystkich stron do naszych garnizonów wojskowych, odsuwały oskarżenia o współpracę z NKWD i na czas późniejszy, a przede wszystkim wyciągnięcie odpowiedzialnych konsekwencji poza teren Związku Sowieckiego. Jedyną możliwą w warunkach wojny i pobytu na ziemi sowieckiej postawą było postępowanie *wait and see*. I tak się też stało. Stopniowo bowiem, gdy cała dalsza działalność Klimkowskiego nabierała coraz więcej cech rozwydrzonego i bezmyślnego warcholstwa, szczególnie w okresie ponownego przyjazdu gen. Sikorskiego na Środkowy Wschód, kiedy to zaczął się on prowokacyjnie domagać w ulotkach granic Polski nad Morzem Czarnym od ujścia Dunaju, wraz z Krymem, aż daleko po sam Rostow, a dalej na północ z Charkowem, Homlem, Smoleńskiem, Witebskiem oraz całą Litwą, Łotwą, Estonią (załącznik w *Listach z Rosji* prof. Kota) i wzywał wręcz swój „Zespół Młodych” do zabójstwa Naczelnego Wodza — osiągnęła wreszcie częściowo i jego ręka sprawiedliwości.

Ponadto Klimkowski, jako rozpoznany już na terenie Rosji agent sowiecki, lecz z konieczności wówczas tolerowany, oddawał także mimo woli pewne usługi, stanowiąc sobą rodzaj przysłowiowego „papierka lakmusowego”, pozwalającego każdorazowo łatwo rozpoznać i wyznać się w różnych prowokacjach, podsuwanych poprzez niego do wykonania Dowódcą PSZ w ZSSR. Jak wynika z opowiadania Czapskiego o lansowanym wiosną 1942 ataku na Taszkient, robotę Klimkowskiego cechowała przy tym daleko posunięta nielojalność nawet wobec swoich sowieckich mocodawców, oraz co najmniej wybitna nieostrożność, czy głęboka naiwność w wyborze metod

swojej pracy. Cały projekt wysuwał bowiem w obecności kucharza, starego weterana sowieckiego, co do którego charakteru i roli nie było najmniejszych złudzeń. Klimkowski chciał jednak w ten sposób przechrzcić wszystkich i wypracować sobie przy „świadku koronnym”, a raczej kuchennym, słuchającym wszystkiego tuż za firanką w drzwiach, zadane mu pensum do wykonania, ale zaplątany w zawiłą sieć obustronnej nielojalności nie rozumiał zupełnie, że postępując tak nieostrożnie demaskuje raz jeszcze zarówno swoje istotne stanowisko w Sztapie, jak też jednocześnie zbyt mocno kompromituje właściwy ośrodek sowieckiej inicjatywy, z którego każdorazowo czerpał natchnienie i fantazje do swoich pomysłów. Psychologicznemu prymitywizmowi Klimkowskiego, którego dziwnym zaiste trafem wytypowano na Łubiance na główne i powolne narzędzie z przeznaczeniem na Dowództwo PSZ w ZSSR, zawdzięczać też należy, że udało się uprzedzić na czas, i uniknąć zarówno na terenie samej Rosji, jak też i później na Bliskim Wschodzie, każdej większej i poważniejszej prowokacji sowieckiej. Jest to więc bezsprzecznie pozytywny, aczkolwiek zupełnie przez Klimkowskiego nie zamierzony, wkład osobisty do historii PSZ w ZSSR i Armii Polskiej na B.W. Jestem też przekonany, że jeśli doszło do katastrofy gibraltarskiej to tylko dlatego, że plany likwidacji gen. Sikorskiego, podejmowane z sowieckiej instygacji poprzez Klimkowskiego i jego ślepy „Zespół Młodych”, prowadzony — o gorzka ironia — pod hasłem „*Salus Reipublicae Suprema Lex*” ostatecznie zostały w porę sparaliżowane. Tak więc, skoro „razwiedce sowieckiej” nie udało się najbardziej wygodny dla niej *coup d'état*, tj. likwidacja Sikorskiego rękoma samych Polaków, uciekła się ona do pomocy czeskiego pilota i tak zgrabnego zablokowania przez niego sterów samolotu, że jedynie sam pilot wyszedł z katastrofy bez wielkiego szwanku.

Uderzyć musi wreszcie każdego dlaczego Klimkowski mając tyle „murowanych” dowodów mojej „denuncjacji” nie wytoczył mi postępowania karno-sądowego? Tymczasem, mimo tego, że przez długi czas i w Rosji i na Bliskim Wschodzie mieszkiał pod jednym dachem z gen. Andersem, po zjawieniu się moim, wiosną 1942, w Sztapie w Jangi-Jul, lub później na Bliskim Wschodzie zawsze speszony unikał mojej osoby i to mimo tego, iż wiedział dobrze poprzez wiernych mu ludzi z „Zespołu Młodych” o zarzutach moralnych, jakie ja ze swej strony stawiałem już wówczas pod jego adresem. Zwłaszcza, jeśli to tak mocno przez niego szkalowane polskie sądownictwo wojskowe działać miało naprawdę w ten sposób, jak on je opisuje, to przy swoich „dowodach” mojej winy oraz swoich ówczesnych chodach w Sztapie, mógł przecież bez większego trudu rozprawić się w okresie swojej „*Slawy i Chwały*” z denuncjantem. Wielkodusznie jednak zrezygnował wówczas z tego wszystkiego, po to by podjąć niespodziewany i publiczny atak na mnie dopiero spoza bezpiecznych opłotków warszaw-

skiego MON, w 18 lat od minionych wydarzeń, w książce, która bardzo łatwo mogła w ogóle ująć moją uwagę.

Nie jestem wprawdzie biegłym w tej sprawie, gdyż nie śledziłem zupełnie krajowej „publicystyki” politycznej w latach 1945-1956, lecz mimo to wydaje mi się, że „wspomnienia” Klimkowskiego biją o dobrą głowę wszystko to, co ukazywało się drukiem w Polsce w najczarniejszym okresie Stalina, Rokossowskiego, czy Bieruta. Mimo woli też dlatego ciśnie się czytelnikowi na usta pytanie, jaka wobec tego istotna zmiana właściwie zaszła w warszawskim MON po odejściu z niego Rokossowskiego, a przyjsciu na jego miejsce Spychalskiego? Aczkolwiek publikacja tych wspomnień w r. 1959 i to w dwóch wydaniach w tym samym roku nasuwa na to pytanie przeczącą odpowiedź, obojętnie wyrażę na tym miejscu nadzieję, że kiedyś, w przyszłości, praca o wydarzeniach z lat 1939-1944 i o ludziach, biorących udział w tworzeniu PSZ w ZSSR, czy Armii Polskiej na BW, która wyjdzie spod pióra polskiego, ideowego komunisty-historyka będzie znacznie bardziej uczciwa, przyzwoita i sprawiedliwa w swoich ocenach od świeżo wydanego tomu „wspomnień”.

KONFRONTACJA Z DOKUMENTAMI I ŻYCIEM

Jak grubymi szwami szyte są wspomnienia Klimkowskiego nawet w zakresie mało znaczącej mojej osoby świadczy inny szczegół. Otóż autor mimo tego, że w 85 % oparł swój tzw. materiał dokumentacyjny na zbiorze prof. Kota pt. *Listy z Rosji do Generała Sikorskiego* dyskretnie nie dostrzegł tego co prof. Kot w kilku miejscach (str. 89, 92, 127, 165, 190) pisze otwarcie o Macielińskim (Kornelu). Cytuję depeszę Kota z dnia 10 września 1941 z Moskwy do Londynu ze str. 92:

„Prowokator we Lwowie. Co do organizacji lwowskiej przesłuchałem wszystkich obecnych jej tutaj działaczy, a jutro rozmówię się z Pstrokońskim. Wszyscy zeznają, że Kornel jest prowokatorem i sypał od kwietnia 1940 i że jego stacja od tego czasu działała dla NKWD. Już wtedy nasi byli aresztowani, a jego otoczenie polityczne znikło i tylko trzymali się ludzie niejaśni. Aresztowany w styczniu 1940, po dwu dniach wypuszczony zapewne już wtedy poszedł na służbę; zresztą jeszcze trzykrotnie był dla niepoznaki aresztowany i zaraz wypuszczony. Gdy po aresztowaniu przezeń spowodowanym, następcy Żebrowskiego, płk. Kotarskiego w marcu czy kwietniu objął komendę, oddał wszyscy zostali zasypiani, ani jeden kurier uczciwy nie wyszedł, a o każdym idącym do kraju już zawczasu władze były powiadomione”.

Oraz przypisek ze str. 89: „Na Kornela wydał ZWZ wyrok śmierci, który został wykonany w grudniu 1941”.

Tak samo, mimo długiego pobytu w Polsce, zdaje się Klimkowski nie wiedzieć o tym, że adiutant Macielińskiego z

lwowskiego ZWZ w r. 1940, Leszek Niemczycki, jeszcze gdzieś na przełomie lat 1953-1954, w nagrodę za wierną służbę i lojalną współpracę ze swym komendantem, był wykładowcą języka rosyjskiego w jednej ze szkół wojskowych w Poznaniu. Nie jest mu także znany fakt, że szwagier Niemczyckiego, kręcący się w r. 1940 także na marginesie adiutantury ZWZ, mgr. Kazimierz Gryglaszewski — zresztą skądinąd bardzo gorący zwolennik przedwojennych, tak dobrze znanych haseł akademickich: „Bij Żyda, Masona, Komunę” — jest dzisiaj prezydentem miasta Legnicy, w murach której mieści się — jak powszechnie wiadomo — Sztab Paktu Warszawskiego marszałka Iwana Koniewa.

Ale nie tylko w tak drobnych i na wskroś personalnych sprawach „zawodzi” naszego autora pamięć. Na 359 stronach swoich barwnych i soczystych wspomnień nie znalazł ani jednego nawet miejsca na wymienienie tragicznej w uszach każdego Polaka miejscowości Katyń. I w ten sposób zachowuje się b. „oficer na stanowisku dowódcy pułku, człowiek, który znał zagadnienia wagi państwowej, przed którym nie było w zasadzie żadnych tajemnic” (str. 346).

Jeśli „Kultura” dociera naprawdę od czasu do czasu do Polski, „adiutant” przeczyta mój „Dodatek” do niego, i jeżeli w wyniku tego wszystkiego spotka go ze strony „naczalstwa” sporo „rugateli” — to niech mnie nie wini z tego powodu, bo przecież nie ja zaczynałem i nie wymyśliłem tej niestworzonej historii i w ogóle wszystkich innych bredni z jego wspomnień.

Adam TELMANY

Post Scriptum: — Gdyby sama książka pozostawiła komuś jeszcze jakieś złudzenia co do osoby autora i jego roli, to może to wspomnienie z konfrontacji we więzieniu moskiewskim rzuci właściwe światło na te na pozór wręcz karkołomne pomysły Klimkowskiego, cytowane przez Czapskiego w czerwcowym numerze „Kultury”. Wszystkie je podsuwał swoim sympatykom z „Zespołu Młodych”, zgodnie z otrzymanymi wskazówkami i „po planu”, celem wybadania reakcji otoczenia, lub nawet wręcz realizacji niektórych z nich przy dogodnej okazji — prowokator i agent, który z miejsca, po przywiezieniu go we wrześniu 1940 na Łubiankę, poszedł dla większej „pajki chleba” na ścisłą współpracę z NKWD i pozostał jej wierny do dnia dzisiejszego.

Kronika kulturalna

Dalszy ciąg rozmowy z J. Czapskim

W grudniu 1959 odwiedził mnie w Bibliotece Polskiej w Londynie miły gość, pan Józef Czapski. Oto, dedykowane Mu jako prowokatorowi „afterthoughts” ówczesnej rozmowy.

Spokojna (— a raczej spokojniejsza od innych) — historia książki i bibliotek jest także długim ciągiem „etapów” przerywanych gwałtownymi, na swój sposób, kryzysami. Są wśród nich zwykłe i, że tak powiem, naturalne: a więc pożary i powodzie, zniszczenia wywołane wojną lub przerostem ambicji jednostki czy fanatycznej grupy. Historia ludzkości dostarcza wielu budujących analogii w tych dziedzinach. Tak samo giną lub ginęły dzieła sztuki czy architektury i wszelkie świadectwa rozumnej działalności ludzkiej.

„Książka” — w najszerszym sensie tego pojęcia — a więc wszelkie formy powielanego przekazu piśmiennego myśli ludzkiej — przeżywa nadto od czasu do czasu własne kryzysy, wzloty i upadki, zazwyczaj z winy (lub, jak kto woli: dzięki zasługom) rozwoju techniki. Przejście od starożytnych tabliczek, cegiełek i wałków do zwojów papirusów, od papirusów do pergaminu, od pergaminu do papieru były takimi właśnie momentami przełomowymi na powolnej drodze do coraz łatwiejszego i powszechniejszego komunikowania myśli innym. Z wynalazkiem Gutenberga zestawiać można, jako bardzo zasadnicze punkty zwrotne w historii drukarstwa: maszyny rotacyjne, linotypy i monotypy, zastosowanie matrycy itd.

Przejście od kosztownego pergaminu na znacznie tańszy, choć jeszcze bardzo kosztowny papier szlachetny (choć z gałganów) zbiegło się zgrubsza w czasie z wynalazkiem druku a łącznie wzięte przyczyniło do sukcesu Reformacji oraz „rozkwitu”, jeśli można tak to nazwać, antagonizmów religijnych

i narodowościowych. Obaliło hegemonię brzydkiej średnio-wiecznej łaciny, — ze szkodą dla klasycznej, z pożytkiem dla świeżych form wypowiedzi w kształtujących się literacko językach europejskiej wieży Babel. Żywe ciasto rosnącego w piękno i moc języka okazało się świetnym medium budzących się literatur. Cieszone się nim u nas na różne sposoby: po dziecinnemu — jak Rej, pompatycznie — jak Kochanowski, wymyślnie — jak Andrzej Morstin, który słowa łamał i przeplatał z pasją dzisiejszych poetów spod znaku Przybosa.

Wystarczyło stulecia czy dwu, by — praktycznie biorąc — załamała się warsztatowa produkcja pięknych rękopisów. Pergamin zgrubiał, zszarzał, zabrakło skrybów-literników i farb (jak ze skrzydeł kolibrów), którymi zdobili miniatury i inicjały. Siedemnasto- czy osiemnastowieczne manuskrypty pergaminowe są już tylko żenującymi ubóstwem formy epigonami dawnej świetności. U przeciwników książki drukowanej — a było ich wielu w XV i XVI wieku — można wyobrazić sobie łatwo norwidowski gest pogardy, gdy zestawiali odchodzące piękno z naporem wulgarności. Bo dopiero znacznie później, po latach, gdy rzecz nabrała smaku prymitywu, gdy przyzwyczaiły się oczy, podobać się mógł „brutalny” drzeworyt z opowieści Marchołta. W pamięci ówczesnych bibliofilów patronujących walce o piękną włoską czcionkę trwało co innego — wielostopniowa jedność piękna, w której witraż, fresk, obraz, płaskorzeźba i miniatura grały łącznie, dopełniając się wzajemnie, stosowane wymiennie zależnie od potrzeb i upodobań artysty i mecenas.

Rewolucja Gutenbergowska roznosiła się po świecie szeroko i zadziwiająco łatwo. To dziś „drukarnia” (inna niż emigracyjny linotyp w prywatnym mieszkaniu!) kojarzy się z halą maszyn, introligatornią i kliszarnią, tym wspanialszymi, im pośledniejszy „towar” będą produkować (1). Drukarz szesnastowieczny ładował na mocny furgon cały swój gabinet osobliwości: kaszty z czcionkami i ręczne prasy, drzeworytnicze klocki i zapas arkuszy papieru — i hejże w świat! — gdzie lepiej zapłąć i gdzie głodniejsi nowinek.

Warsztat ten unowocześniał się, a więc komplikował, zatrzymawszy się na dłużej na zasadniczej przeszkodzie — cenie papieru. Skokiem nowym, który dokonał się w ramach życia np. Mickiewicza czy Balzac’a i przyczynił się do szerokiej popularyzacji literatury pięknej było przejście do papieru taniego, z masy drzewnej, używanego do dziś przy masowej produkcji książek i czasopism. Nie trzeba być znawcą papierników, by biadać nad krótkowiecznością gorszych gatunków tego rodzaju

(1) Jak słusznie zauważył D.J. Simpson („The Role of the Library in an Increasingly Technical World”, The Library Association Record, Nov. 1958) najlepiej wyposażone drukarnie wykonują zamówienia na „comics’y” i okładki do „murder’ów”.

papieru. Roczniki „Orla Białego” czy londyńskiego „Dziennika Polskiego” z okresu wojny żółkną w niepokojący sposób, mimo przechowywania ich w szafach bez dostępu światła. Przy katalogowaniu rękopisów z połowy XIX w. przejście na złe gatunki papieru wyczuć się daje dotkliwie: luszcza się i sypią w rękach, wróząc rychłą zagładę. Historyk naszych czasów, żyjący za lat, powiedzmy pięćset, niewiele oryginalnych druków i rękopisów będzie miał do dyspozycji. Podpowiada mi ktoś: mikrofilmy. Oczywiście. Proszę wyobrazić sobie jednak pracę nad czasami stanisławowskimi w oparciu o martwe mikrofilmy!

Wszystko, co wydajemy, włącznie z najpiękniejszymi wydawnictwami na szczególnie dla mnie wrednym papierze kredowym — to z punktu widzenia Wietora czy Unglera — jedna wielka papierowa tandeta. Porównanie z farbami anilinowymi unaocznia grozę sytuacji. Proces zniszczenia przebiega tam jeszcze szybciej. Exemplum: Jan Stanisławski w krakowskim Muzeum Narodowym.

Proces samozniszczenia przebiega jednak pod powierzchnią, podskórnie. Na zewnątrz podziwiać możemy wzrost produkcji wydawniczej do rozmiarów nie dających się ogarnąć zdrowym sensem. A przecież — coraz więcej głosów wróży książce kres i zagładę, robak wylęga się już pono w pozornie dorodnym kwiecie. My tego nie doczekamy, ale...

Ale — dostrzec już można pewne symptomy nowego kryzysu książki. Papier? — czemu drukować na papierze: kosztowny a nietrwały, oparty o doroczne rzezie drzewostanu, nieodporny na działanie wody i zmiany temperatury. Tyle jest materiałów syntetycznych podatniejszych do masowej obróbki! A gdy się już raz oderwiemy od papieru, krok tylko jeden do oderwania się od tradycyjnych opraw, formatów, od szytej z arkuszy książki. Bo — fotografia, film, wielomówność obrazu. I krok jeszcze dalszy: oderwanie się od pisma — bo radio, płyta, taśma. Albo — kombinacja dźwięku i obrazu: film dźwiękowy, telewizja.

I znów *da capo* głosy wznoszące się na alarm, że — zagłada książki. Broniące (słusznie) intymności i łatwej powtarzalności przeżycia jakim jest dostęp do tekstu powielanego w druku. Indywidualnej „przyswajalności” tego tekstu w tempie myślenia najbardziej odpowiadającym czytającemu. Przerw na komentarz myślowy i dyskusję z autorem.

Nie negując tych racji — a można by ich wyliczyć więcej — przeciwstawić im można pewne argumenty przemawiające przeciw monopolowi czytania. Oko (najczęściej wsparte okularami) może nazbyt już przywykło do owych centymetrów powietrznego dystansu od Słowa, kark do niewolniczego pochylenia, ręka do sięgania na półkę.

Historia uczy, że było inaczej. Po czasach sporadycznych odwiedzin domokrażnych Homerów, opuszczano przecież chęć-

nie domowe ognisko, by już nie tylko słuchać ale i patrzeć na widowisko w antycznym teatrze. Głos wykonawcy amortyzował się lepiej. Słuchacz otrzymywać mógł świadczenia dodatkowe pod postacią wykonania zespołowego, śpiewu, muzyki, zapasów sportowych, kto wie — czy nie rewii mody? Czy był to krok naprzód? Niewątpliwie. Tekst widowiska spisany na takich czy innych tabliczkach czy kruchym papirusie i bezcereemonialnie przerabiany przy każdej okazji był już tylko cieniem tamtych słów — i gestów.

Cieniem także, wątlwym echem żywych słów, były przekazy piśmienne powiedzeń Heraklita czy Pitagorasa — a wreszcie Sokratesa. Boski Plato operować musiał znakomicie żywym słowem — to było jego właściwe medium, a słuchacz nadążał jakoś za jego myślą. Dialogi jego żyją dlatego do dziś, że spisał je w czasach, gdy raczej mówiono i słuchano, niż zadawano sobie trud pisania. Bo był to trud — dosłowny i powolny.

Siedzę w domu, w areście łagodnej grypy. Coś jak szkolne wagary. Lenistwo usankcjonowane gładem świadectwa lekarskiego. Coś nie chce się ani czytać, ani czyścić zaropiałych czcionek *portable'a*. Sięgam po album z płytami. „Niobe” recytowana przez Konstantego Ildefonsa. Dylan Thomas. Opowieść wigilijna w wykonaniu autora. Nieżyjącego, jak Gałczyński, ileż analogii... Kiedyś, dawno widziałam w telewizji autentyczny występ autora. Dziś, wracając do dawnego przeżycia — a było to pełne artystyczne przeżycie — uzupełniam głos wspomnieniem twarży, brzydkiej jak twarz Jaracza i tak samo przeobrażającej się w oczach w instrument, rzeźbę, niepowtarzalne zjawisko.

Jestem bibliotekarką, ale jestem także człowiekiem, i uczciwość wyższa nad zawodowe przesady każe mi stwierdzić, że ów telewizyjny a nawet gramofonowy Dylan Thomas daje mi przeżycie pełniejsze i piękniejsze od tradycyjnego drukowanego tekstu. Ale dodać muszę jednym tchem: ten tekst jest potrzebny, konieczny, niezastąpiony.

Nie zawsze daje on jednak przeżycie zgodne z intencjami autora. Słynny bibliotekarz brytyjski, dziś już emeryt, opowiadający się zdecydowanie za wszechstronną eksploatacją nowych wynalazków dla poszerzenia umysłów, przytoczył niedawno świetny przykład niewystarczalności tekstu. Przypomina on, że „Hedda Gabler” Ibsena opublikowana została przez autora z absolutnym minimum objaśnień sytuacyjnych i wskazówek dla reżysera. Czytelnik nie potrafi ich „dośpiewać” bez długich poszukiwań i niewątpliwie na tym traci (2).

(2) E.A. Savage: Independent Thinking and Mental Training through Reading (The Library Association Record, February 1959). Tamże świetna cytata z Herberta Spencera: „Czytanie jest oglądaniem cudzymi oczami” (Reading is seeing by proxy).

Co roku, dokoła Wielkiej Nocy, bibliotekarze anglosascy i inni na tzw. Zachodzie cierpną nad statystykami rocznymi a radni miejscy mają sposobność do zalecania obciążenia budżetowych, bo nieubлагana wymowa cyfr przynosi niezbite świadectwa stałego spadku czytelnictwa. Nie widzę potrzeby powtarzania obelg miotanych przy tej sposobności na prasę popularną i wszelkie formy rozrywek wizualnych (z wyjątkiem teatru) — a przede wszystkim telewizję. Kino odsuwa się w tych biadaniach na plan dalszy. Jest przecież publiczną tajemnicą, że monumentalne „Alhambry” i „Odeony”, sprzedane z licytacji, zamieniają się pewnego dnia w inne pseudoświątynie pseudoczołowieczeństwa — Supermarkety w glorii światła i smakowitym zapachu setek kur obracających się na elektrycznych rożnach.

Spadek czytelnictwa. A może — pierwszy etap w przesuwaniu się na inne pozycje? Odplynęli przecież przede wszystkim „pożeracze” powieści coraz lepiej i taniej obsługiwani przez wydawców tanich (a nie zawsze złych) książek broszurowanych (3). Moje własne doświadczenia z wypożyczalni londyńskiej dla Polaków uczą niezbiecie, że człowiek czytający wiele nie jest bynajmniej najlepszym odbiorcą słowa drukowanego. Za wyjątkiem wczesnej, formującej młodzieńcze poglądy gorączkowej a chaotycznej lektury, przez którą powinien przejść każdy.

W Anglii ukazuje się co roku około 2000 powieści, w tym kilkaset dobrych lub poprawnych. Kraj postawił to sobie także, jak sądzić można, za cel. Komunistyczne Chiny, jak przypomniał niedawno w „Encounterze” Leopold Łabędź wysuwają astronomiczne „normy” dla poetów i powieściopisarzy niesyte i tak już absurdalnych statystyk.

Mamy (w Londynie) czytelniczkę, która czyta powieść dziennie. „Trąbo nasza, wrogom grzmij” — jest to Polka z dziada pradiada. Czyta, nie darując żadnej, wszystkie „nowości”. Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Jeske-Choińskiego, Gąsiorowskiego, Gołubiewa, Dobraczyńskiego. Jest moją sąsiadką. Niedomaga. Ja właśnie dostarczam jej, na wyraźne jej życzenie, tej i tylko takiej strawy, ważąc gorzko w drodze z ciężką siatką z książkami (oni nie potrafili się streszczać!) czy oznacza to podkreślenie gałki czy wentylator w czyszcowym obrachunku? Bo godziwa owa lektura spływa w dodatku z pilnej czytelniczki jak woda z przysłowiowej gęsi, niczym nie brukając śnieżnej pustki jej aparatu myślowego.

W poszukiwaniu przyczyn spadku czytelnictwa nie podobna pominąć wyraźnego osłabienia zainteresowania beletrystyką.

(3) Dzięki zmianom w ustawie o imporcie książek teraz dopiero (sic!) docierają do szerokich rzesz czytelniczych w Anglii w tanich popularnych edycjach amerykańskich książki Faulknera, Caldwell’a, Hemingway’a itd., nie objęte wcześniejszymi wydaniem w „Penguin Books”.

Przerzedzają się, nawet wśród Anglików, szeregi „nałogowców”, czytających wyłącznie powieści. Coraz więcej pólek bibliotecznych przeznacza się w bibliotekach publicznych pod książki określane wygodną formułą „non-fiction”, w której mieści się i dziennik Tocqueville’a i historia budowy latarni morskiej w Eddystone (fascynująca jak „Kon-Tiki”). Rzecz prosta, że książki owe czyta się wolniej. To także odbija się na statystykach bibliotecznych, stawiających znak równania między „Historią filozofii zachodniej” Bertranda Russell’a, a powieścią Agathy Christie. (Nb. sędziwy filozof jest jednym z najbardziej utalentowanych aktorów telewizyjnych. Każde jego pojawienie się przed kamerami jest niezapomnianym przeżyciem).

Inną przyczyną zniechęcania się czytelników jest występująca na szeroką skalę w piśmiennictwie anglosaskim a nieobca także wydawnictwom krajowym skłonność do publikowania książek o charakterze kompilacji powtarzających w kółko niemal to samo, tyle, że innymi słowami i wydawania pseudonowych „tytułów”. Konkretne przykłady: krajowe przedruki nowet Andrzejewskiego czy A. Rudnickiego w różnych zestawach i pod różnymi tytułami. Ledwo uszłam z życiem, gdy czytelnik z dalekiego przedmieścia odniósł taką sztuczną nowość, klarując językiem Hłaski, co o praktykach takich myśli.

Podobne zjawisko występuje, może nawet częściej, w literaturze naukowej. Gdy — a jesteśmy tego coraz bliżej — zawartość rozpraw dotyczących np. Szekspira czy Mickiewicza przekazana będzie w umownym kluczu „mózgom” elektronicznym — biada przepisywaczom, kompilatorom, przyczytniarzom! Powtórzenia, którymi operowali, sprowadzą się do długiego szeregu zer a z książek ich nie ostoi się nic, co dałoby się określić wdzięcznym słoweczkiem „wkład”.

Sztuką jest czytać mało czy stosunkowo mało a za to teksty właściwe. Umyślnie nie użyłam słowa „książka”. „Tekst” jest pojęciem pojęciem ogólniejszym, obejmującym poza drukami nieperiodycznymi (książki i broszury) także wydawnictwa „periodyczne” — od dzienników — poprzez „fortnightlies”, miesięczniki, „bimonthlies”, kwartalniki itd. — aż po roczniki i graniczące z książką prace zbiorowe.

Zatrzymam się dłużej przy tej właśnie kategorii druków. Niektóre jej ogniwa, w szczególności, pisma literackie odgrywają, by użyć niezbyt zresztą fortunnego nowotworu krajowego rolę „wiodącą”, wyznaczając kierunek prądów literackich i formując opinię publiczną. Docierają one jednak do stosunkowo wąskiego kręgu czytelników. Strawą szerokich rzesz jest prasa popularna, uzależniona na Zachodzie od nastawionych handlowo a bezideowo wydawców i zakulisowych ich panów — dostarczycieli tekstów ogłoszeń, — a w Rosji i krajach satelickich w stopniu równie, choć na inny sposób, ogłupiającym zależna od dyrektyw politycznych.

Kierowany często pod adresem radia i telewizji zarzut, że podają one „przeżutą” (*predigested*) strawę i zestawiony na użytek milionów, a schlebający ich lenistwu myślowemu, wspólny dla wszystkich zestaw programów — da się w stopniu jeszcze wyższym zastosować do prasy. Jeśli odrzucimy wiadomości bieżące (a bez wielu możnaby się obyć) i prawie nieistniejące w popularnych dziennikach komentarze polityczne, całą resztę — jakieś 90 % tekstu, wypełniają zazwyczaj najbardziej przypadkowo zestawione artykuły i felietony przypominające „wypracowania na tematy dowolne” z czarnych dni szkolnych. Efekt dokładnie taki, jak z przeczytania 365 powieści rocznie. Z tym, że rozmiary gazet rosną z roku na rok i dawki trocin puchną crescendo.

Wojenne racjonowanie papieru skurczyło rozmiary dzienników. Odbiło się to w sposób oczywisty i dodatni na czytelnictwie książek. Obecnie jesteśmy świadkami zjawiska odwrotnego (4).

Powojenna konkurencja czasopism i wszechświatowy sukces „Life'u” i „Paris-Match” powołały do życia tysiące mniej lub więcej nieudanych naśladownictw. Kobietom dostaje się dodatkowa dawka ogłupiania na jeszcze niższym poziomie. Lekarz mój, entuzjasta odchudzania, nawołuje ze świętym ogniem w oczach, do palenia fabryk makaronu, ravioli, spaghetti i pizzy. Ja podpaliłabym z największą satysfakcją kilka wytwórni takich cynicznie pomyślanych wyrobów cotygodniowych, dodatkowo niebezpiecznych z tego powodu, że propagują pokrewne formy jałowego zabijania czasu w formie przeróżnych horoskopów, listów czytelniczek, zachęty do robótek na drutach itp. Mężczyźni mają także bogaty repertuar pism ogłupiających, przede wszystkim z dziedziny sportu, a raczej biernych form sportu, poświęconych wyścigom konnym i psim, piłce nożnej (pod kątem zgadywania wyników) itp.

Słowo drukowane, które kiedyś budziło szacunek i było miernikiem prawdy („w gazecie stało!”) sprostytuowało się i spaskudziło i paskudzi się coraz szybciej. *Medice, cura te ipse!* Dobry ogrodnik przycina umiejętnie nadmiar gałęzi. Książce przez wielkie K i słowu drukowanemu przez wielkie S może tylko wyjść na dobre ukrócenie przerostów i przymusowa rewizja tradycyjnych metod pracy wydawców i bibliotekarzy. W tym właśnie kontekście pojawienie się telewizji może być fermentem twórczym.

(4) Uwaga na marginesie: książki i biblioteki żerują niewątpliwie na czytelnikach w okresach wojennych; są one dla nich odpowiednikiem sezonu pękania rur wodociagowych w czasie mrozów dla „magików”, którzy je reperują. Jak bieda, to do Gide'a! Pamiętam, jak budującą wzrosła w Anglii w r. 1942-5 poczytność Stendhal'a czy Flaubert'a i jak niesławnie opadła po wojnie zastąpiona przez „cosy murders”.

Jak każdy wielki wynalazek — zaczynając od radu — tak i telewizja może być mieczem w rękę szalonego lub zba-wienną i gigantyczną „pochodnią oświaty”. Może — jak film — zmuszać do myślenia i urabiać opinię. Może, a wiemy o tym z naocznej obserwacji skrajnych admirałów — ogłupiać i otepiać, szkodzić a nie pomagać, jak nadmiar witamin. A przecież nie kto inny, ale właśnie te rzekomo ogłupione masy zareagowały milionowym wstrząsem sumień na świetne widowisko telewizyjne oparte o powieść Orwell'a „1984”. Więc? Czyżby tylko zdrowy odruch instynktu stadnego poddany przez „sponsorów”? Czy coś więcej?

Nie do pomyślenia jest dziś nauka geografii bez filmów, lekcja fonetyki bez ilustracji dźwiękowej i praca etnografa bez kamery fotograficznej i filmowej tudzież nagrań w terenie. Złe ilustrowane wypisy szkolne grzeszą przeciw elementarnym wymaganiom nowoczesnej pedagogiki. Specjalne audycje szkolne są sprzymierzeńcem nauczyciela. Film z Fréjus pokazany w wieczornych „news'ach” odbiera sen skuteczniej od depesz tłustym drukiem i zwyczajowych biadoleń sprawozdawców dziennikarskich.

Nie można więc uogólniać i zamykając oczy na dokonane już przeobrażenia iść w życie coraz węższym korytarzem wzdłuż katakumb wypełnionych słowem drukowanym, w świetlonym odorze bibliotecznego kurzu najchętniej osiadającego na książkach, których czytać nie warto — a ile ich jest, dużo mogliby powiedzieć właśnie bibliotekarze.

Książka ratować się musi, jak nowoczesny film, podniesieniem poziomu i dobrze zrozumianą atrakcyjnością przemawiającą do człowieka żyjącego w drugiej połowie XX stulecia. Nowocześnie pojęta biblioteka nie potrzebuje obawiać się konkurencji nowych form wizualnego i dźwiękowego przekazywania myśli; znajdzie w nich raczej dopełnienie i poszerzenie. Postępowe biblioteki publiczne są równocześnie terenem wystaw grafiki, fotografii artystycznych, dobrych reprodukcji — nawet obrazów. Prowadzą wypożyczalnie płyt. Organizują koncerty i pokazy filmów (zwłaszcza dokumentalnych). Odbija się to jak najkorzystniej nie tylko na martwych statystykach wypożyczeń ale, co ważniejsze, na poziomie zainteresowań czytelników.

Historia literatury powszechnej dostarcza wielu ciekawych analogii. Epos, który był popularnym medium starożytności, przeżył się i przeminął mimo kilku połowicznie udanych prób wskrzeszenia i okresów nowej popularności (*romans de geste*, Tasso, Goethe, pseudoklasycy, nasz Mickiewicz „żywy” — aż po niefortunne próby Konopnickiej odpowiadającej na ówczesne „zamówienie społeczne”). To samo wielka tragedia (mimo sukcesów Anouilh'a). To samo wszelkie formy ujmowania w mowę „wiązaną” dłuższej narracji czy dramatu (mimo Eliot'a

i Fry'a). Przy pisaniu panegiryków wystarcza nam proza. Hemar zgromadził zapas satyr na kilkaset lat naprzód. Nowe wydania antologii sonetów ukazują się bez aktualnych dopełnień. Pies Fafik wyręcza pisarzy w smażeniu złotych myśli.

Przeżywają się nie tylko gatunki literackie, ale i formy udostępniania dzieła pisarskiego jego odbiorcom. Ważniejsze jest to, byśmy mieli coś do powiedzenia, niż sposób przekazania tego „czegoś” innym. Przeżyła się powieść? Jeśli szczerze w to wierzymy — szukajmy innej formy wypowiedzi, wysiadajmy ze starego tramwaju i wsiadajmy do helikoptera. Postawą najniebezpieczniejszą, wyrazem duchowego marazmu i abnegacji jest ogrodzenie się barierą ze sloganami w rodzaju: „Nie będę chodził do kina”, „Nie uznaję telewizji”, „Nie będę się posługiwał mikrofilmami i fotostatami”, „Nie wierzę w nagrania” itd.

Rzeczą istotną, na którą stać człowieka kulturalnego jest stałe dokonywanie wyboru i odrzucanie, które odmładza i odświeża. Lepiej skoncentrować się na protestach przeciw złej telewizji czy filmom i podchwytywać cenne możliwości tych przecież jeszcze bardzo młodych i eksperymentujących mediów — niż potępiać je w czambuł. Są one przecie, powtarzam, dopełnieniem i poszerzeniem możliwości czynnej recepcji nie tylko słowa ale naraz: obrazu i dźwięku, kształtu i słowa. Bez uchybienia książkom a przez uwypuklenie słowa, by grało pełnym głosem.

Nie wiem, czy są to sprawy doraźnie ważniejsze od scholastyki różnic dzielących „realizm socjalistyczny” od „literatury socjalistycznej”. Ale na pewno ciekawsze.

Maria DANILEWICZOWA



ANTOLOGIA POEZJI POLSKIEJ PO SZWEDZKU

Docent Dr Nils Ake Nilsson, dyrektor Instytutu Rosyjskiego przy Uniwersytecie Sztokholmskim, opracował antologię poezji polskiej z krótkiego okresu odwilży. Antologia ta obejmuje lata 1956-1959. Wśród poetów przetłumaczonych przez Nilssona wymienić należy Ważyka, Różewicza, Bogdana Drozdowskiego Stanisława Czyczka. Antologia obejmuje nawet szereg najmłodszych poetów polskich. Wybór poezji został dokonany pod kątem ideologicznym. Antologia będzie bowiem nosiła tytuł „Det nakna ansiktet”, (*Nagie oblicze*) i będzie świadectwem tych nastrojów jakie nurtowały społeczeństwo polskie w krótkim okresie względnego liberalizmu. Nilsson mówi, że „żadna powojenna poezja nie jest tak wstrząsającym dokumentem zmagania ludzkości jak poezja polska”. Antologia ukaże się w Sztokholmie na jesieni br. nakładem spółki wydawniczej „Folket i Bild”. Będzie to wydanie popularne, ilustrowane abstrakcyjnymi rysunkami przez współczesnych polskich malarzy. Nakład będzie wynosił 10.000. Jest to cyfra wielka zważywszy zarówno niewielką ilość mieszkańców jak i ekskluzywność tematu jakim jest poezja polska.

Listy do Redakcji

Boston, 26 stycznia 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

We wrześniowym numerze krajowego *Państwa i Prawa* (organ Instytutu Nauk Prawnych PAN), przeczytałem recenzję z mojej książki o KPP pióra Zdzisława Baumana. Ponieważ recenzja zawierała szereg poważnych nieścisłości, nie polemizując z jej autorem, napisałem list do redaktora, Profesora Stanisława Ehrlicha z prośbą o ogłoszenie. Ponieważ Redaktor odmówił ogłoszenia mego listu, gdyż — jak mi wyjaśnia — pismo nie prowadzi systematycznej odpowiedniej rubryki, pozwalam sobie przesłać mój list *Kulturze* z prośbą o łaskawe umieszczenie.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy mego głębokiego szacunku.

M.K. DZIEWANOWSKI

„Profesor Stanisław Ehrlich
Redaktor *Państwa i Prawa*
Warszawa, PAN

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem we wrześniowym numerze *Pańskiego pisma* recenzję z mojej pracy, *The Communist Party of Poland. An Outline of History*, wydanej w styczniu br. przez Harvard University Press.

Z głębokim zadowoleniem stwierdziłem ocenę, że książka moje „jest wynikiem studiów źródłowych”, że recenzent znalazł w niej „wytrwałość badacza zamiast zaciętrzewienia polityka (którym nb., nie byłem i nie jestem), skrupulatność weryfikacyjną zamiast pragmatycznych względów antykomunistycznej propagandy”. Witam te oceny jako dowód, że nawet w sprawach tak z natury rzeczy spornych jak dzieje rządzącej obecnie w Polsce grupy, jest możliwy pewien margines porozumienia pomiędzy bezstronnymi pisarzami piszącymi w kraju i na emigracji.

Nie zamierzam polemizować z zarzutami postawionymi mi przez pana Zygmunta Baumana w drugiej części jego recenzji. Niektóre jego zarzuty są wynikiem nieporozumienia (jak sprawa odrzucenia przez Sejm ustawy o przerywaniu ciąży), niektóre są sprawą interpretacji, jak np. ocena zamachów bombowych GL; AL, czy nazwanie „socjalistycznej dyscypliny pracy” oraz ryzykanckiego planowania rodzajem „szturmowszczyzny”. Ale są dwa zarzuty, które są w wyraźnej sprzeczności z tym co jest w książce. We wstępie nie napisałem, że „żywiłem niechęć” do odwiedzenia Polski, lecz, że nie chciałem odwiedzać Polski *stalinowskiej*. Natomiast przed ukończeniem książki byłem w Kraju w roku ubiegłym na zaproszenie sześciu uniwersytetów (Poznań, Warszawa, Kraków, Toruń, Łódź oraz KUL). Celem mojej podróży, poza wykładami o stosunkach europejsko-amerykańskich na wyżej wspomnianych uniwersytetach było właśnie zapoznanie się z rzeczywistością krajową i weryfikacja niektórych moich opinii o tej rzeczywistości. Stwierdzam to wyraźnie we wstępie.

Również zarzut jakoby uważał „Burzę” za obliczoną na ułatwienie marszu wojsk radzieckich jest nieścisły. Tego nie ma w książce. Natomiast stwierdziłem, że „Burza” mogła ułatwić dalszy marsz.

Ufając, że Pan Redaktor nie odmówi ogłoszenia na swych łamach moich wyjaśnień, łączę wyrazy poważania.

M.K. DZIEWANOWSKI

Magister Praw Uniwersytetu Warszawskiego 1937
Doktor Filozofii Harvardu (1951)



Warszawa, 15 stycznia 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 1/147 „Kultury” znalazłem jedyny z artykułów ogłoszonych w prasie emigracyjnej o mojej książce „Zielone Oczy”, napisany w sposób rzeczowy i nawet kurtuazyjny. Z tego też powodu tylko ten artykuł nadaje się do repliki, względnie sprostowania.

Mówię o artykule p. Wohnouta „Mackiewicz sine ira”.

Autor artykułu odbiera mi jednak zasługę zwalczania „Bergu” w latach 54/55. Jest to niesprawiedliwe i krzywdzące.

Sprawą Bergu zajął się rząd emigracyjny w grudniu roku 1952, kiedy dotarły do niego wiadomości o rewelacjach p. Tychoty, jednocześnie p. Jan Matlachowski rozpoczyna w tej sprawie akcję odczytową i pewni członkowie stronnictw Narodowego i Socjalistycznego oburzeni na stanowisko swoich rządów, opuszczają swe stronnictwa. Jednocześnie ja wydaję kilka broszur, o których pisze p. Wohnout lekceważąco, że były to „thrillery” i, że on ich nie czytał.

Albo tu p. Wohnouta pamięć zawiodła, albo wtedy mówił mi rzeczy nieprawdziwe, bo wyrażał się o moich broszurach z najwyższym uznaniem.

Dzisiaj p. Wohnout wysoko sobie ceni rewelacyjną rolę PAT’a w sprawie Bergu. Otóż nie jest to zgodne z prawdą, ponieważ, co prawda redaktorem PAT’a był wówczas sam p. Wohnout, ale nie była to instytucja niezależna, a tylko podporządkowana dyscyplinie urzędu premiera. Otóż rząd generała Odzierżyńskiego urzędujący w 1952 i częściowo w 1953 roku stanął na stanowisku, że nie można na zewnątrz wywlekać sprawy Bergu, a jego następcą, p. Hryniewski, który zaczął początkowo od innego stanowiska, w dniu 8 marca 1954 r. po naradzie u prez. Zaleskiego, z udziałem gen. Sosnkowskiego i gen. Andersa, oraz min. sprawiedliwości — Okulicza podporządkował się zdaniu generalów, że wywlekanie sprawy Bergu może zaszkodzić zjednoczeniu. A więc agencja PAT również nie mogła w tej sprawie zająć diametralnie innego stanowiska. Pozostawały moje broszury, o których dzisiaj pisze p. Wohnout, że były „thrillerami”. Trudno, jestem teraz bardzo chory i w ogóle nie stać mnie na to, aby powrócić zagranicę i od p. Wohnouta zacząć się uczyć sztuki publicystycznej i dziennikarskiej.

Toteż, dopiero ja, po objęciu urzędu premiera w dn. 8 czerwca 1954 roku skierowałem opracowany uprzednio przez p. ministra Okulicza akt oskarżenia ludzi, którzy brali pieniądze z Bergu do Sądu Obywatelskiego. Jak należało przypuszczać, nikt z oskarżonych się nie stawiał, odpowiadając jedynie w sposób mniej lub więcej kulturalny na przesłany im akt oskarżenia. Dopiero wtedy dowiedzieli się jednak wszyscy o spra-

wie „Bergu” i nastąpiło w tej sprawie przesilenie. Ku honorowi naszej emigracji trzeba stwierdzić, że potępiła ona „Berg” jednogłośnie.

Wszystkie dokumenty w tej sprawie znajdują się w broszurze, którą wydałem przed powrotem do Ojczyzny, pod tytułem: „Od małego Bergu do wielkiego Bergu”. Widać tej broszury także p. Wohnout nie czytał.

Raczej Pan Redaktor przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku.

Stanisław MACKIEWICZ



Sydney, 24 stycznia, 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Prawie natychmiast po wydrukowaniu mojego artykułu pt. „Współczesność” w numerze 7/141 „Kultury”, ukazało się na ten temat parę nieprzyjemnych wzmianek w prasie krajowej. Prawie jednym głosem odezwały się „Kierunki”, „Słowo Powszechne” i „Polityka”.

Ton tych anonimowych docinków był tak paskudny, że natychmiast wypitrasilem gniewną odpowiedź. Tymczasem jednak do chóru przylączyło się parę innych pism, między innymi „Współczesność”. Sprawa nadaje się więc do znacznie szerszego omówienia niż można to zrobić w krótkim liście do redakcji.

Pech jednak chciał, że pękata koperta z wycinkami prasowymi zaginęła gdzieś na swej drodze do mnie. Czas płynie, wycinki wciąż wędrują, lub dawno uległy zniszczeniu. Moi zaś oponenci spoczęli na laurach w przeświadczeniu, że zadali mi takiego bobu, że boję się pisać. Żeby zepsuć im to wrażenie pragnę na gorąco wyjaśnić parę spraw:

Więc p. k. z „Polityki”: do Indii wyjechałem za własne pieniądze. Poza tym zmarnował on całą drugą część swego arcydzieła, bo poza nazwiskiem nie mam nic wspólnego, ze swym imiennikiem z „Tygodnia”.

„Kierunkom”: Nic na to nie poradzę, że gabinet p. Przetakiewiczza był (względnie jest) wyłożony dźwiękochłonnymi materacami a drzwi są opatrzone automatycznym zamkiem i zatrząskują się za wchodzącym. Doprawdy nie rozumiem dlaczego ujawnienie tej drobnostki tak rozgorczyło prasę paxowską.

Panu Zukowi, ze „Słowa Powszechnego”: Pieniądze są mi zawsze potrzebne, jednak nie to było przyczyną mojego pisania na paryskim bruku, chociażby z tej przyczyny, że pierwszą część artykułu powstała w Indiach a druga na Filipinach i że we Francji nie byłem.

Leszek SZYMAŃSKI



GUIBUS! GUIBUS!...

Szanowny Panie Redaktorze!

Przed wielu laty, jeszcze za Trzeciej Republiki byłem w Palais Bourbon podczas ożywionej debaty nad szkolnictwem. W zapale dyskusji minister Oświaty użył łacińskiego zwrotu *unguis et rostrum*, na co ze wszystkich ławek, z prawicy i lewicy odezwały się głosy: *guibus! guibus!* Omyłka ministra — *unguis* zamiast *unguibus* — została natychmiast dostrzeżona przez kilkudziesięciu deputatów.

Nie wiem ilu czytelników dostrzegło grzechy łaciny w ostatnim, 147/148 numerze „Kultury”. Nie chciałbym być pedantem. W dziennikarstwie błędy tego rodzaju uchodzą obecnie za kokieterię pod adresem czytelnika, któremu autorzy pragną zostawić miłe złudzenie, że zna lepiej od nich arkana łacińskiej gramatyki. Jako czytelnik jestem oczywiście czuły na takie rafinacje uprzejmości i umiem je ocenić, myślę jednak, że możliwy jest także inny punkt widzenia. Przeglądając niedawno ostatnie zeszyty wychodzącego w Warszawie „Meandra”, uświadomiłem sobie, jak wielką wagę Polacy przywiązują wciąż do swej łaciny, której według dawnej tradycji miał nauczyć Sarmatów sam Owidiusz. Zostawmy więc może w spokoju łacinę, poprzestając skromnie na błędach polszczyzny. W tej myśli chciałbym tu zgłosić dwie poprawki do łaciny znakomitych współpracowników „Kultury”. Na str. 143 ostatniego numeru znajduję słowa: *ex definitio. One, one! Ex definitione*. Na str. 187 dostrzegam drugi błąd: *novarum rerum studio. Um, um! Studium*.

Łączę najserdeczniejsze wyrazy.

Leon FURATYK

Bloomington, 15 stycznia 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule moim pt. „Sojusz polsko-francuski z 1921 r.”, który ukazał się w listopadowym numerze *Kultury* w 1959 roku, (nr 11/145), w wyniku przeoczenia nie podałem nazwy instytucji, w której znajdują się cytowane przeze mnie Akta Adiutantury Generalnej Naczelnego Dowództwa oraz Akta Generala Rozwadowskiego. Pragnąłbym wyjaśnić tutaj, że oba te zespoły akt są w archiwach Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, który posiada jeden z najpoważniejszych zbiorów dokumentów polskich zagranicą. Przeoczenie moje jest tym bardziej krzywdzące dla Instytutu Józefa Piłsudskiego, że kierownicy tej placówki naukowej; dyrektor, General Wincenty Kowalski, i szef archiwum, Pułkownik Adam Koc, pracując w bardzo trudnych warunkach, dokładają wszelkich starań, aby zbiory te udostępnić pracownikom naukowym i ja osobiście spotkałem się z pełnym zrozumieniem i pomocą podczas moich badań w Instytucie.

Przy okazji pragnąłbym skorygować drobny błąd, który zakradł się do wyżej wymienionego artykułu, a mianowicie błędne podanie nazwiska Stanisława Gutowskiego, który figuruje na stronie 114 jako Gotowski.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Piotr WANDYCZ

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 1 trimestre 1960

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	55 pesos	330 pesos	660 pesos
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo	4 dol. am.	6 dol. am.	
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 2,50 NF	21 sh. 13 NF	42 sh. 26 NF
FRANCJA: « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Île, Paris-4			
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 3445 Marlowe Avenue, N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél.: HY 0829; Roman J. Sas-Babczynski, 64 Indian Rd., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 4-1407; Vatra Trade, 273 1/2 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM 3 sh. 9 d.	13,50 DM 21 sh.	25 DM 42 sh.
NORWEGIA: Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2			
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	2,50 fr. s
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kalkskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T.W. 2.0890	75 cent.	4 dol.	z 6 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY: Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél.: 87-87-89.	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Nowości

BIBLIOTEKA "KULTURY" :

TOM L

CZESŁAW MIŁOSZ

RODZINNA EUROPA

NOWA KSIĄŻKA WYBITNEGO POETY I PISARZA

Cena egzemplarza 12 NF (17/3; dol. 2,50)



TOM XLIX

WACŁAW IWANIUK

MILCZENIA

WIERSTW 1939-1959

Cena egzemplarza 5 NF (7 sh., \$ 1,00)